

Johanna Sinisalo

*Nie przed
zachodem słońca*

Ennen pdivanlaskua ei voi

Projekt graficzny i typograficzny / Janusz Górski
Redakcja / Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta / Ludmiła Jezierska
Skład / Piotr Górski
Druk i oprawa / WZDZ - Drukarnia Lega, Opole, ul. Małopolska 18

© Copyright by Johanna Sinisalo
Published by agreement with Tammi Publishers, Helsinki, Finland
© Copyright for the Polish edition by wydawnictwo słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 2005

Książka wydana dzięki pomocy finansowej Ambasady Republiki Finlandii

Wydawca dziękuje FILI - Suomen Kirjallisuuden Tiedotuskeskes (Centrum Informacji o Literaturze Fińskiej) za dofinansowanie polskiego przekładu książki. The publisher wishes to thank FILI - The Finnish Literature Information Centre for providing a translation grant for this book.

wydawnictwo słowo/obraz terytoria, 80-244 Gdańsk, ul. Grunwaldzka 74/3
tel.: (058) 345 47 07 dział handlowy
tel.: (058) 341 44 13 redakcja
fax: (058) 520 80 63
e-mail: slovo-obraz@terytoria.com.pl
www.terytoria.com.pl

ISBN 83-7453-710-8

Złotoskrzydła i skrzat

Podróż Słońca się skończyła za siostrami nie zdążyła
zabłąkana smużka dnia.

Już nad ziemię mrok się skrada, złotoskrzydła strachem błąda
chciała już uciekać w siną dal,

Gdy zobaczyła, że z przeciwka idzie mały skrzat,
co właśnie wstał i wyszedł w nocny świat.
A przecież skrzat, przed zachodem słońca, nie odważy się
na ziemi spojrzeć na swój cień.

Popatrzeni sobie w oczy,
w głębi piersi skrzat wtem poczuł
osobliwy serca zryw.

Choć me oczy palisz, rzeczce, pierwszy raz w mym życiu przecie
tak precudny widzę dziwów dziw!

I choćbym nawet od tej jaśni miał postradać wzrok, w ciemnościach skrzatu
trudno zmylić krok. Nie odchodź, a do mojej groty zaprowadzę cię i tam ożenię z
tobą się!

Smużka na to: skrzacie złoty, życia kresem mrok twej groty, a ja nie chce śmierci złej.

Wracać mi ostatni dzwonek, bo jak światła nie dogonię, nie przeżyję nawet chwili tej!

I uleciała smużka światła, a samotny skrzat wędrując dalej myśli sobie tak: Dlaczego jedni na tym świecie światła dziećmi są, A drudzy pokochali noc.

Reino Helismaa

Anioł

Zaczynam się niepokoić. Twarz Martesa za lekką czterokufłową mgiełką kołysze się i rozplywa. Jego dłoń leży na stole blisko mojej, widzę ciemne włosy na jej grzbiecie, seksownie kościste stawy palców i nieco wypukłe żyły. Przysuwam swoją dłoń i wtedy - zupełnie jak gdyby nasze ręce były połączone ze sobą ukrytą pod stołem gumką - dłoń Martesa odskakuje błyskawicznie. Cofa się jak rak do swej jamy.

Patrzę mu w oczy. Na twarzy ma przyjacielski, otwarty i rozumiejący uśmiech. Sprawia wrażenie nieziemsko ciepłego i całkowicie nieznanego zarazem. Jego oczy to ikonki na ekranie komputera, pozbawione wyrazu obrazki, za którymi kryją się niesamowite dziwy, ale tylko dla tych, którzy potrafią je otworzyć.

- Dlaczego zaprosiłeś mnie na piwo? Czego się spodziewałeś?

Martes rozpiera się w swoim krześle. Taki jest swobodny. Taki beztroski.

- Dobrej rozmowy.

- I niczego poza tym?

Martes patrzy na mnie, jakbym wyjawiał mu o sobie coś nowego, coś irytującego, choć jednocześnie błahaego. Coś odrobinę kompromitującego, co jednak nie musi od razu psuć dobrych stosunków zawodowych. Trochę tak, jakby zawiódł go dezodorant.

- Powiem ci szczerze, że ja się do tego nie nadaję.

Serce zaczyna mi walić w piersiach młotem, a język jest szybszy od myśli.

- To ty zacząłeś.

Gdy w szkole szukali winnych bójki na dziedzińcu, właśnie to było ważne. Kto zaczął. Martes spogląda na mnie jak na nieodpowiedzialne dziecko, a ja ciągnę dalej.

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie znaleźć się w tej sytuacji... gdybyś tak wyraźnie nie dał mi do zrozumienia, że jesteś zainteresowany. Powiedziałem ci, że jestem mistrzem świata w likwidacji uczuć. Jeśli nie mam naprawdę solidnych podstaw, by wierzyć, że druga strona jest mną zainteresowana, nie dopuszczam do niczego. Do niczego. Nawet do jednej myśli, kurwa, nawet do jednej myśli.

Gdy tak mówię tonem zdecydowanie zbyt gniewnym, do głowy cisną się wspomnienia. Przypominam sobie, jak to było mieć Martesa w ramionach, czuć przez spodnie jego erekcję, kiedy w mroku nocy staliśmy oparci o balustradę przy wodospadzie. Czuję jego usta na moich, usta o smaku papierosów i guinnessa, czuję drapanie jego wąsów na mojej górnej wardze i zaczyna mi się kręcić w głowie.

Martes szuka papierosów, bierze jednego, wsuwa go do ust i zapala swoją zipo. Zaciąga się głęboko i z lubością.

- Nic na to nie poradzę, że jestem facetem, na którego inni rzutują swoje marzenia i pragnienia.

Jego zdaniem nic się nie wydarzyło.

Jego zdaniem to wszystko powstało w mojej wyobraźni.

Wlokę się do domu w środku nocy, chwiejąc się i kulejąc. Przyczyną jest zarówno piwo, jak i głęboka, podskórna rana. Mój zamroczony umysł lize ją niczym kot, trąca jak obłuzowany ząb, budząc raz za razem słodki, tępy ból. Przywołując to zdanie o moich marzeniach i pragnieniach, które nie znoszą światła dnia.

Wichura kołysze latarniami. Kiedy skręcam z rynku w bramę, razem ze mną podmuch wiewa w nią mokry śnieg i zmiętoszone liście lipy. Z rogu podwórza dobiegają słowa głośniejszej rozmowy.

Przy śmietniku zebrało się nieciekawe towarzystwo, młodzi gówniarze, w zwisających z tyłków dzinsach i błyszczących kurtkach odsłaniających pas gołej skóry. Stoją odwróceny plecami i rozmawiają tonem, który jednocześnie mówi, że podjudzają się nawzajem do jakiegoś szemranego wyczynu. Ten z kolei ma związek z jakimś kształtem ginącym w głębokim cieniu pomiędzy nimi. Normalnie ominąłbym podobnych koleśki szerokim łukiem - człowiek dostaje gęziej skórki, gdy mija takich na ulicy, i wciska głowę w ramiona, wiedząc, że zaraz posypią się za nim obrzydliwe odzywki - ale właśnie teraz, z powodu Martesa, z tego powodu, że nic już nie ma znaczenia, a we krwi mam pewnie ze dwa promile, przystaję za ich plecami.

- To jest prywatny teren wspólnoty mieszkaniowej. Przebywanie tu bez pozwolenia jest zabronione.

Parę głów się odwraca, uśmieшки, potem ich uwagę znów przykuwa coś, co leży na ziemi pod ich nogami.

- Boisz się, że cię ugryzie? - pyta jeden drugiego. - Pociągnij mu z buta.

- Nie słyszycie? Prywatne podwórze, spadać mi stąd. - Podnoszę głos, w oczach błyska wściekłość, w mózgu rozbłyska dawny obraz stojącego nade mną kręgu kiwających się w przód i w tył starszoklasistów. Podpuszczali się tym samym, złośliwym tonem - "boisz się, że cię ugryzie?" - i po chwili miałem usta pełne zapiaszczonego śniegu.

- Spadaj na drzewo, kochasiu - rzuca słodko jeden z początkujących kryminalistów. Wie, że tyle im mogę zrobić, co mucha psu.

- Zadzwoń na policję.

- Już zadzwoniłam - słyszę za plecami. Tuż za mną materializuje się mieszkająca piętro niżej emerytka, spora kobieta, która

w zamian za to, że nie płaci czynszu, sprawuje jakoby funkcję dozorczyńni. Chłopaczki wzruszają ramionami, obciągają swoje skórzane kurtki, spluwają pewniacko na ziemię, zbierają się powoli, jakby to od nich wszystko zależało. Idą do bramy ławą i klną jak prawdziwi mężczyźni, ostatni strzela jeszcze niedopałkiem, który leci w naszym kierunku niczym żarzący się pocisk. Nie zdążyli wyjść na ulicę, a już usłyszeliśmy, jak rzucili się do ucieczki. Kobieta wzdycha.

- Na szczęście uwierzyli.

- Przyjedzie ta policja?

- Jasne, że nie. Spróbowałby człowiek im czymś takim głowę zawracać. Szłam właśnie na grilla.

Adrenalina na chwilę mnie otrzeźwiła, ale teraz, gdy próbuję wydostać z kieszeni klucze, palce mam niezdarne jak parówki. Sąsiadka idzie w kierunku bramy i bardzo mi to odpowiada, bo w mojej zamroczonej głowie zaczyna mruczeć obezwładniająca, obsesyjna ciekawość. Czekam, aż kobieta zniknie w przejściu, i zaglądam pod śmietniki.

Na asfalcie leży mały chłopiec. W mroku rysuje się jedynie ledwo wybijająca się z cienia czarna sylwetka.

Podchodzę bliżej, wyciągam rękę. Skulona postać najwyraźniej słyszy moje kroki, na chwilę unosi z trudem głowę i otwiera oczy - i wtedy wreszcie zdaję sobie sprawę z tego, co widzę.

Jeszcze nigdy nie patrzyłem na coś tak pięknego.

Od razu wiem, że chcę go mieć.

Jest mały, delikatny i dziwnie skulony, jakby w ogóle nie miał stawów. Głowę trzyma między kolanami, gęsta, czarna grzywa dotyka zabłoconego chodnika.

Ma nie więcej niż rok. Najwyżej półtora. Jest jeszcze młody. Nie ma w sobie nic z wielkości i masywności dorosłych osobników, których widziałem na ilustracjach.

Jest ranny, został porzucony albo się zgubił. Wygląda na to, że młodociani hoplici nie zdążyli mu jeszcze wyrządzić żadnej krzywdy. W jaki sposób dostał się na podwórze, jak się znalazł w samym środku miasta? Serce zaczyna mi bić jak szalone, obracam się i niemal czekam, aż ujrzę duży, czarny cień, przemykający chyłkiem od śmietnika ku bramie, skąd już blisko do bezpiecznych zarośli parku.

Działam automatycznie. Kucam przy młodym i przednią jego łapę przekładam sobie ostrożnie na plecy. Przebudza się, ale nie wyrywa. Dla pewności owijam pasek torby wokół trolla, tak że łapy ma mocno przyciśnięte do boków. Rzucam za siebie ukradkowe spojrzenie i biorę zwierzę na ręce. Jest lekkie, ptasio kościste, waży znacznie mniej niż dziecko tej samej wielkości.

Lustruję szybko okna; tylko u sąsiada z pierwszego ćmi się w sypialni czerwonawe światło. Za szybą przemyka głowa egzotycznie wyglądającej młodej kobiety, czyjaś dłoń zaciąga zasłony. Teraz.

Po chwili jesteśmy w moim mieszkaniu.

Jest bardzo słaby. Kiedy kładę go na łóżku, w ogóle się nie broni, tylko patrzy na mnie swymi czerwonawymi, kocimi oczyma o pionowych, czarnych źrenicach. Ma trochę ostrzejszą niż kot, prostą kość nosową, nozdrza są duże i pełne wyrazu. Mordka nie przypomina w ogóle dzielonego pyska kota czy psa; jest to wąska, pozioma szczelina. Całość tak bardzo przypomina twarz człowieka - jak pysk marmozety lub innych szerokonosych naczelnych - że nietrudno pojąć, dlaczego te czarne stworzenia zawsze uważano za ludzi lasu, za zamieszkujące nory i jamy, przypadkowo stworzone przez naturę karykatury człowieka.

W świetle lepiej niż na dworze widać, że jest jeszcze młody. Rysy twarzy i linie tułowia są miękkie, okrągłe i wzruszająco nieporadne, jak u młodych wszystkich zwierząt. Przyglądam się

jego przednim łapom: jak łapy szczura albo szopa, mają gibkie palce o wydatnych stawach i długich pazurach. Uwalniam go z więzów paska torby, nawet nie próbuje mnie drapnąć ani ugryźć. Przekręca się tylko na bok i zwija w kłębek, wsuwa między uda zakończony kitką ogon i przyciska zgięte przednie łapy do piersi. Czarna, skołtuniona grzywa zsuwa się na pysk i stworzenie wydaje skamlące westchnienie, jak zasypiający pies.

Stoję przy łóżku, patrzę na małego trolla i czuję silny zapach, który jednak nie jest nieprzyjemny: jakby rozgniecionych jagód jałowca z jakąś domieszką - pizma, paczuli? Troll nawet nie drgnął. Jego kościsty bok unosi się i opada w rytm szybkiego oddechu.

Z wahaniem biorę z sofy wełniany koc, stoję chwilę obok łóżka, po czym przykrywam trolla. Jego tylna łapa prostuje się instynktownie z siłą i prędkością błyskawicy, koc łąduje mi na twarzy. Ściągam go z łomoczącym sercem, boję się, że przestraszone stworzenie zaraz rzuci się na mnie z pazurami i zębami. Ale nie. Troll leży dalej zwinięty w kłębek i spokojnie oddycha.

Dopiero teraz dociera do mnie, że przyniosłem do domu drapieżcę.

Boli mnie głowa i szyja. Spałem na sofie. Jest diabelnie wcześnie, jeszcze ciemno. A łóżko jest puste. Właśnie, wszystko było jedynie wytworem mojej wyobraźni, która nie znosi światła dziennego.

Tylko że na podłodze przy łóżku leży rozkopany koc. A z łazienki dochodzi cichy, cichuteńki odgłos.

Wstaję i w sączącym się przez okno świetle ulicznej latarni podchodzę powoli, tak cicho, jak tylko potrafię, pod drzwi łazienki. W szarym mroku dostrzegam małe, czarne i kościste pośladki, tylne łapy, drgający ogon z kitką - i rozumiem. Pije wodę z muszli klozetowej. Odór jałowca aż gryzie w nos. Po chwili dostrzegam na miętowozielonych kaflach posadzki żółtą kałużę. No jasne.

Przestał chleptać, wyczuwa mnie i unosi znad muszli górną część tułowia ruchem tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym. Z pyska kapie woda. Próbuję przekonać sam siebie, że woda jest zupełnie czysta, że oczywiście nadaje się do picia, próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałem w ręku szczotkę i wc-kaczkę.

Oczy troiła są cały czas zamglone, nie wygląda zdrowo, jego kruczoczarne futro jest matowe, że aż smutno. Usuwam się z drzwi łazienki, a on przemyka obok mnie do pokoju dokładnie tak jak zwierzę, które nie ma innej drogi ucieczki: niby od niechcenia, a jednak szybko, czujnie. Stawia tylne łapy zwinnie i miękko, inaczej niż człowiek: pochyla się nieco do przodu, lekko napięte przednie łapy są zgięte i nieco rozchylone na boki - ach, jak on się unosi na tych swoich paluszkach, jaki z niego baletmistrz. Odprowadzam go wzrokiem i widzę, jak z kocią zwinnością wskakuje na łóżko, bez żadnego odbicia, jak gdyby ciężenie nie istniało, po czym zwija się w kłębek i znów zasypia.

Przynoszę z kuchni miseczkę, nalewam do niej wody i stawiam obok łóżka. Potem idę wytrzeć podłogę w łazience, chociaż w głowie mi dudni.

Co te trolle, u diabła, jedzą?

Idę do pracowni. Zostawiam drzwi otwarte, budzę komputer, odpalam Netscape'a i w okienko wyszukiwarki wpisuję słowo TROLL.

BIES, in. TROLL (dawn. także „licho, kaduk, chyłek”), *Felipithecus trollius*. Rodzina kotomałpy (*Felipithecidae*).

Występujący w całej Skandynawii gatunek drapieżnika, spotykany także na północ od Morza Bałtyckiego i w zachodniej Rosji. W środkowej części Europy wyginął całkowicie z powodu stopniowego trzebieenia lasów, ale mitologia i źródła historyczne pozwalają sądzić, że jeszcze w średniowieczu występował tam dość powszechnie. Oficjalnie został odkryty i naukowo sklasyfikowany dopiero w 1907 roku, przedtem uważany za stworzenie mityczne, występujące tylko w bajkach i folklorze.

Dorosły samiec waży od 50 do 75 kg, w postawie wyprostowanej osiąga wysokość od 170 do 190 cm. Zwierzę dwunożne o chwytnych przednich kończynach, choć w ruchu wykazuje wiele cech zwierząt palcochodnych. Tylne łapy mają cztery, a przednie pięć palców zaopatrzonych w długie pazury; jeden z palców przypomina kciuk. Ogon długi, z kitą. Język szorstki. Oczy żółto-czerwone, o wąskiej, pionowej źrenicy. Najczęstsze ubarwienie to smolista czerń. Sierść gęsta, gładka, samce mają na głowie gęstą, czarną grzywę. Porusza się wyłącznie nocą. Główne pożywienie stanowi drobna zwierzyna, padlina, gniazda ptasie i pisklęta. Zapada w sen zimowy. Przypuszcza się, że samica zachodzi w ciążę na jesieni przed zapadnięciem w sen; na wiosnę lub na początku lata rodzi 1-2 młode. Niewiele jest jednak sprawdzonych informacji o tym nadzwyczaj płochliwym, unikającym człowieka drapieżniku. Jest niezwykle rzadki; przypuszcza się, że w Finlandii żyje około 400 osobników. Uznany za gatunek ginący.

Początkowo, z powodu dużego podobieństwa do człowieka czy małpy, błędnie uważano trolle za bliskich krewnych człowieko-kształtnych, dokładniejsze badania pozwoliły jednak ustalić, że mamy do czynienia z ewolucją konwergentną. Trolle uważano za przedstawiciela naczelnych i to błędne rozumienie sprawiło, że jego pierwszą oficjalną nazwą gatunkową była „małpa jaskiniowa północna”, po łacinie *Troglodytes borealis*. Później stwierdzono, że gatunek należy do zupełnie odrębnej rodziny z rzędu drapieżnych, nazwanej *Felipithecidae*, ale skojarzenia z małpą zachowały się jeszcze przez jakiś czas w nazwie *Felipithecus troglodytes*. Obecnie ugruntowana nazwa łacińska gatunku - naukowo ścisła i jednocześnie czyniąca zadość tradycji ludowej - brzmi *Felipithecus trollius*. Ciekawostką historyczną jest stanowisko szacownego towarzystwa Societas pro Fauna et Flora, które zaproponowało - również odwołując się do mitologii i znanego z folkloru pojęcia „bies” - nazwę *Felipithecus satanus*.

Z rodziny *Felipithecidae* poza gatunkiem *trollius* znane jest jeszcze tylko jedno zwierzę: chodzi o już niemal wymarłą koto-małpę żółtą z Indonezji (*Felipithecus flavus*), która rozmiarami zbliżona jest do rysia i żyje w środkowej warstwie deszczowych lasów tropikalnych. Analiza znalezisk kopalnych pozwala przypuszczać, że wspólny przodek tych dwóch gatunków żył w Azji południowo-wschodniej.

Mimo że tryb życia i uzębienie trolle wyraźnie wskazują na to, że jest on drapieżcą, zdaniem wielu naukowców rząd *Carnivora* nie jest dla *Felipithecidae* właściwy. Przedstawiano teorie, że troll

jest bliżej spokrewniony z owadożernymi i naczelnymi niż z właściwymi kotami drapieżnymi, czego potwierdzeniem są także niektóre cechy anatomiczne.

Pojawiły się twierdzenia, że niektóre gatunki zwierząt, których istnienia nie udało się potwierdzić naukowo (jak występujący w bajkach i opowiadaniach tybetański człowiek śniegu, czyli Yeti, i mityczny północnoamerykański Sasquatch, czyli Wielka Stopa), mogą być również unikającymi ludzi przedstawicielami rodziny *Felipithecidae*.

Przekonujące dowody istnienia gatunku *Felipithecus trollius* uzyskano dopiero w roku 1907, gdy na wydział nauk biologicznych i zoologicznych Cesarskiego Uniwersytetu Aleksandra w Helsinkach przywieziono znalezione przypadkiem ciało dorosłego trolla. Świadczenia osób twierdzących, że widziały trolla na własne oczy, spisywano już dużo wcześniej, ale zwierzę to, często występujące w bajkach i innych tradycyjnych przekazach takich jak *Kalevala*, uważano w kręgach naukowych za stworzenie baśniowe. Jest też prawdopodobne, że mity o skrzatach i podziemkach przetrwały dzięki odnajdywanym czasem na niezamieszkanym terenie pojedynczym młodym trollom. Ten pogląd wspiera teoria, że trolle mogą regulować przyrost populacji, porzucając młode.

Niezwykła zdolność maskowania się w otoczeniu, trudno dostępne siedziby, płochliwość oraz fakt, że troll porusza się bardzo cicho i tylko w nocy, a zimą w zasadzie nie zostawia śladów, gdyż zimuje w jamach, mogą być częściowym wyjaśnieniem tak późnego odkrycia tego gatunku. Zoologiczna historia trolla bardzo przypomina zatem historię żyrafy okapi, którą nauka odkryła dopiero około 1900 roku, warana z Komodo (1912) i pandy wielkiej (1937). Choć wszystkie te zwierzęta były znane z bogatej ustnej tradycji ludowej, a ich istnienie zostało potwierdzone przez tubylców, naukowcy przez długi czas wkładali te świadectwa między bajki. Warto w tym miejscu przypomnieć, że ocenia się,

iż na kuli ziemskiej żyje 14 milionów gatunków zwierząt, z których rozpoznano i sklasyfikowano około 1,7 miliona, czyli niecałe 15 procent. Na przykład nieznane wcześniej nauce, stosunkowo duże zwierzęta kopytne *Meganuntiacus vuquangensis* i *Pseudoryx ngetinhensis* odnaleziono dopiero w roku 1994...

Anioł

Stukam w klawiaturę, ale co jakiś czas spoglądam w stronę sypialni. Po pijaku pomysł wydawał się po prostu rewelacyjny - przynieść do domu rozczulające, porzucone młode dzikiego zwierzęcia. Zwierzęcia, które może osiągnąć dwa metry wzrostu.

Ciągle jednak, chociaż jestem już trzeźwy, stwór ma w sobie coś całkowicie zniewalającego. Czy to tylko kwestia płynności jego ruchów widzianej oczyma zawodowca?

Czy może za każdym razem, gdy wpadnie mi w oko coś pięknego, czuję, że od razu muszę to mieć? Na kliszy albo w rękach. W aparacie albo w sypialni.

Chociaż nawet nie wiem, co z nim zrobić?

Nic jednak nie zmienia faktu, że jest jeszcze mały. I chory. I słaby. I porzucony, zdany tylko na siebie.

Drukuję stertę najróżniejszych tekstów, które i tak mi chyba w niczym nie pomogą. Wracam do Wirtualnego Zoo i najeżdżam na link o ewolucji.

Dowiaduję się, że ewolucja konwergentna to upodobnienie się do siebie dwóch różnych gatunków istot żywych, które nie są blisko spokrewnione ze sobą genetycznie. Dobre przykłady to rekin, ichtiozaur i delfin, które wykształciły się z zupełnie różnych form kręgowców - rekin pochodzi od ryb, ichtiozaur od żyjących na lądzie gadów, delfin zaś od ssaków lądowych. Mimo to od nich wszystkich wywodzą się zwierzęta o takim samym, opływowym kształcie ciała, zaopatrzone w płetwy i ogon, należące do tej samej

B3 21

niszy ekologicznej szybkich, polujących na ryby zwierząt oceanicznych. Przykłady można by mnożyć: stepowe ptaki nielatające - emu, struś i moa - czy przystosowane częściowo do życia w wodzie fok, uchatki i syreny.

Zmądrzałem, że aż strach. A zatem artykuł mówi, że rozwój konwergentny znaczy tyle, że w odległych od siebie miejscach na Ziemi w takich samych warunkach klimatycznych i środowiskowych z nawet całkowicie odmiennych form wyjściowych mogą wykształcić się podobne do siebie pod względem cech fizycznych gatunki organizmów. Przykładem takiej ewolucji konwergentnej są więc z jednej strony kotomałpy z Azji południowo-wschodniej i trolle, pochodzące od małego drapieżnika nadrzewnego, nieco przypominającego borsuka czy szopa, a z drugiej strony - małpy i człowiekowate pochodzące od praform ssaków naczelnych. Jedne i drugie zajmowały tę samą niszę ekologiczną, w której dwunożność i chwytność palców przednich kończyn zapewniły im przetrwanie...

Nic, co by mi pomogło.

Patrzę na komputer. To tylko maszyna.

Muszę wymyślić coś innego.

W wyobraźni słyszę telefon dzwoniący u doktora Spidermana. To znaczy u Joriego Pajali, mojego byłego faceta, zwanego Pajakiem.

Odbiera po ósmym sygnale i w jego głosie od razu wyczuwa się wściekłość.

Próbuję najpierw niezręcznie sztampowych no-jak-tam-leciów, ale sam wiem, że ta ścieżka jest bardzo krótka.

- Mój słodki Aniele, złotowłosa cherubinie - w nieco nosowym głosie Spidermana słyszę ton złośliwy. - Dopiero co mi dałeś porządnego kopa w cztery litery po niecałych dwóch miesiącach cudownej łaski. Twój telefon odrobinę mnie więc zastanawia. Zwłaszcza zaś jego pora.

Próbuję bąkać coś o tym, że o ile dobrze pamiętam, to stanęło na tym, że będziemy dalej przyjaciółmi.

- A już myślałem, że twoja matka przemówiła ci do rozsądku. Zawsze marzyła o tym, żebyś się spotykał z prawdziwym lekarzem, prawda? - rzuca Spidey, a ja robię się czerwony. Głos mu się zmienia, teraz słycać w nim niemal zainteresowanie. - Czyli co, nie udało ci się jednak złapać rybki na haczyk?

Zaczynam pojmować, że ten telefon to tragiczny błąd, ale Spider-man nie zna litości i ciągnie dalej.

- Pamiętam, jak ze Izami w tych swoich wielkich, niebieskich oczach próbowałeś z siebie wydusić, że nie jestem w twoim typie, że to jednak nie ja i że zraniłbyś mnie, gdybyś przedłużał związek, w którym nie potrafisz trwać w pełnej równowadze. A przy tym cały czas gadałeś o tamtym facecie.

Naprawdę? Jasna cholera. To możliwe. Zupełnie jakbym brał go w posiadanie, mówiąc o nim, wtrącając od czasu do czasu niby mimochodem jego imię.

- Było widać, jak rozkoszujesz się smakiem jego imienia na języku. Martti Martti, Martti to i Martti tamto. Wyobrażasz sobie chyba, jakie to było paskudne i odrażające. I cała ta twoja słodka mówka o tym, jak trudno ci się związać na stałe, najwyraźniej zmierzała do odsunięcia mnie na bok, żebyś miał pole manewru do zmiany frontu, kiedy obiekt twojego platonicznego uwielbienia - i najwyraźniej także partner w przyszłym, prawdziwym i trwa łym związku - dojrzeje i da ci zielone światło. Czy nie tak?

Milczę. Zabrakło mi słów.

- No więc? O co chodzi? Odchrząkuję. To nie będzie łatwe.

- Co wiesz o trollach?

W słuchawce słycać diaboliczny śmiech.

- Aniołku kochany, teraz musisz wybaczyć moją ciekawość. Pisziesz referat do szkoły?

Mruczę pod nosem jakieś bzdury, że to kwestia pewnego zakładu.

- Chodzi głównie o to, co one jedzą - kończę bezradnie. Czuję, jak ze słuchawki w ucho Spidermana promieniuje moje speszone milczenie.

- Dzwonisz do drogiego weterynarza w niedzielę o ósmej trzydzieści, żeby zapytać, co jedzą trolle? - wybucha.

Wiem, że Spiderman potrafi być cholernie zjadliwy i jest taki zawsze, kiedy tylko może, ale też nigdy nie może oprzeć się pokusie błysnięcia swoją wiedzą. I rzeczywiście. W jego głosie pojawia się znajomy pouczający ton.

- Żaby, małe ssaki, okradają ptasie gniazda - wylicza. – Kiedyś opowiadano, że trolle zjadały owce na odległych pastwiskach, ale to najprawdopodobniej czysta fantazja. Istnieje teoria, że łowią ryby łapami jak niedźwiedzie, i nie mam żadnych powodów, żeby w to wątpić. Zajęce. Ptactwo łowne. Od czasu do czasu trafi się trollowi na kolację i okulawiony młody renifer. Czasem polują także na niewielkie jelenie. Jedzą też padlinę, jeżeli się trafi. Dorosły osobnik codziennie potrzebuje od kilograma do dwóch białka zwierzęcego. Co jeszcze...

Kiwam głową do słuchawki i wydaję potakujące pomruki.

- Zdecydowanie mięsożerne, a więc nie wszystkożerne, jak na przykład niedźwiedzie. Przemiana materii jak u kotów drapieżnych. Jeżeli założyłeś się więc, że trolle skubią szyszki podczas pełni, wyrzuciłeś pieniądze w błoto. A jeśli potrzeba ci więcej informacji, moja ty anielska nimfo, to wypożycz sobie z biblioteki *Wielkie drapieżniki Finlandii* Pulliainena.

A potem słyszę stuk odkładanej słuchawki.

Iivar Kemppinen, *Mitologia fińska*, 1960

W mitologii fińskiej, podobnie jak w wierzeniach innych narodów, poczesne miejsce zajmuje, obok zjaw i duchów opiekuńczych, wiele zwierząt uznawanych za demoniczne. Zalicza się do nich między innymi: niedźwiedzia, trolla, wilka, węża, żyworódkę, żabę, łasicę, ryjówkę, osę, bazyliżka i wesz. Zwierzęta demoniczne tym różnią się od zjaw i duchów opiekuńczych, że są zazwyczaj - z wyjątkiem płochliwych i tajemniczych trolli oraz łasic - wyraźnie widoczne i rozpoznawalne. Czasem jednak demona zwierzęcego mylono z duchem opiekuńczym, na przykład trollom składano ofiary z jedzenia na płytach ofiarniczych, a oswojonego węża wprost nazwano duchem opiekuńczym (SKS Karttula, Juho Oksman No. 1029; SKS Sortavala, Martti Moilanen No. 2625). W międzynarodowej literaturze naukowej wiele jest pozycji o zwierzętach demonicznych i różne są w tej materii zapatrywania. Odpowiedź na pytanie, dlaczego w mitologii fińskiej z zasady wszystkie wspomniane wyżej zwierzęta - poza paroma jeszcze, których nie wymieniłem - nabrały charakteru i znaczenia demonicznego, nasuwa się sama: są to drapieżniki albo inne szkodniki, które zrodziła Jędza Północnica z Manali, po czym zesłała je na ziemię, by trapiły i prześladowały ludzi. I choć nienawidzono ich jako przedstawicieli złych mocy Północnicy, to przecież czczono je i starano się je przebłagać. Stąd też wzięło się przekonanie, że krzywda wyrządzona zwierzętom przemienionym w te czy inne duchy opiekuńcze, na przykład oswojonemu wężowi czy żabie, sprowadza nieszczęście na sprawcę.

Duch opiekuńczy lasu, Tapio, to pierwotnie sam ożywiony las, duch lasu (Ganander 1.89; Gottlund 1.350), i jako taki należy do

istot podziemia, podziemków. Duch opiekuńczy mrocznych lasów nazywał się też Chyłek. Stosowane więc jako nazwy lasów określenia Tapiola czy Chyła, to siedziba ducha opiekuńczego lasu -Tapia albo Chylka. Czasem jednak ogólnie o lesie mówi się „tapiola” czy „chyła” i wówczas słowa te nie odnoszą się do żadnego ducha opiekuńczego ani zwierzęcia (SKVR VII 1 No. 810, 823). W tym też sensie mówi się w Karelii „rod Hilka” o mieszkańcach lasu; Chyłek przybrał tu rolę przedstawiciela złych mocy Jędzy z Manali. W karelskiej gminie Hiitola są zalesione „Pohiite pahor-ki”, gdzie, jak powiadano, miały mieszkać „zli hilki”. Także w karelskiej gwarze lidejskiej słowo „las” znaczy tyle co „zły” (Kujola 1.234-35). Jeśli jednak przez określenie „mieszkańcy lasu” rozumiano „ród Jędzy” czy „ród Chyłka”, zakresy tych pojęć nałożyły się na siebie, a to najprawdopodobniej dlatego, że ciemny las z mieszkającymi w nim niedźwiedziami, wilkami, trollami i innymi demonami budził grozę, przez co łatwo kojarzył się z Manalą, skąd - jak wierzono - miały przybyć wszystkie zrodzone przez Jędzę Pólmocnicę drapieżniki (§ 313).

Anioł

Matowoczarny bok na łóżku unosi się i opada szybko, jak w gorączce. Przemiana materii drapieżnego kota.

Rzucam się do lodówki, buszuję w niej histerycznie. Dżem pomarańczowy, oliwki Kalamata, świeże, ale już nieco przywiędłe chili, bawarski ser pleśniowy.

Kot. Kot. Co jedzą koty?

Jedzenie dla kota.

W tej samej chwili w mojej głowie rozbłyska wspomnienie: ten z parteru... jak mu... tam? Kaikkonen? Korhonen? Koistinen? Facet, który ma za żonę tę młodą cudzoziemkę. Mają jakieś zwierzę. Widziałem go kiedyś, jak wchodził do swojego mieszkania ze smyczą z czerwonej skóry w rękę.

A więc mają kota, bo nigdy nie widziałem, żeby którekolwiek było na dworze z psem.

Palomita

Sen to studnia, a ja to pęcherzyk powietrza. Woda to czarny miód. Ręce i dłonie próbują się poruszać w lepkim miodzie. Rozrywam powieki, aż pieką mnie oczy.

Oblewam się potem i serce zaczyna pędzić. Przez chwilę myślę, że to dzwonek barowy na Ermicie. Dzwonek, który każe wyjść z zaplecza. Ale na szczęście trafiam w coś dłonią, otwieram oczy i okazuje się, że dookoła jest niebieskoszara noc na niby.

Spalam strasznie głęboko, jak zawsze, kiedy nie ma Pentiego. Kiedy jestem sama, już idąc do łóżka, czuję, że spadam i wiruję, nie muszę napinać każdego kawałka ciała, jak wtedy, kiedy Pent-ti jest obok. Nie trzeba się zrywać na każdy szmer. Kiedy Pentti śpi, wydaje odgłosy, jakby się dusił.

Ale ten odgłos wcale nie przypomina dźwięcznego i przeraźliwego dzwonka na barze na Ermicie. Jest bardziej napięty, bardziej chropowaty i szybciej zrywa na nogi. Ring ring ring, pobrzmiwa w pustym przedpokoju, z którego Pentti na czas podróży wyniósł wszystkie swoje płaszcze i zamknął je w garderobie. Zakładam na nogi bambosze i biorę z krzesła szlafrok. Dzwonek dzwoni znów i znów, zupełnie jakby komuś stało się coś strasznego. Wyciągam z szafy taboret, wdrapuję się na niego i zaglądam w wizjer.

To ten mężczyzna z góry. Jest jasny i wysoki i ma kręcone włosy. Widziałam go już raz na klatce schodowej.

Nauczyłam się, żeby zawsze patrzeć w wizjer. Pentti nie chce, żebym komukolwiek otwierała drzwi, poza tymi, którym kazał mi otwierać. Wizjer to studnia, w której mieszkają małe, powykręcane ludziki. Wiele razy w ciągu dnia stoję na taborecie i patrzę na

klatkę. Ludzie chodzą tam rzadko i zawsze, kiedy kogoś widzę, czuję się, jakbym dostała nagrodę. Mężczyzna znów naciska dzwonek, a potem zarzuca włosami. Rezygnuje.

Zupełnie nie wiem, dlaczego tak robię. Ale ostrożnie otwieram drzwi.

Mężczyzna mówi szybko po fińsku, rozumiem więc tylko dwa wyrazy na krzyż. W jego słowach są rogi i łuki, i długie miejsca, które trzeba wymawiać z szeroko otwartymi ustami. Na szczęście nie muszę dużo mówić po fińsku, bo Pentti w zasadzie nic nie mówi, a ja nigdzie nie wychodzę.

Przeprasza. Podaje swoje imię, którego dokładnie nie rozumiem, ale które brzmi jak Miguel. Mówi, że mieszka piętro wyżej, powtarza coś w kółko o jedzeniu i mówi kilka razy jedno słowo, którego w ogóle nie pojmuję.

Mężczyzna chyba spostrzegł, że go nie rozumiem. Do tej pory widział tylko swoje nieszczęście, ale teraz widzi i mnie. Zaczyna mówić po angielsku, który znam lepiej, ale i tak bardzo kiepsko, bo w domu używaliśmy chabacano, we wsi tagalogu, a do szkoły nie chodziłam za długo.

- Jedzenie dla kota? - pyta. - Czy mogłabyś mi pożyczyć trochę jedzenia dla kota?

Uśmiecham się mimo woli. Przecież nie mamy kota. Pentti nie chce mieć niczego takiego. Raz, gdy znowu był pijany, zabrał mi moją lalkę, którą dostałam na szczęście od barmanki Conchity, wrzucił ją do sedesu i splukał. Zauważył, że czasem wieczorem trzymam ją w dłoniach przed pójściem do łóżka. Lalka zatkała rurę i Pentti musiał długo ją przepychać, zanim woda znów zaczęła spływać.

Kręcę głową, nie ma „*no catfood*”. Pytam, czy mówi po hiszpańsku, ale pokazuje, że nie, a w oczach ma strach. Szukam angielskich słów, próbuję pomóc. Niedaleko jest mały kiosk, w którym sprzedają, co się tylko chce. Raz wieczorem Pentti wysłał

mnie tam po piwo, dał mi banknot i kartkę, na której nagryzmolił, co mam kupić. Pokazałam ją sprzedawczyni, która dała mi sześć zimnych, brązowych butelek. Nie zrozumiałam, że trzeba wziąć paragon, i kiedy wróciłam, Pentti powiedział, że wzięłam sobie część reszty. Mnie też się wydawało, że piwa były drogie. Nie chodziłam już potem do kiosku, ale pamiętam, że było tam tyle różnych towarów, co w markecie. Miguel marszczy czoło. Robi mi się go żal. Nie rozumiem, dlaczego nie może pobiec ten kawałek do kiosku, który jest jak mały dom towarowy, ale próbuję gorączkowo wymyślić, jak mogłabym mu pomóc. Myślę o kotach, myślę o jedzeniu. Dużo kotów jest w porcie. Jedzą ryby.

Zostawiam drzwi niedomknięte, biegnę do kuchni, otwieram zamrażalnik i wyciągam z niego paczkę. Pentti kupił tanio całą torbę mrożonych dorszy. Dzwonią o siebie niczym drwa. Wracam do drzwi i wciskam Miguelowi oszronioną siatkę w dłoń.

- Mikrofala. Do mikrofali - wymawiam wyraźnie, te słowa słyszałam często i znam je dobrze. Miguel wpatruje się w siatkę z rybami, przekłada ją z ręki do ręki, bo paczka jest bardzo zimna.

Ściska paczkę. Z ust płynie nieskładnie potok podziękowań, po fińsku i po angielsku. A potem już idzie z powrotem, pędzi po schodach do góry, mężczyzna o pięknej twarzy anioła i włosach jak rozświetlone pole pszenicy. Z górnego piętra dochodzi mnie głuchy łoskot zatrzaszczanych drzwi.

Anioł

Trzeba będzie jej to jakoś wynagrodzić, myślę, wrzucając tusze do kuchenki. Musi być z Filipin, bo mówiła trochę po angielsku i hiszpańsku, ale wygląda zdecydowanie na Azjatkę. Ma chociaż szesnaście lat? Nasi krajowi handlarze żywym towarem organizują takie oblubienice facetom w typie tego z dołu.

Czyli nie mają kota. Moja twarz rozjaśnia się w uśmiechu. Jakże mogłem się nie domyślić, po co mu śliczna, miękka, z czerwonej skóry smycz.

Ustawiam pokrętło na rozmrażanie i włączam kuchenkę. Gdy zaczyna szumieć, troll strzyże uszami i strzela ogonem, ale widząc, że nie dzieje się nic groźnego, znów się uspokaja. Po pomieszczeniu roznosi się zapach ryby, wyjmuję talerz z kuchenki i próbuję palcem; ryba jest z brzegów ciepła i biała, częściowo już dobra, a w środku jeszcze zmrożona. Większa jej część jest jednak letnia i wygląda jak szara galareta. Tnę nożem kawałki z rozmrożonych już miejsc i umieszczam na skrawku folii, potem idę z tym do pokoju i kładę na podłodze. Nozdrza trolla rozszerzają się, ale on nie wydaje się w ogóle zainteresowany zapachem ryby. Biorę rybę w dłoń i siadam na skraju łóżka. Pionowe źrenice trolla rozszerzają się nieco i wpatrują we mnie. Podtykam mu kawałek pod nozdrza, pod pysk. Wącha niedbale, jakby był znudzony, po czym znów zamyka oczy i w ludzkim niemal geście odsuwa ostentacyjnie głowę. Skulony odwraca się do mnie czarnymi, wątlymi i kościstymi plecami, a z jego brzucha dobiega cichy, cichuteński, ale jednak rozpoznawalny odgłos: burczenie.

Aki Barman, *Bestia w człowieku. Analiza związku człowieka z dzikim zwierzęciem w mitach i fantazji*, 1986

Przemiana człowieka w zwierzę bądź inny bliski metamorficzny związek człowieka ze zwierzęciem to niemal uniwersalny motyw mitologiczny, warstwa mityczna bez wątplenia wywodząca się z „ról zwierzęcych” znanych z szamanizmu i totemizmu. W różnych kulturach przemiany w zwierzęta i pokrewieństwo z nimi zazwyczaj obejmują występującego na danym obszarze kulturowym, przerażającego drapieżnika (w Azji jest to tygrys, w Ameryce Południowej jaguar, w Europie wilk, w Skandynawii zaś niedźwiedź, a zwłaszcza troll). Postaci człowieka i bestii zlewają się z sobą, a wokół zwierzęcia tworzy się skomplikowana tradycja ustna, do której należą - na przykład w opowieściach o wilkołakach - wyraźnie określone regularności, takie jak wpływ pełni Księżyca, uśmiercenie srebrną kulą, sposoby stawania się wilkołakiem i tym podobne. W Finlandii najwięcej takiego regularnego materiału baśniowego łączy się chyba właśnie z trollami.

Fińskie opowieści o narodzinach trolli, z racji pseudoczułowieczego wyglądu tych zwierząt, zyskały zabarwienie chrześcijańskie. Według jednej z wersji trolle miały się narodzić w ten sposób, że gdy Adam i Ewa spłodzili już tyle dzieci, iż sami zaczęli się tego wstydić, ukryli część z nich w norach, aby Bóg ich nie zobaczył. Dzieciom tym przyszło pomieszkiwać pod ziemią tak długo, że w końcu zmieniły się w trolle. Podobna baśń znana jest także na Islandii. Druga fińska wersja mitu mówi o tym, że trolle miały się narodzić podczas potopu. Leniwym ludziom nie chciało się budować arki za przykładem Noego, postanowili więc uciec przed

potopem w góry. Czas spędzony w pieczarach zemścił się srodze: gdy wody opadły, okazało się, że ludzie przemienili się w trolle. Z przekazów tych wynika, że trolle uważano za przedstawicieli gorszego gatunku ludzi. Podobnie postrzega się między innymi małpy człekokształtne w wielu kulturach prymitywnych.

We wspomnianych wyobrażeniach Skandynawów trolle były częścią stworzenia, dziećmi Boga - a więc nie istotami nadprzyrodzonymi - które jednak w taki czy inny sposób sprzeciwiły się Jego woli. Księża próbowali wypłenić kojarzone z nimi pogańskie wyobrażenia, lecz część tych przekonań przetrwała, nawet pomimo uznania trolla za kolejny gatunek świata zwierząt. Ciekawe jest również, że pod wpływem chrześcijaństwa wiele ludowych opowieści o trollach, biesach i chyłkach przekształciło się w bajki o czarcie. Na przykład w Finlandii opowiada się setki historii o tym, jak to sprytny człowiek ośmiesza i oszukuje głupiego diabła - który we wcześniejszych wersjach tych podań jest niemal bez wyjątku trollem. Z opowieści tych jasno zatem wynika, że nasi dawni przodkowie odczuwali szczególną potrzebę podkreślenia swej wyższości wobec tego, tak bardzo przypominającego człowieka, zwierzęcia.

Typowymi atrybutami owych mitycznych trolli były brzydota, bujne owłosienie oraz zamieszkiwanie we wnętrzach gór i skal. Były one przedstawicielami mrocznych sił, w świetle dnia przeistaczały się w kamienie. Często trolle uważano za posłanników diabła, czyhających w nocy na ludzi i porywających ich do swoich nor. O wprowadzonych przez trolle mówiło się, że „zapadli się pod ziemię”. Swoje ofiary trolle zabijały albo więziły tak długo, aż te traciły rozum.

Te złe trolle występują również w skandynawskich opowieściach wikingów. Po tym, jak Odyn wraz z braćmi zabił olbrzymia Ymira, na jego gnijącym ciele zaczęły się roić czarne i białe larwy. Bogowie zawezwali robaki przed swoje oblicza i nadali im kształt

i rozum. Czarne larwy, z natury przebiegłe i fałszywe, bogowie zmienili w trolle. A skoro trolle zrodziły się z ciała Ymira, z którego powstała również ziemia, bogowie zdecydowali, że mają dalej wieść żywot właściwy ziemi i skalom. Dlatego właśnie trollom przyszło mieszkać pod ziemią i jeśli zdarzyło się któremuś pomylić i wyjść ze swej kryjówki na światło słoneczne, za karę zamieniał się w kamień. W innym miejscu *Eddy poetyckiej*, w pieśni zatytułowanej *Wieszczba Wólwy*, ród trolli wywodzi się z kolei od pomiotu wilka Fenrira. Ta trójca człowieka, trolla i wilka jest ciekawym połączeniem, rzucającym nowe światło na mit o wilkołaku.

W tradycji fińskiej znane są również trolle dobrodusze i nieszkodliwe. Żyły one podobno w tak dobrej komitywie z ludźmi, że miały się nawet wżenić w znane z nazwy rody. Istnieje wiele bajek o dziewczętach rodzących dzieci trollom i młodzieńcach umizgujących się do trollic. Przypominają one antyczne mity o ślubach człowieka ze zwierzęciem.

Opowieści o podrzucaniu przez trolle własnych młodych i porywaniu dzieci ludzkich znane są nawet w Chinach i wśród Indian Ameryki Północnej. Chociaż troll jako gatunek faktycznie nigdy nie przekroczył Cieśniny Beringa, możliwe, że przodkowie Indian, przedostając się przez Półwysep Czukocki na Alaskę, przenieśli tam ten motyw baśniowy. (Warto tu wspomnieć chociażby alas-kańskiego potwora *alascattalo*, skrzyżowanie łośa z morsem, którego nazwa jest etymologicznie spokrewniona z nazwą lapoń-skiego człekokształtnego bóstwa *staalo*, będącego prawdopodobnie jedną z wariacji mitu o trollach.) Niewykluczone, że uda się dowieść, iż zwierzę to w ciągu ostatnich tysiącleci odgrywało w symbolice ludów Północy rolę rzeczywiście wyjątkową.

Anioł

Wpatruje się we mnie jak szczeniak, ale w jego czerwonożółtych oczach tli się żar. Leży zwinięty w kłębek. Podchodzę ostrożnie do łóżka, wstrzymując oddech, siadam obok niego na krawędzi posłania i patrzę na unoszący się i opadający czarny bok, na sprężyste, a przecież bezbronne ciało. Nagle wyciąga łapę. Długie, giętkie palce i straszliwe pazury są coraz bliżej i niemal wyrywam mu moją dłoń, ale nie robię tego, nie robię tego, i jego palce owijają się na chwilę wokół mojego nadgarstka, czuję przez ulotną chwilę dotyk gorącej, wąskiej łapy i do oczu napływają mi łzy.

Minęły trzy dni, a on ciągle nie chce jeść.

Dawne runa narodu fińskiego, 1933. VTI:3, 3410. Kitee. Zakłęcie Repo-Mattiego Vakevainena

Jakci Stwórco nie lobieco, Jakci Pambuk zdarzy nico, To
zaś ty daj, coś za góróm, coś pod głazem, coś pod
zimiom!

Anioł

Doktor Spiderman wspomniał o ptasich gniazdach. Podałem trollowi w miseczce najpierw rozbite surowe jajko, potem całe ze skorupką, ale nie spróbował ani tego, ani tego. Przyniosłem ze Stockmanna jajka przepiórcze, które już go trochę zainteresowały, a może to tylko ich kolor i pstrokatość czy skromne rozmiary coś mu przypomniały. Ich też nie ruszył.

Rzucam przelotne spojrzenie w stronę łóżka i czarnego stworzenia, które jest niespokojne i wyczerpane zarazem i wyraźnie cierpi z głodu. Nie mogę go wypuścić na dwór, tam czekają na niego kolesie w buciorach ze stalowymi czubami, zabawiający się polewaniem żuli benzyną, zrzucaniem kotów z dachów wieżowców i katowaniem pedałów. A jeżeli komuś o nim powiem, też go na pewno stracę.

W nozdrzach ciągle czuję ten zapach jałowca. Jego współplemieńcy go nie chcieli. Był tym jednym za dużo, zbędnym balastem, kulą u nogi. Porzucili tę wątłą, delikatną i miękką istotę, którą można by uwiecznić w czarnym marmurze.

Wracam na przekłętą infostradę. Na rozciągający się we wszystkie strony elektroniczny asfalt, od którego ani jedna ścieżka nie odbija tam, gdzie powinna: do lasu.

Z głupia frant najeżdżam kursorem na podany na stronie Wirtualnego Zoo link do *Kalevali* i klikam. *Kalevala* w sieci ma własną wyszukiwarkę, czekam chwilę, aż komputer wyrzuci mi wszystkie „trolle” i „biesy”. Jest tego do wyboru, do koloru. Największe skupisko występuje w runie *Pogoń za trollem*, w którym Lemmin-kainen usiłuje dogonić na nartach rączego biesa, wywracającego

cebrzyki i kociołki podczas ucieczki przez lapońską wioskę. Otwieram runo z poradami dla panny młodej, w którym oblubienica gani swego wybranka, i siłą rzeczy przychodzi mi na myśl to filipińskie dziewczę z dołu.

Było mi trafić gdzie indziej, W przyjaźniejsze okolice, Do zagrody przestronniejszej, Obszerniejszego mieszkania, Kamrata z krzepką postacią I krwistym usposobieniem; Taki mi się pień przytrafił, Taki dostał się niezguła: Co urodę ma po wronie, Krucze lice i wejrzenie, Po wilku żarłoczną paszczę, Czarcie po biesie kołtuny, Resztę po niedźwiedziu jeszcze.

Wszystko na temat trolla. Nie oczekuję, że znajdę w *Kalevali* instrukcję karmienia trolla, ale zaskoczony stwierdzam, że czte-rostopowiec trocheiczny wciąga. No i kolejny fragment z trollem pasuje jak ulał - pieśń Vainamóinena.

Nie znalazło się w tym lesie Biegnącego czworonoga Ni kicających goleni, Co by nie przyszły posłuchać, Radować się i podziwiać. Wiewiórki przeskakiwały Z jednej gałązki na drugą, Zbiegły się też gronostaje

I przycupnęły na płocie. Łoś z pustkowiec przycwałował,
Nawet ryś się uradował. Przebudził się wilk przy bagnie,
Troll się spod skały wyczołgał, Dźwignął niedźwiedź z
wrzosowiska. Z choinowego barłogu, Z gawry wśród gęstej
jedliny.

Zaczynam mieć dosyć *Kalevali*. Wyszukiwarka wynajduje linki gdzie popadnie, biologia, mitologia, różne baśnie i opowieści, których są setki, jeśli nie tysiące. Ale nic konkretnego. Muszę poszukać gdzie indziej.

Wychodziłem już parę razy z domu, a po powrocie zawsze serce mi się krajało, gdy znajdowałem go w tym samym miejscu na łóżku, w niemal identycznej pozycji. Ledwie mógł unieść głowę.

Yrjö Kokko, *Pesik i Rusiq*, 1944

- He? - odezwał się ze zdziwieniem dzieciół i spojrzął w dół. Zobaczył tam na pięść wysokie, przypominające człowieka stworzenie, które miało jednak gęste, brązowe futerko i frędzelki na uszach, jak wiewiórka, a do tego mały, zabawny ogonek, jak u zajączka. Oczy stworzenia zerkały w górę na dziecióła wesoło i przyjaźnie. Co prawda zdawały się nieco za małe, ale wywoływać to wrażenie mógł okazały nos, pod którym znajdowały się równie duże usta. W wesołym uśmiechu odsłaniał się rząd zębów białych jak perły. Podobnie dłonie i stopy były może trochę za duże i sierść wyglądała na zmierzwioną, a z głowy spływały na szyję dosyć długie włosy. Oczywiście rzecz, był to przebudzony ze snu zimowego mały troll leśny - który przecież bynajmniej nie jest spokrewniony z owymi wielkimi, czarnymi drapieżnikami, czyhającymi latem na swoje ofiary na lapońskich gołoborzach, i jest co najwyżej ich bardzo dalekim krewniakiem. Innymi słowy, był to skrzat, znane z bajek małe i przyjazne stworzonko.

Anioł

Odkładam książkę na stół. Sądząc po ilustracjach, Yrjó Kokko nigdy nie widział zdjęcia prawdziwego trolla. Ale też nie ma w tym nic dziwnego, jak już się dowiedziałem z leżącej przede mną na stole w czytelni sterty książek, które są owocem poszukiwań według klucza TROLL: przypadki zaobserwowania trolla były niezwykle rzadkie, a zdjęcia jeszcze rzadsze, dopóki w połowie lat siedemdziesiątych nie zaczęły być modne automatyczne aparaty fotograficzne i czajenie się tygodniami w ambonie nad padliną. Wcześniej na trolle w zasadzie nie polowano, ponieważ ich mięso nie nadaje się do jedzenia z powodu odrażającego zapachu. Słyszało się o drobnym handlu zimowymi futrami trolli: Rosjanie na jesieni zastawiali niekiedy wnyki, ale był to biznes zupełnie nieopłacalny. Trolle wpadały w sidła niezwykle rzadko, a ustrzelić trolla było prawie niemożliwością, bo są to zwierzęta nocne, poruszające się szybko i bezszelestnie. Próbowano polować na nie z psami, ale wyniki były żałosne: trolle albo całkowicie myliły pogoń, albo - jeśli psom udało się je dopaść - rzucały się na nie z samobójczą wściekłością i rozszarpały na kawałki. Niemniej jednak wyhodowana w Rosji „trolbaka”, o temperamencie zbliżonym do bulteriera, jest rasą znaną po dziś dzień. „Trollowaja sobaka” jest odmianą karelczyka, a podobno ma też sporą domieszkę krwi wilka i husky. Do polowań jednak trolbaki (której właściwa nazwa brzmi podobno tropiciel ładoski, Boże, zlituj się) nie używa się od lat.

Na nic też się zdały, inaczej niż w wypadku niedźwiedzi, poszukiwania trolli w barłogach, ponieważ zwierzęta te wybierają

sobie na zimowe legowiska jamy tak niedostępne, że nawet poszukiwania ich otworów wentylacyjnych były na ogół bezsensowne. I chyba też nie opłacało się odstrzeliwanie trolli, nie stanowiły bowiem szczególnej konkurencji dla człowieka na terenach łowieckich: zimą całkowicie wypadają z gry, a i latem interesowały się bardziej lemingami niż łosiami. Przez jakiś czas płacono nawet za ich odstrzał, kiedy renifer kaubojs z Północy podnieśli lament, że stało z rosomakami pasą się na ich renach nie gorzej od urzędu skarbowego, ale potem w sprawę wmieszała się ochrona przyrody i wszyscy fińscy miłośnicy drapieżników.

Zagłębiam się w wiedzę jeszcze bardziej. Jacyś hanzeatyccy kupcy znali określenie „Spukenfell”, czyli „skóra spuka”, która była towarem rzadkim i drogim, równie mitycznym, co mumie syren czy rogi jednorożców. Na początku dwudziestego wieku Rosjanom się poszczęściło i złapali kilka trolli w sidła. Zdjęta z dorosłego „spuka” skóra, pokryta gęstym, jedwabiście czarnym zimowym futrem, miała podobno robić piorunujące wrażenie. Jeden z członków politbiura miał rzekomo w salonie swojej daczy przed kominkiem taką właśnie skórę z pozostawioną głową. Robi mi się słabo.

Czytam raz jeszcze opis trolla w książce Yrjó Kokko. W sumie, pomijając skalę, autor aż tak bardzo się nie pomylił; brązowe futerko w rzeczywistości jest czarne jak smoła, na uszach nie ma śladu frędzelków, a „zabawny ogonek” - mój Boże, co za potworne poniżenie - to gruszkogłowy wąż, świszczący pejcz, drgający wskaźnik nastroju. Pokażny nos, hmmm, może później, kiedy twarz się wydłuży i zacznie bardziej przypominać pysk. Usta też nie są szczególnie duże i kiedy „rozszerzają się w wesołym uśmiechu”, to chociaż rzeczywiście odsłaniają rząd białych zębów, *to* pomimo swej olśniewającej piękności, wyglądem i ostrością przypominają piłę i są spiczaste jak turecki sztylet. Ręce - przednie łapy - i stopy faktycznie są duże w stosunku do całego tułowia,

trochę jak u rysia. Sierść też wygląda tu i ówdzie na zmierzwioną, ale na głowie nie rosną włosy, lecz olbrzymia czarna grzywa, zupełnie jak gdyby w jego lesie swój salon prowadził stylist, który stworzył image Tiny Turner.

Wertuję jeszcze *Pesika i Ilusię*. Zwierzęta i rośliny rozmawiają sobie jak gdyby nigdy nic, dalej jest opis małej, słodziutkiej dziewczynki o dużych, niebieskich, zdumiewająco błyszczących oczach i białych, kręconych włosach, które wyglądają jak małe obłoczki na słonecznym niebie. Nimfa.

Troll i nimfa przedstawiają się sobie, nazywają się Pesik i Ilusia, jak nietrudno było zgadnąć, znając tytuł książki. On jest pesymistą, ona iluzjonistką, niezłe pomysły. A ponieważ ich imiona zostały skrócone, bo są tacy mali, Ilusia stwierdza, że to sam los ich połączył...

Zamykam książkę. W głowie mam jazgot.

Czym on jest dla mnie?

Podopiecznym, trochę takim gołębiem, który złamał skrzydło? Czy egzotycznym zwierzątkiem domowym? A może nieco dziwnym, lecz mimo wszystko fascynującym gościem, który zatrzymał się u mnie na jakiś czas i wyjedzie, gdy wizyta dobiegnie końca?

Czy kim?

Pytam samego siebie i nie odpowiadam.

Sięgam po kolejną książkę.

Przodkowie człowieka byli istotami wszechstronnymi, elastycznymi i pomysłowymi, bo przecież niemało musieli się natrudzić, żeby wyjść obronną ręką z wielu przydarzających im się co krok trudnych sytuacji, w których mogło dojść do podziału gatunku. Jeśli zatem u któregoś z hominidów stwierdzamy budowę ciała znacząco odmienną od pozostałych, wyjaśnieniem takiej dużej różnicy jest bez wątpienia nadzwyczaj silna presja zewnętrzna.

Od końca miocenu wydarzyły się jednak tylko dwa takie znaczące „skoki naprzód”, oddalone od siebie o mniej więcej cztery miliony lat: pierwsze wydarzenie dotyczy australopiteka, drugie człowieka:

1. Budowa biodra i nogi zmieniła się do tego stopnia, że na obszarach nizinnych poruszająca się dotychczas na czterech kończynach małpa leśna zaczęła chodzić prosto, a więc istota czworonożna stała się dwunożną, małpa opierająca się na przednich kończynach stała się małpą o wolnych, niczym niezajętych łapach.

2. Bardzo szybko powiększył się mózg.

Anioł

Stoi w szklanej witrynie na parterze biblioteki i przypomina obłą chmurę burzową. Przez te lata spędzone w szklanym pudle jego sierść straciła sporo ze swej lśniącej czerni. Do towarzystwa zniesiono mu najróżniejsze pocięte gałęzie, płaty mchu i jak psu z gardła wyjęte, styropianowe kamienie, które mają obrazować jego naturalne środowisko. Wypchano go w pozycji nieco pochylonej, długie i zwinne palce przednich kończyn wyciągają się ku szybie, tak że kiedy człowiek stoi blisko witryny, instynktownie się wzdryga i cofa pół kroku. Wykrzywiony w grymasie pysk odsłania olbrzymie, ciemnożółte zęby - może stały się takie z biegiem czasu. Stwierdzam, że wypychacz miał złe informacje o oczach trolla: szklane, brązowe guzikowe oczka - które nieźle pasowałyby niedźwiedziowi, ale w niczym nie przypominają tych prawdziwych: wielkich i skośnych, ognistych oczu o pionowych, wąskich źrenicach - czynią z drapieżnika, rzekomego symbolu dzikości i śmiertelnego zagrożenia, wzruszająco bezradne, zagubione zwierzę. Kładę dłonie na szkle, przytykam do niego nos i wargi. Szyba wokół moich ust pokrywa się parą, gdy szepczę: „Pomóż mi”.

Okolo dziesięciu milionów lat temu nasz domniemany praprzodek, mioceniński hominid, dożywał swych dni najpewniej w koronach drzew lasów tropikalnych, które w owym czasie pokrywały większą część Afryki.

Prawdopodobnie, zwyczajem szympanswi goryli, spędzał każdą noc w innym miejscu, ale ograniczał się w swych wędrówkach do bezpiecznego obszaru kilku kilometrów kwadratowych, na którym nigdy nie brakowało pożywienia, gdzie woda spływała strumieniami po pniach, a po deszczu na liściach pojawiały się plamy światła słonecznego, gdzie po lianach można było szybko uciec w bezpieczne miejsce przed okropnościami najniższego piętra lasu.

Ale gdy miocen przeszedł w oligocen, drzewa zaczęły maleć. Z niejasnych dotychczas przyczyn Morze Śródziemne wchłonęło około sześciu procent soli morskiej całego globu. Ponieważ zmniejszyło się zasolenie wód, morza okalające biegun południowy zaczęły się pokrywać grubą warstwą lodu. Powierzchnia lądolodu zwiększyła się dwukrotnie. Poziom morza obniżył się, a Morze Śródziemne, zamknięte mostem lądowym na wysokości Gibraltaru, przeistoczyło się w wielką słoną równinę.

Po lasach deszczowych w Afryce pozostały małe skupiska leśne - w których spotyka się obecnie małpy żyjące na drzewach - podczas gdy roślinność wschodniej części kontynentu przekształciła się w sawannę mozaikową, połączenie przestronnego lasu i stepu, gdzie przeplatają się ze sobą pora sucha i pora deszczowa, obfitość i niedostatek, potopy i popękane dna jezior. Tak wyglądała ojczyzna australopiteka.

Podobny był los jego bardzo odległej kuzynki, zrodzonej w dżunglach południowo-wschodniej Azji kotomałpy, *Felipithe-cusa*. Również ona musiała porzucić wyższe partie drzew i dopuścić do podziału gatunku, przystosowując się do nowego, zmiennego krajobrazu. Z powodu braku pożywienia podjęła wędrówkę do swej nowej ojczyzny, ku równinom Azji Wschodniej, skąd przeniosła się ostatecznie do lasów Syberii.

Zarówno *Australopithecus*, jak i *Felipithecus* były stworzeniami, które chodziły wyprostowane i prawdopodobnie potrafiły przenosić obciążenia - zapewne zdobycz i potomstwo - z jednego miejsca w drugie, z czym wiąże się rozwój mięśni ramion. Ich szerokie barki, długie przedramiona i częściowo chwytne palce stóp wskazują jednak na to, że zwierzęta te, przynajmniej w swych prehistorycznych formach, żyły na drzewach lub tam szukały schronienia.

Palomita

Klatka schodowa to wielkie ucho, w którym dźwięk ring ring ring słabnie coraz bardziej, aż znika. Stoję pod drzwiami Mikaela, ale Mikaela nie ma w domu. Sprawdziłam, że teraz jest ta sama pora dnia co wtedy, kiedy spotkałam go ostatnio, ale mimo to go nie ma. Nie udało mi się zobaczyć przez wizjer, czy przyszedł, bo musiałam sprzątać i dużo prac, a hałas pralki zagłusza odgłosy kroków na klatce.

Ale teraz w dole słychać dźwięk i odwracam się, i serce zaczyna mi od razu łomotać, nie wiem, czy to strach, czy próżna nadzieja. To ta szybko mówiąca, przyjazna pani, która mieszka naprzeciwko nas, idzie schodami w górę, chociaż nie mieszka na tym piętrze. Zmieściłabym się w nogawce jej spodni. Pentti sprowadził ją raz, żeby otworzyła drzwi, kiedy zgubił płaszcz i klucze, które miał w kieszeni. Ta pani ma na sobie zawsze tę samą kufajkę, na której są naszyte wypukłe łąty, i nosi duże, dyndające kolczyki. Pyta, jaką mam sprawę do Mikaela, uśmiechając się i przekrzywiając głowę, jakby chciała być bardzo przyjemna, choć jednocześnie w jej pytaniu jest trochę złości.

Mikael był pod naszymi drzwiami i wsunął do środka przez okienko na pocztę zupełnie nowe, drogie i kolorowe hiszpańskie czasopismo. Na szczęście, kiedy to zrobił, Pentiego nie było w domu. Przypiął jeszcze do okładki spinaczem małą kartkę, na której napisał po angielsku i śmiesznie po hiszpańsku „dziękuję za pomoc” i jeszcze „Mikael”. Mikael, nie Miguel. Mikael myślał na pewno, że ja dobrze znam hiszpański, ale ja potrafię przeczytać tylko kilka słów. Mało jest już ludzi na Filipinach, którzy mówią po hiszpańsku.

W zasadzie to i po angielsku nie umiem czytać za dobrze. Ale zdjęcia w czasopiśmie są piękne i błyszczące.

Oczywiście, nie mówię tego wszystkiego, tylko pokazuję na puszkę z jedzeniem dla kota i na drzwi. Nie mieści się w okienku na pocztę, jest za gruba. Owinęłam ją papierem, na którym napisałam po angielsku „Dla twojego kota, dziękuję za gazetę, Palo-mita”, i spięłam gumką. Pani pochyla się nade mną niczym lato-wana góra. Mówi bardzo wolno po fińsku i bardzo starannie składa usta przy każdym słowie. Rozumiem, że mówi, że mam przyjść jeszcze raz kiedy indziej, chyba że chcę, żeby ona przekazała przesyłkę do adresata. Wyciąga dłoń, na palcach ma ciasne pierścienie. Kręcę głową, nie chcę pozbywać się puszek. Zebranie pieniędzy na jej zakup trwało długo.

Czasopismo ukryłam w koszu na pranie. Pentti nigdy tego kosza nie tyka.

Pani puszcza mi przyjaźnie oko i odchodzi. Pospiesznie wracam do mieszkania. Muszę ukryć jeszcze puszkę z jedzeniem dla kota, nim nadarzy się kolejna sposobność.

Anioł

Nie wiem, czego się spodziewałem po bibliotece. Pewnie że znajdę piękny leksykon w błyszczącej oprawie pod tytułem *Żywnienie drapieżników w warunkach domowych*. Że po prostu zajrzę do indeksu i przeczytam: kuna, niedźwiedź, rosomak, ryś, tchórz, o proszę, jest i troll. A potem jeszcze zdążę skoczyć do sklepu po zakupy.

Wracam do bibliotecznego komputera i sprawdzam, czy nie przeoczyłem jakiejś pozycji. Jeden odnośnik mnie zastanawia: dział muzyki dla dzieci? Wzdycham i klikam po dokładniejsze informacje. I oto są, piosenka i słowa.

W głowie od razu słyszę melodię. Znam ją na pamięć, jak każdy, chociaż nigdy jej nie słuchałem. Dopiero teraz, gdy znana melodia i słowa wibrują mi w uszach w kółko, jak w automacie.

Wziąłbyś trolla Burczymaka, gdybyś tylko złapał?
Zapakował do koszyka, figła w domu spletał.

Serce mi ciągle wali jak szalone w rytm potwornego „tiju-tau”, a już rozlegają się beztroskie słowa drugiej zwrotki.

Żadna mama nie da nikomu
wziąć trolla z podwórka.
To tak jakby chować w domu
węża albo szczurka.
Tiju-tau tiju-tau tili-tali-tit-tan...

Melodia kończy się w myślach jak nożem uciął. Spostrzegam, że cały czas obracam w myślach *węza albo szcurka, węza albo szcurka, węza albo szcurka*. ..Iw tych dwóch słowach, w których jest coś znajomego, jakaś wspólna więź, i to całkiem oczywista... jest rozwiązanie.

Selma Lagerlof, *Zamieniec*. Ze zbioru *Trolle i ludzie*, 1915

- Już nie wiem, co temu zamieńcowi dawać jeść - powiedziała pewnego dnia żona do męża. - Nic z tego, co mu daję, nie chce przełknąć.
- A cóż w tym dziwnego? To nie wiesz, że trolle jadają tylko żaby i myszy?!
- Przecież nie możesz ode mnie wymagać, abym chodziła nad sadzawkę i łowiła dla niego żaby.
- Nie, ja tego nie wymagam. Myślę, że będzie najlepiej, gdy to zemrze z głodu.

Anioł

Otwieram drzwi sklepu. Dźwięczy mały dzwoneczek. Drzwi się zamykają.

Pozdrawiam sprzedawcę. Wskazuję na jedną. Sprzedawca zadaje pytania, których za dobrze nie słyszę, kręcę głową, nie ma różnicy, wszystko jedno. Sprzedawca unosi brwi. Wszystko jedno?

Pakuje jeszcze dodatki, tego będę przecież potrzebować, i to będzie mi potrzebne, i to. Wzbraniam się bezradnie, chwytam karton, wpycham sprzedawcy w dłoń banknot, biorę resztę i paragon.

Dźwięczy mały dzwoneczek.

B 53

Zwierzęta, które polują na inne stworzenia, muszą umieć gryźć i korzystać ze swoich pazurów. Muszą być również szybkie, przebiegłe i nadzwyczaj cierpliwe.

Lis jest znany ze zmyślnych metod polowania, wilk zaś z niezmordowanych pościgów - zwierzę to potrafi podążać za swoją ofiarą przez dziesiątki kilometrów. Ryś jest niewiarygodnie wytrwałym skrytobójcą, troll porusza się ciszej od cienia, a wydra jest wytrawnym i szybkim pływakiem.

Im więcej w pokarmie zwierzęcia mięsa, tym ostrzejsze ma siekacze i tym nieustępliwszą naturę. Łasica jest rozbawiająco ciekawska, a przecież zarazem tak harda, że potrafi zaatakować zwierzę większe od siebie, przy czym nie boi się nawet człowieka, gdy ten nierozważnie naruszy spokój jej gniazda.

Borsuk i tępoogoniasty niedźwiedź są bardzo wybredne: podchodzą im jedynie najwyborniejsze przysmaki z królestwa roślin i zwierząt; jak przystało na prawdziwych smakoszy, cenią sobie szczególnie pożywienie o intensywnym smaku i nie gardzą nawet nadpsutym mięsem. Również tajemniczy troll niższy się czasem do zjedzenia padliny, zazwyczaj jednak jest w doborze pożywienia bardziej kapryśny.

Anioł

Otwieram pudełko i wypuszczam na podłogę świnkę morską.
Zamykam oczy, nie wierzę, że to robię. Świnka jest miękka, gładka i ciepła, jej różowy
nosek pulsuje, a wąsy drżą. Jest biała i ma brązowe łaty. Trzeba przyznać, że jest
nieziemsko słodka.

Aż ślinka cieknie.

B SS

Martes

Sam już nie wiem, jak długo telefon dzwoni, nim Mikael odbiera. Gdy wreszcie podnosi słuchawkę, jest zdyszany, co chwila przetyka ślinę i chrapliwie pokasłuje.

- Rzygasz? - pytam żartobliwie.

- Kto dzwoni? - Sądząc po głosie, jest przestraszony.

- Martti.

- Martes - mówi Mikael, robiąc wydech. Nie wierzył, że zadzwonię. Nie dziękuje za ostatni raz i nie przeprasza, dobry znak, nie chce w ogóle wracać do tamtego zdarzenia. Łamałem sobie głowę, do kogo innego poza Mikaelem mógłbym zadzwonić w tej sprawie, ale nic nie wymyśliłem.

Nie cierpię sytuacji, kiedy kogoś potrzebuję.

Najbardziej nie cierpię tego, że potrzebuję kogoś, z kim, jak sądziłem, już nigdy więcej nie będę rozmawiał. Co prawda to, że i on potrzebuje mnie, że moje słowa są dla niego ważne, osłabia to przykre, męczące uczucie, że mógłby opacznie zrozumieć mój telefon. Natychmiast nabieram dystansu, odsuwam przynętę nieco dalej.

- Spieszysz się? Mam wrażenie, jakbyś gdzieś pędził. Mogę zadzwonić później.

- Nie, nie, spokojnie. Mów śmiało.

Słyszę w tle osobliwe, szybkie i mniej więcej rytmiczne chrzęsty i trzaski.

- Miałbym dla ciebie jeden projekt. Jak stoisz z czasem?

Głośne drapanie, jakby ktoś przeciągnął metalowym widelcem po dywanie albo tapecie. Głuchy łoskot. Drugi.

- W tym tygodniu mam dwie całkiem duże rzeczy, potem będzie w kalendarzu trochę luźniej. A co?
 - Dwa błyskawiczne drapnięcia.
 - Dałbyś radę wpaść zaraz na początku przyszłego tygodnia?
 - Nawet od razu w poniedziałek, ustalmy tylko godzinę...
 - Drapnięcie, głuchy łoskot, przesywający pisk i głos Mikaela urywa się szybkim, przerażonym wdechem.
 - Co się tam u ciebie dzieje?!
 - Mikael robi dwa głębokie oddechy.
- Oglądam... na wideo takie... kino eksperymentalne. Bardzo ciężkie efekty specjalne.
 - Oho. A jaki gatunek?
 - Jakby to określić... pewnie... horror.

Anioł

Pierwsze co robię, wchodząc do domu z nową stertą książek, w euforii z powodu spotkania, które jest tak blisko, tak blisko, to wdeptuję w trolle gówna. Niech jeszcze tylko usłyszę o jakichś przygnębiających powrotach do domu - że dzieci robiły w kuchni cukierki i nie posprzątały po sobie albo że mąż leży na kanapie spity do nieprzytomności! Nie każdy jednak wdeptuje we własnym przedpokoju w nawaloną chyłkiem kupę. Sraka jest, oczywiście, starannie wsunięta pod bieżnik, tak że wchodząc na nią, zafajdałem i parkiet, i bieżnik.

On dla odmiany nie leży na moim łóżku, tylko objaja leniwie na podłodze zakupioną przeze mnie gumową myszkę, z której ostał się jedynie szarawy korpusik. Jest zaspany, a oczy ma matowe, chociaż na pewno nie jest już głodny. Wiadomo, że za dnia jest pasywny, ale on nawet nocą już prawie w ogóle się nie rusza.

Po co było mu dawać stały pokarm, słyszę złośliwy wewnętrzny głos, kiedy idę po szufelkę i papierowe ręczniki. Zdrapuję placki, próbując nie oddychać przez nos, i zanoszę je do kubła. Staram się nie patrzeć na nie, bo dobrze znam ich skład; nie chcę widzieć tych małych kostek ani brązowo-białych kępek sierści.

Idę z powrotem do pokoju, a w moim głosie pobrzmiwa autentyczna złość.

- Kto zrobił kupę na podłogę?!

Troll rzuca mi przelotne spojrzenie i od razu odwraca obojętnie głowę; myszka jest dużo bardziej interesująca. Kupiłem piasek dla kota i wsypałem go do kuwety, która stoi w rogu łazienki, ale on nie ma ochoty go nawet wypróbować. Leje, nie wiedzieć czemu,

na podłogę łazienki, może dlatego, że tam właśnie wysikał się po raz pierwszy i tak oznaczył sobie to miejsce, a kałuże łatwo spłukać do kratki w podłodze. Ale z tym głównianym problemem jestem autentycznie w kropce.

- Co ja w zasadzie z tobą robię, Pesiku? - wzdycham i mija kilkadziesiąt sekund, nim dociera do mnie, że nadałem mu imię.

Opowieść o trollu i niedźwiedziu. Folklor Laponii okolic Inari, zebrali i wydali A. V. Koskimies i T. Itkonen. Publikacje Towarzystwa Ugrofińskiego XL, 1917.

Idąc raz przez las, napotkał troll niedźwiedzia, który kopał dla się barłóg. Zapytał niedźwiedzia troll: „Cóż robisz?”. Niedźwiedź na to: „Chowam się przed człowiekiem”. Odrzekł mu troll: „Ejże, nie myślę przecie, iżbym spotkał człowieka, którego trzeba by się lękać”. Niedźwiedź mu rzecze: „Lękać się trzeba męża, kiedy orężnym jest. Wyjdź z lasu na trakt, a snadź spotkasz męża, co w twoim sercu lęk zasieje”. Troll wyszedł z lasu na trakt. Po jakimś czasie napotkał na swej drodze małego chłopca. Spytał go: „Czyliś ty mąż?”. Chłopię na to: „Jeszcze nie mąż, ale onym się stanę”. Troll zostawił go i poszedł dalej traktem. Tym razem wyszedł mu naprzeciw starzec i troll go zapytał: „A ty, czyliś jest mąż?”. Starzec mu na to odrzekł: „Jam już nie mąż; byłechże ci ja mężem, przecież już nie jestem”. Troll i jego zostawił i ruszył dalej traktem, a szedł i szedł, aż napotkał żołnierza, który na koniu jechał. Troll zapytał: „A ty, czyliś jest mąż?”. Żołnierz odrzekł: „Mężem mię nazwałeś i zaiste mężem jestem”. Wtenczas troll zakrzywił pazury, gotując się do skoku. Żołnierz chwycił za rusznicę i postrzelił trolla w ogon, aż futro z niego odeszło; ostała się jedno na samym końcu fręzla. Troll się ku żołnierzowi obrócił, aby go ugryźć, ale ten dobył z pochwy miecza i naciął mu na każdym oku jedną pionową kreskę. Trollowi przyszło salwować się ucieczką; i wracał tą samą drogą, którą był przybył, aż znów spotkał niedźwiedzia. Niedźwiedź spytał: „Azali wierzysz już, że męża lękać się trzeba?”. Troll uwierzył i on również gawrę sobie wykopał, i od tej pory robi tak co rok.

Anioł

Biolog, z którym rozmawiam przez telefon, gładko przełknął bajeczkę o tym, że jestem dziennikarzem i piszę artykuł o tresowanych zwierzętach. Sam przypuszcza, że temat zahacza o etykę cyrkową - błyskotliwy domysł, nigdy bym nie wpadł na taką przykrywkę - i zdążył już omówić słonie, niedźwiedzie i uchatki.

- Często widzi się także tresowane lwy i tygrysy - naprowa

dzam. - A krajowe drapieżniki? Czy pańskim zdaniem można by

niedźwiedzia czy chociażby... trolla systematycznie czegoś uczyć?

- rzucam beztrzesko mimochodem.

Profesor rozkręca długi wykład, z którego rozumiem najbardziej to, że wilki, na przykład, są bardzo podatne na naukę, ponieważ są zwierzętami stadnymi - jakiś cholerny Grzimek, którego nazwisko mądrała literuje mi z wyczerpującą starannością, robił nawet nad tym poważne badania - a zatem słuchają tego, kto ma autorytet, nawet jeśli to jest człowiek. Z kotowatymi, takimi jak lwy czy tygrysy, rzecz ma się inaczej, koty są zazwyczaj bardzo niezależne i nie zrobią niczego, jeśli nie zostaną za to natychmiast nagrodzone. W ostatecznym rozrachunku wszystko zależy jednak od wzorca społecznego zwierzęcia.

- Wzorca społecznego? - Zaznaczam pytanie tonem głosu niczym kiepski aktor.

- Niestety, nasze informacje w tym względzie są bardzo skąpe. Zgodnie z jedną teorią trolle mogą żyć, jak lwy, w swoistych mi-krostadach, w których zwierzęta zachowują się w określony, hierarchiczny sposób. Z drugiej strony, tygrys jest zwierzęciem

B 61

terytorialnym, poluje samotnie i nie toleruje innych osobników na swoim terenie. Oczywiście, jest także możliwe, że występuje u nich typowy dla szympanców schemat z samcem alfa: stosunkowo luźna społeczność kierowana, dajmy na to, przez największego samca. Ma on pierwszeństwo w dostępie do samic stada i tak dalej. To przypuszczenie opiera się jedynie na domniemaniu, że ewolucja konwergentna z naczelnymi mogła się dokonać również na innych poziomach prócz wyglądu zewnętrznego...

Nie poczułem się wcale mądrzejszy, do chwili, gdy facet jakby się przebudził.

- Zawsze jednak najlepsze efekty uzyskuje się wtedy, gdy szkoli się zwierzę od wczesnej młodości. Nagrody i kary w odpowiedniej proporcji... Przypominam sobie, że słyszałem o wytresowanym trollu, którego miano pokazywać na jarmarkach jakoś krótko przed wojną; zapewne to ten sam osobnik, który stoi obecnie wypchany w Muzeum Zoologicznym w Tampere...

Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie wyblakłe stworzenie w szklanej witrynie, jego absolutne upokorzenie. Tresowany troll.

- Ale wielkie drapieżniki to teraz bardzo modny temat, po tych wydarzeniach w Joensuu i Kuopio...

W Joensuu i Kuopio? - zadaję sobie pytanie, nie rozumiejąc, o czym on mówi.

- A tak w ogóle, gdzie się to ukaże? - pyta profesor, ale ja odkładam już słuchawkę.

W Finlandii jesień wielkich drapieżników. „Wiadomości Wieczorne” 30.11.1999

Mieszkańcy Kuopio, Joensuu i innych miast są z troską coraz częściej obserwując pojawianie się wielkich drapieżników na obrzeżach miast. Widziano je kilkakrotnie również w pobliżu miast środkowej i południowej Finlandii. Poza często obserwowanymi już wcześniej niedźwiedziami i wilkami do miast zbliżają się także trolle.

Normalnie trolle spotyka się w Finlandii niezwykle rzadko. Ostatnio jednak przy wschodniej granicy, a nawet w gęściej zaludnionych gminach, odnotowano w krótkim czasie sześć całkowicie pewnych obserwacji trolla, z których część miała miejsce w pobliżu osad ludzkich.

Troll, dotychczas znany jako zwierzę nadzwyczaj płochliwe, rozszerza swoje rewiry poza niezamieszkane obszary leśne i tundrowe, zbliżając się do miast. Niektórzy interpretatorzy mówią, że powodem tego jest brak pożywienia. Zwłaszcza osobom mieszkającym blisko wielkich obszarów leśnych zaleca się, by starannie zamykały pojemniki na śmieci i trzymały małe zwierzęta domowe na uwięzi. Troll zazwyczaj nie atakuje człowieka, ludzie nie powinni więc czuć się zagrożeni. Poza tym, trolle to zwierzęta nocne, można je zatem spotkać jedynie wczesnym rankiem lub późnym wieczorem.

ZWIERZĘTA DOMOWE SĄ NIESPOKOJNE

- Mój wilczur zaczął przeraźliwie wyc. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby wyc. Wyszedłem na podwórze i próbowałem go uciszyć, ale się nie uspokoił - opowiada mieszkaniec Kuopio, Risto Huttula.

B 63

Potem spostrzegł, że skrajem pola bieżą na dwóch nogach dwa smolście czarne stworzenia. Pies najwyraźniej wychwycił z wiatrem ich zapach, zanim się pokazały. Myśliwi poszli sprawdzić ślady, ale ponieważ na ziemi prawie nie było śniegu, nie udało się jednoznacznie rozstrzygnąć, czy bieżące stworzenia były trollami, które jeszcze nie zdążyły zapaść w sen zimowy, czy ludźmi, którzy z jakiegoś powodu przemykają się lasami.

Berneńczyk sąsiada Huttuli przez całą poprzednią noc skomlał i kręcił się niespokojnie. Rano pomimo nalegań nie chciał pójść tropem drapieżników.

PULLIAINEN AKCEPTUJE „DRAPIEŻNIKI MIEJSKIE”

Badacz drapieżników, profesor Erkki Pulliainen, uważa, że sytuacja jest przejściowa, i nie widzi powodów do zmartwień.

- Sytuacja na pewno częściowo się ustabilizuje, gdy niedźwiedzie i trolle wraz z pierwszym śniegiem ułożą się do snu zimowego. Zmartwieniem miastowych pozostaną wówczas już tylko wilki, rosomaki i rysie, które kręcą się w pobliżu ludzkich siedzib w poszukiwaniu pożywienia i na pewno nie mają zamiaru na nikogo polować - podkreśla Pulliainen.

W teorię braku pożywienia Pulliainen osobiście nie wierzy.

- Wręcz przeciwnie, powodem przenoszenia się drapieżników w pobliże przedmieść jest prawdopodobnie to, że właśnie w tych rejonach populacja niektórych gatunków małej zwierzyny jest szczególnie duża. Stwierdzono, na przykład, że ryś z biegiem czasu przystosowuje się do zmian kultury człowieka. Zwierzęta te już dawno pojawiały się na obrzeżach Helsinek, Turku i Tampere, gdzie mają zarówno mnóstwo pożywienia - na przykład zajęcy, jeleni - jak również lubianych przez niego terenów: osłoniętych młodziaków oraz gęstych lasów mieszanych i sosnowych - mówi Pulliainen.

LUDZIE SIĘ BOJĄ

Opinii Pulliainena nie podziela bynajmniej mieszkanka Joen-suu, pani Riikka Vesaisto. Uważa, że duże drapieżniki stanowią realne zagrożenie dla jej owiec, a nawet rodziny.

- Dwa tygodnie temu mój syn, pierwszoklasista, szedł do szkoły i powiedział, że widział, jak gapi się na niego zza świerków „czarny dziadyga”. Chłopak zaczął uciekać i zatrzymał się dopiero na podwórzu szkoły. W jednej książce o zwierzętach rozpoznał w tym stworzeniu trolla. Co jeszcze musi się stać, żeby do ludzi dotarło, że dorosły troll to dwumetrowa bestia, dla której małe dziecko to tylko przekąska?

Mąż pani Riikki, Antti Vesaisto, mówi to samo.

- Trzeba by znowu wprowadzić nagrody za odstrzał drapieżników. Tyle się teraz trąbi o ochronie przyrody, ale ja bym chciał usłyszeć, co by powiedział taki ekolog jeden z drugim, jakby jego własny dzieciak został porwany w drodze do szkoły przez wilka albo inne diabelskie nasienie.

Anioł

Poniedziałek. Ten jutrzejszy poniedziałek. Mógł wtedy zadzwonić do kogoś innego. Nie wiem, na ile jeszcze mogę mieć nadzieję, nie odważę się przecież na żaden ruch. Ale jednak zadzwonił, zadzwonił, kurna.

Pesik nauczył się respektu dla gazety. Choć nigdy go nie uderzyłem, a trochę nią jedynie symbolicznie wywijalem, Pesik pojmuję najwyraźniej, że zrolowana gazeta to oznaka władzy. Gdy zaczął powoli kojarzyć, że nie podoba mi się jego kupa pod chodnikiem w przedpokoju, zaczął załatwiać swoje potrzeby w łazience, w kuwecie, którą wypełniam strzępami podartych gazetek reklamowych i innych zbędnych papierów. Muszę opróżniać pudło codziennie, Pesik nie załatwi się do brudnego. Próbowałem zapachowego piasku dla kota, ale z jakiegoś powodu Pesik pała do niego niepoohamowaną nienawiścią.

Jako osłody do porannej gazety do prowadzenia Pesika używam myszosczków i myszek - Pesik dostaje jedną, gdy zachowuje się jak grzeczny biesik. Poza tym myszoscзки nie są tak kosztowne i paskudzące jak świnki czy chomiki.

Mimo że od czasu do czasu je i chce mu się nawet polować, to jednak zdrowy nie jest. Zastanawiałem się, czy tamci początkujący kryminaliści nie zdążyli mu czasem wyrządzić krzywdy. Może ma jakieś złamanie albo krwotok wewnętrzny? Z drugiej strony, przecież gdyby Pesika bolały mięśnie albo łapy, dostrzegłbym to w jego ruchach. Ale on jest po prostu niemrawy i cichy, jak dopalająca się, migocząca świeca.

W tych rzadkich chwilach, kiedy się rusza, jest żwawy niczym żywe srebro. Mam wrażenie, że kpi sobie z siły ciężenia, stosunek siły jego mięśni do rozmiarów ciała jest oszałamiający. Porusza się płynnie jak oliwa, jak jedwab.

W jego oczach szaleją nocne pożogi lasu.

2. Osobliwy serca zryw

Martes

- Calvin Klein? - pytam i nachylam się nad Mikaelem, tak że nosem dotykam niemal jego włosów. Jego blade policzki oblewają się rumieńcem. Facet nie spal tej nocy.

- Co mówisz?

- Woda po goleniu. Zmieniłeś markę?

Mikael pachnie trochę jak CK One, świerkiem i cytryną, i korzeniami, i ten zapach przyprawia mnie o drżenie. Ale gdy patrzy na mnie tym wzrokiem szczenięcia, gdy próbuje znaleźć w moich oczach coś, czego w nich nie ma, zaczyna mi zaraz grać na nerwach. Wydaje mi się, że po tych dwóch wieczorach w knajpie wyjaśniłem mu dostatecznie jasno i wyraźnie, że walnął tym wszystkim jak kulą w płot. Ale teraz jest mi potrzebny i dlatego nachylam się nad nim i poruszam miękko nozdrzami jak klacz nad spłoszonym źrebkiem. Musi dobrze pamiętać, jak bardzo chce mi się przypodobać.

- Taa, to zupełnie nowa rzecz, rozdawali próbki w Stockmannie. Jakaś woda. Rzekomo powiew przygody, trudno powiedzieć, czy uda im się w ogóle zaistnieć porządnie na rynku...

Facet jest spięty jak agrafka, czuję, jak w brzuchu aż mu się gotuje.

- Ale słuchaj, przecież nie zaprosiłem cię tutaj po to, żeby cię męczyć o wodę po goleniu. Mam za to dla ciebie robotę.

Mówię mu krótko, o co chodzi. Firma džinsowa rozpisła konkurs na nową kampanię między nami a trzema innymi agencjami reklamowymi. Model ich džinsów nazywa się Stalker i firma chce rzecz jasna od razu stać się marką kultową, która jednym uderze-

B 71

niem pioruna ma się wypalić w świadomości rozeznanych w światowych trendach odbiorców. Ma to być równie oryginalne i ostre, co Diesel, a przy tym równie drążące podświadomość, co stare kampanie MicMaca, które robił Herbie Kastemaa. Ale zupełnie nowatorskie. Jasne.

- Zawsze byłeś jednym z naszych najlepszych fotografów. A w ostatnich czasach pokazałeś jeszcze, co z twoich prac można zrobić na komputerze. Wymyśl dla nas ideę.

- Ideę?

- Oczywiście, ja jeszcze z kilkoma naszymi art directorami i copywriterami harujemy w pocie czoła, aż dymi się nam z uszu. Ale potrzebujemy teraz do tej roboty każdej ilości lewych i prawych półkul. Stalker to między innymi ktoś, kto uprzykrza się wielkim sławom, ale nie chcemy brać żadnego głupawego zdjęcia Madonny, chcemy nowego punktu widzenia. Chciałbym, żebyś coś wymyślił, jakąś zajebiste ostrą fotę. Coś w stylu polewamy stalkery benzyną, palimy je w Pradze na placu Jana Palacha i z dymu składamy logo, a nasze hasło to „*Cmon baby light my fire*”, wiesz o co chodzi. *No limits.*

Anioł

- Potrzebuję czegoś mocnego - mówi Martes, a ja nie mogę oderwać oczu od jego dłoni, które zaciskają się seksownie, jakby oplatały ciasno dwa drążki. - Czego nikt wcześniej jeszcze nie widział, czegoś dzikiego.

Gdy spoglądam w górę, zdaje sobie sprawę, że wpatrywałem się w jego dłonie, i uśmiecha się, jego oczy zwężają się w małe szparki.

- Nie znam nikogo, kto miałby bardziej chorą wyobraźnię niż ty. Popuść jej wodze. Popuść na maksa.

Martes

Mikael kiwa powoli głową, a ja podnoszę stojącą w kącie dużą, ciężką torbę.

- Tu masz osiem par stalkerów, wszystkie możliwe rozmiary, i w razie potrzeby dostaniesz więcej. Czasu jest dość, dwa miesiące. *Deadline* mamy na koniec marca. Jak trafisz w dziesiątkę, będziesz miał z tego niezłą kasę. Mówimy tu o jakichś dziesięciu tysiącach papierów.

A jeśli trafisz w dziesiątkę i my zgarniemy całą pulę, będziemy z tego mieli pięćset tysięcy eurasów na czysto. Ale tego nie mówię na głos.

Rzucam torbę Mikaelowi, ten pod jej ciężarem niemal pada na ziemię, ale cofa się kilka kroków i utrzymuje się na nogach.

- Nasz człowiek do zadań specjalnych. Wiesz pewnie, jak cię tu nazywamy?

Mikael trzyma torbę dwoma rękami, unosi wzrok pytająco. Zniżam głos prawie do szeptu.

- Michał Anioł.

Anioł

Michał Anioł.

Nie byłem Michałem Aniołem, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, wtedy byłem Studiem Hartikainen.

I dalej jestem Studiem Hartikainen: fotografia reklamowa, elektroniczna obróbka zdjęć i grafika komputerowa. A on to Mart-ti, Martes, najtwardszy art director najmocniejszej agencji reklamowej w mieście.

Pamiętam.

Wchodzę do biura i przedstawiam się, moje prace, wdaję się w rozmowę o filtrach graficznych i elektronicznych bankach zdjęć, i pomiędzy Martesem a mną rodzi się od razu gładkie, aerodynamiczne zaufanie.

Zaufanie, to prawda, i oczywiście obopólna fascynacja: tak jak jednego kompetentnego profesjonalistę może fascynować drugi, którego dziedzina jest na tyle bliska jego własnej, że potrafi zrozumieć z niej wystarczająco dużo, by zrodziła się fascynacja, a zarazem jednak na tyle daleka, by nie musiał z nim rywalizować o klientów.

Pamiętam, Martes.

Pamiętam, jak na spotkaniach szukałeś mnie oczami za plecami naszego wspólnego klienta i robiłeś miny zrozumiałe tylko dla nas, a ja musiałem się powstrzymać od śmiechu.

Pamiętam, jak wspólnie projektowaliśmy jakiś wizual i byliśmy tak zgodni, że aż mnie zatykało, jak wystarczyło, by jeden z nas wypowiedział pół słowa, a drugi mówił: „Tak! Właśnie miałem to powiedzieć!”. I przybijaliśmy piątkę, i pamiętam wtedy twoją

BB 75

twarz, pamiętam jej wyraz i to, że miałaś niezapięty ostatni guzik dzinsowej koszuli. Pamiętam, że wtedy, gdy byliśmy sam na sam, zauważyłem, że od czasu do czasu badawczo mi się przyglądasz, tak badawczo, że zaczynało mi brakować tchu, i jak nasze spojrzenia spotykały się i trwały tak o tę chwilę za długo, aż musiałem zacząć coś wyjaśniać zachrypniętym głosem. I czytałem z twoich oczu, Mar-tes, nie było w nich kłamstwa. Nie było w nich gry.

Pamiętam, jak prosiłeś mnie na spotkania do firmy, chociaż można było załatwić sprawy przez telefon. Pamiętam, że wtedy, gdy wyciągałeś mnie od czasu do czasu po pracy na piwo, rozmawialiśmy o wszystkim między niebem a ziemią i odnosiliśmy się do siebie z szacunkiem, i byliśmy sobą zafascynowani, i lubiliśmy się, i śmialiśmy się z tego samego, i nadawaliśmy na niewiarygodnie zbieżnych falach, co do jednego miliherca. I może wypijaliśmy obaj po kilka kufli poza granicę rozsądku.

Pamiętam, jak cię obejmowałem, czułem przez spodnie twoją erekcję, kiedy w mroku nocy staliśmy oparci o metalową balustradę przy wodospadzie. Czuję ciągle twoje usta na moich, Martes, usta o smaku papierosów i guinnessa, czuję twoje wąsy drapiące moją górną wargę i zaczyna mi się kręcić w głowie.

Martes, ja pamiętam - i nadal wiem, że to nie powstało w mojej wyobraźni.

Palomita

W małej studni jest nagroda.

Najpierw słyszę kroki i ta nadzieja, nadzieja, nadzieja, aż mnie boli z obu stron szyi. Idzie w wizjerze po schodach, jest malutką laleczką, która spaceruje po powierzchni mojego oka. Ma na ramieniu dużą torbę. Wślizguję się jak jaszczurka do łazienki. Puszka z jedzeniem dla kota jest w koszu na pranie. Z sypialni przez ścianę dochodzi chrapanie Pertiego, jakby ktoś darł worek połamanymi paznokciami. Wyjęłam przewód telefonu z gniazdka i schowałam komórkę pod stertą poduszek na sofie, żeby nic go nie obudziło. Za trzecim razem za nic nie chciał mu stanąć i bałam się, że zauważy, że celowo próbuję go zmęczyć. Czasem dawał mi klapsa, bo to oczywiście moja wina, kiedy mu nie stoi, ale teraz na szczęście tylko warknął i kazał mi siebie ssać, i w ten sposób wypompowalam go tak zupełnie, że wiedziałam, że przez następne dwie godziny będzie spał jak zabity.

Ręce muszą być jak pióra, żeby drzwi się nie zatrzasnęły, gdy je przymykam. Bezgłośnie lecę schodami. Jego drzwi właśnie go połykają, gdy wypowiadam po cichu jego imię.

Anioł

- Mikael.

Słyszę, że ktoś wysapuje za mną, na klatce, moje imię i odwracam się zaskoczony. To ta narzeczona na zamówienie, z pierwszego piętra. Wymachuje jakimś cylindrycznym przedmiotem i stoi w niedomkniętych drzwiach, ubiegając jakąś konkretną reakcję z mojej strony. Przez chwilę w głowie kotłują się myśli, ale zaraz się uspokajam. Jest dzień, Pesik śpi, ale poza tym jest już tak słaby, że aż chce mi się płakać. Są dni, kiedy chociaż mam dla niego myszosczożka czy chomika, on wychłęptuje tylko odrobinę wody. W jego oczach próżno by teraz szukać blasku. Drzwi do pokoju są zamknięte, więc wpuszczam kobietę do przedpokoju, bo najwyraźniej nie chce stać na klatce. Niemalże przepycha się obok mnie do środka.

Kobieta - Palomita, jak mówi - wyjaśnia mi coś słabym angielskim, trochę to trwa, nim cokolwiek z tego do mnie dociera. Chce podziękować za gazetę, którą jej dałem, i tutaj daje mi za to w rewanżu prezent, coś dla mojego kota.

Dla kota? A, oczywiście.

Dziękuję jej, uśmiechając się raczej smutno rozbawiony niż uradowany z otrzymanego prezentu, a ona z uniesioną głową wpatruje się wzruszająco w moją twarz dużymi, brązowymi oczyma kozicy. Nagle się wzdryga, zamiera, jej oczy rozszerzają się jeszcze bardziej.

Z klatki dobiega odgłos kroków.

Słysząc wyraźnie, że ktoś idzie po schodach do góry. Na trzecim piętrze mieszkam sam, pierwotnie odrębne, dwupokojowe mieszkanie obok to teraz moje studio, tak więc ten ktoś, kimkolwiek jest, idzie właśnie do mnie.

Palomita

Kroki dobiegają mnie jak razy. Z klatki przez drzwi dosięgają moich uszu i twarzy. Najgorszy moment jest wtedy, gdy podchodzą pod drzwi Mikaela. Ból nie jest ani trochę tak straszny jak wówczas, gdy się czeka na to, że w każdej chwili może zboleć. Zmieniam się w jaszczurkę, która szuka sobie jakiejś nory za plecami Mikaela, potem za płaszczem. Kroki się zatrzymują i to, że teraz ich nie słyhać, jest jeszcze bardziej przerażające.

Nie chcę oddychać. Za chwilę zabrzączy dzwonek. Za chwilę Pentti zacznie walić pięściami w drzwi. Krzyżeć i kłać słowami, w których będą ostre krawędzie, a jego głowa będzie tak czerwona, że aż sina. Zza płaszcza moje nogi rzucają mnie w inne miejsce, teraz do drzwi, zawisnąć na klamce, i dalej w głąb drugiego pokoju, który wylewa się na mnie falą światła.

Anioł

Kasznięcie i niemal niedosłyszalny stuk plastikowego wiadra mówi, że baba z dołu sprząta klatkę, ale na dźwięk kroków Palo-mita zmienia się w hiperaktywne tornado; najpierw wywija się i chowa za mną, potem wplątuje się w wiszące w przedpokoju płaszcze, a potem przyskakuje beznadziejnie do drzwi pokoju, i - „ale zaraz, tam nie wchodzi!” - nim udaje mi się to z siebie wykrztusić, drzwi są już otwarte, a ona stoi na progu z rozdziawionymi ustami.

Palomita

Ale cisza. Gdy wdycham powietrze, to tak jakby wiatr przewiewał mi głowę na wskroś. Potem słyszę, jak kroki znów ruszają i maleją. To nie mógł być Pentti. Pentti przeszedłby przez zamknięte drzwi.

Mikael stoi w przedpokoju z puszką w ręku. Ma taką minę, jak gdybym zrobiła coś niestosownego. Albo gdyby on zrobił. Teraz, gdy wiem, że to nie mógł być Pentti, zauważam to, co przed chwilą zobaczyłam. Podchodzę krok do białej, skórzanej sofy, która wygląda niczym pączkujący z podłogi gładki, bezbarwny grzyb. Kot jest naprawdę duży i zupełnie czarny, jak smoła. Jest większy od niejednego psa. Nie śpi, oczy ma otwarte i porusza uszami, ale nawet nie podnosi głowy.

Podchodzę jeszcze bliżej.

- Jest chory, bardzo chory - mówię.

U nas w domu w Malezji było dużo psów i kotów, i innych zwierząt, które kręciły się wokół domów. Gdy zwierzę tak wygląda, to niedługo umrze.

Dotykam go. Jest kościsty i gorący, a w sierści ma małe kołtuny i guzły. Jego nozdrza rozszerzają się i drżą, mój zapach jest dla niego nowy. Pysk nie jest koci, bardziej małpi. Albo ludzki.

Mikael prosi mnie natarczywym, szepczącym głosem, żebym była ostrożna.

- To nie jest kot, to troll - mówi.

Nie rozumiem słowa troll, ale rozumiem, co mówi: że jest to w zasadzie dzikie zwierzę, młody osobnik, którego on znalazł.

H 81

- Znów nic nie jadł przez dwa dni. - Głosu Mikaela prawie nie słyhać.

- Jest bardzo chory - mówię znowu.

Pamiętam, co zrobiłam, kiedy znalazłam pod domem legowisko psa. Nie wiem, co się w końcu stało ze szczeniakami, bo list z Manili już przyszedł, i ojciec i brat zabrali mnie już następnego dnia do Zamboangi i wsadzili na prom z Cotabato. Powiedzieli mi, że zostanę pielęgniarką. Byłam radosna, bo wiedziałam, że jestem w tym dobra. Nauczyłam się właśnie troszczyć o jeszcze ślepe szczenięta, których matka wpadła pod jeepa.

Biorę puszkę z karmą dla kota i gestykułuję nią, w końcu Mi-kael idzie do kuchni i słyszę odgłos otwieracza. Przychodzi z powrotem z otwartą puszką. Wpycham do środka palec i zginam go. Jedzenie dla kota jest jak grudowate błoto. Podsuwam ostrożnie palec pod pyszczek trolla, ale on odsuwa słabo głowę do tyłu, jest przestraszony, jego okrągła głowa trzęsie się jak u małego kotka. Chucham na palec, podgrzewam jedzenie i dodaję do niego własny zapach. Znów podsuwam palec i teraz węża go długo, podejrzliwie. Ale potem spomiędzy jego warg wysuwa się mały, różowy język i zaczyna lizać. Raz. Drugi.

Zaśmiewam się z radości i dlatego, że języczek łaskocze mnie w palec. Widzę zdumione spojrzenie Mikaela.

- Wcześniej nie jadł jedzenia dla kota.

- Może trzeba dawać w ten sposób. Myśli, że ja to jego *mama*.

Nie wiem, czy Mikael mnie zrozumiał, ale w jego oczach jest niedowierzająca radość, która powoli zastępuje szalejące w nich przerażenie.

Mikael patrzy, jak troll skubie kilka kęsów brązowej masy. Potem powieki zwierzęcia opadają, pomiędzy nimi widać już tylko lśniąca kreskę. Nie miał siły umyć oczu, w kącikach ma małe, żółte grudki. Wstaję i podaję puszkę Mikaelowi, idę umyć ręce nad zlewem w kuchni. Mikael idzie tam za mną.

- Stokrotne dzięki - mówi. Wzruszam ramionami, unoszę brwi: drobiazg. Ale nie czułam się jeszcze ani razu taka dumna i tak wesoła, odkąd przyjechałam do tego kraju.

Mikael odstawia jedzenie dla kota na stół i zupełnie nieoczekiwanie bierze moje dłonie w swoje, ściska je, przyciska do piersi.

- Dziękuję - mówi znowu. A ja jestem przestraszona, cofam ręce i znikam w przedpokoju tak szybko jak cień, ale nim zamknę za sobą drzwi cicho niczym szept, nie potrafię powstrzymać przelotnego spojrzenia w stronę kuchni: Mikael stoi w drzwiach z nieodgadniętym wyrazem twarzy, a moje serce bije, bije tak szybko, jak już dawno, dawno nie było.

Anioł

Pesik nie jest zdrowy, je, pije i wydalą, ale nie jest zdrowy. Sierść nie lśni, w jego oczach nie pali żaden ogień, bawi się bez entuzjazmu, przesypia zarówno dnie, jak i noce tym samym, rozpalonym snem.

Sam też w zasadzie nie jem ani nie śpię, robota zupełnie się nie klei. Rutynowe zlecenia kulają się gładko, ale to żadna szczególna twórczość. Foliowe torby ze stalkerami od Martesa walają się w kącie. Cholerny *deadline* wydaje się daleko, ale praktycznie rzecz biorąc to tylko kilka tygodni.

Palomita wiedziała od razu, jak tylko zobaczyła Pesika.

Coś trzeba zrobić. Szybko.

Ecke

Nasi chłopcy mają lożę, brakuje tylko lornetki - wystawiany dramat to najlepsza produkcja w kraju. Anioł i doktor Spiderman siedzą w tylnej niszy Cafe Bongo. Razem. Nie tylko ja śledzę przebieg zdarzenia, od lat nie działa się w tej zapchlonej szynkowni nic bardziej pasjonującego.

Anioł gorączkowo coś Pająkowi wyjaśnia, gestykuluje, wałkuje jakąś niezmiernie ważną rzecz i od czasu do czasu jego dłoń opada miękko na rękę Pajaka. Wąską twarz Pajali, która przypomina mordę psa gończego, ściąga nieufna mina, która bezustannie luzuje w stronę fazy euforycznej. Wydawało mu się, że Anioł jest już tak nieosiągalny, że równie dobrze mógłby być dla niego aniołem tańczącym na czubku igły we śnie średniowiecznego scholastyka.

Po tym, jak Anioł odstawił Pajaka, ktoś widział go w jakimś pubie z jakimś bardzo szczególnym brodatym bronkiem, włochatym okularnikiem, nie z naszych kręgów. Pojawiły się brzydkie pogłoski, że Anioł ugania się za jakimś heterykiem. A tu znowu ociera się o doktora, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Anioł Hartikainen, prawdziwego imienia na pewno nigdy nawet nie słyszałem. Pomimo trzydziestki facet ma twarzyczkę siedemnastoletniego cherubina, obramowaną złotą chmurą loków, której zakola nawet się jeszcze nie śniły.

Żołądek przeszywa mi lód. Odkąd zobaczyłem Anioła po raz pierwszy, wiem, że chcę go mieć.

BB 85

Doktor Spiderman

Złota głowa Anioła przekrzywia się na bok i przybliża do mnie tak, że czuję zapach jego wody po goleniu. Zapach jest nowy, leśny i metaliczny, osobliwie podniecający.

Anioł opowiada długą i zawiłą bajkę, której celu nie rozumiem. Okrasza swoją opowieść dowcipnymi detalami i wreszcie uderzająco beztrąsko przechodzi do sedna: jak to jego wuj znalazł gdzieś we wnykach małego rosomaka - a może to był ryś - i zabrał go do domu i karmił, a ten sikał mu po kątach, cha-cha, a potem udało im się jakoś nakłonić go do jedzenia, ale on mimo to był jakiś taki bez ducha, ślamazarny, zmęczony, sierść bez połysku. Ponoć długo zachodzili w głowę, co takiego stworowi może dolegać. I Anioł przekrzywia głowę, jak gdyby liczył na to, że się wypowiem w tak beznadziejnej historii.

- Odkąd to przyjmujesz, mój aniele, że rozrywka i relaks weterynarza to słuchanie paplaniny o chorych czworonogach? - zapytuję. Anioł nie ustępuje.

- No, przecież nie mógł zadzwonić do zoo, w końcu dzikich zwierząt chyba nawet nie wolno trzymać w domu bez zezwolenia... Oni tylko... myśleli sobie... że co też może mu być.

- Nic dziwnego, że nic nie wymyślili, skoro nie potrafili nawet odróżnić rysia od rosomaka.

- Nie, to ja nie pamiętam! Jakiś drapieżnik, duży drapieżnik, co to tam mogło być. Ale czy to może mieć jakieś znaczenie, jeśli chce się wiedzieć, co mu jest?

Uderzam głośno szklanką w stół. Anioł najwyraźniej uparł się, że będzie nadawał o rosomaku swojego wuja do końca tego wieczoru, jeśli się nie wypowiem w tej sprawie.

- Może mieć. Z grubsza rzecz biorąc, każdy dziki zwierz ma w jelitach jakiegoś pasożyta. Dorosły osobnik niemal tego nie zauważa, ale młode taki pasożyt może osłabić.

Oczy Anioła zapalają się, przybliży swoje krzesło jeszcze bardziej do mojego, zupełnie jakbym zaczął mówić o jakiejś egzotycznej i ciut perwersyjnej technice uprawiania seksu. Temu facetowi naprawdę odważyło na punkcie pasożytów przewodu pokarmowego, myślę, zupełnie zbity z tropu.

- Wszystko wskazuje na to, że to glista - ciągnę, a Anioł spija każde słowo z moich ust i spostrzegam, że pomimo zdumienia zaczynam być również mocno rozbawiony. - Jeszcze może wchodzi w grę włosogłówka i tęgoryjec, ale one są rzadkie. To mógłby być i tasiemiec nieuzbrojony, ale glista jest najpowszechniejsza. Praktycznie wszystkie duże drapieżniki ją mają.

- Jak więc to młode się nią zaraziło?

- Od matki. Pasożyt w stanie utajenia dostaje się do płodu przez pępowinę, a aktywność hormonalna niejako wybudza go ze stanu uśpienia. Czyli nie można temu zapobiec. Słabe młode może z tego powodu się męczyć i mieć kiepską sierść, a nawet zdechnąć.

- Ale można chyba jakoś to wyleczyć?

- Wydaje mi się, że w przypadku zwierzęcia twojego wuja jest już za późno, młode albo samo doszło do siebie, albo wuj ma obecnie nowe futrzane rękawiczki, choć nieszczególnie dobrej jakości.

Anioł zamyka powoli oczy, jakby próbował za wszelką cenę nad sobą zapanować.

- Gdybyś miał usunąć glisty, co byś zrobił?

- Dałbym zastrzyk ivermectinu.

Usta Anioła poruszają się, powtarza bezgłośnie i... ver... mec... tin, i... ver... mec... tin. Karbuje sobie nazwę w pamięci. Nie wiem, co mu da ta informacja, czyżby zamierzał pędzić na ratunek nielegalnemu rosomakowi swego wuja, ale dolewam jeszcze oliwy do tego ognia.

- To wspaniały lek, działa praktycznie na wszystkie zwierzęta. Można go podawać choćby reniferom i bydłu, ale równie dobrze dużym drapieżnikom.

W oczach Anioła roznieca się płomień zainteresowania. Uśmiecham się.

- Tylko że, niestety, nie dostaniesz tego w aptece.

Przełyka ślinę i tak oto łapie się na przynętę, która może mi przynieść nawet dwie zdobycze. I z tych dwóch zaspokojenie ciekawości jest niemal równie przyjemne, co zaspokojenie pożądania.

Anioł

Udaje mi się wyciągnąć z Pajaka jeszcze to, że działanie zastrzyku ivermectinu utrzymuje się przez dwa-trzy tygodnie i że śmierć pasożytów nie jest jakimś wstrząsającym wydarzeniem, że zwierzę, dzięki Bogu, nie wymiotuje ani nie wydalą żadnych wijących się w kałużach żółci kłębków, a po prostu powoli, stopniowo zdrowieje. Wspomina też mimochodem, że jest to tak powszechnie stosowany lek weterynaryjny, że sam ma go zawsze na podorędziu.

Trącam palcami uda Spidermana, oddycham w jego stronę krótkimi, zachęcającymi westchnięciami, pozwalam moim oczom zatopić się w jego. Mówię, że tęskniłem za nim.

I myślę gorączkowo, czym nakłoniłbym go do kochania się w jego gabinecie, a nie w domu. Nie jest to niemożliwe: korzystaliśmy już kiedyś z pstrokatej sofy w jego poczekalni. Wspomnienie pomaga - od razu też wiem, za który sznurek pociągnąć.

- Pamiętasz jeszcze nasz pierwszy raz?

Pajak kiwa głową z osobliwym wyrazem oczu.

- Skrzypiąca sofa w poczekalni, a wszędzie dokoła psie kudły. Tłumaczyłeś się, że sprzątaczką przyjdzie dopiero w niedzielę...

I jeszcze miałaś tę zabójczą obroź! Zaciskową!

Śmieję się dziko, głośniej, niż wypadałoby się śmiać z tej niezapomnianej, dość wątpliwej w gruncie rzeczy i kretyńskiej historii.

- Wyjmołem te psie kudły ze slipków jeszcze przez tydzień. I wspominałem tamtą noc.

Pajak uśmiecha się krótko, sucho, ale widzę, że i on pamięta, i to dobrze.

- Dałbym prawie wszystko za ten sam *feeling*. Za dokładnie ten *sam feeling* - mówię i lekko oblizuję wargi, po czym topię speszzone spojrzenie w swoim kuflu.

B 90

Doktor Spiderman

Anioł czarującym flirtem zmusił mnie do prezentacji mojego gabinetu, zupełnie jakby nie widział go wcześniej i jakby był on dla niego czymś nowym i zdumiewającym. Jest ujmująco ciekawski i chłopięcy i chce wszystko zobaczyć, chce się wszystkiego dowiedzieć, chce, żebym otworzył wszystkie drzwi, i pochyla się, żeby mnie pocałować, właśnie w tym strategicznym momencie, kiedy mam zamknąć swoją szafkę z lekami.

Anioł

Czuję się jak Buster Keaton, kiedy skradam się po ciemku w samych tylko bokserkach, dosłownie i w przenośni, bo na tych kupionych w Londynie gatkach są małe bokserki o pomarszczonych mordkach, obwisłych uszach i łagodnych oczach, identycznych jak u takiego jednego, co w tej chwili leży na poplamionej sofie i śpi snem sprawiedliwego. Przed wyjściem do Cafe Bongo przypomniałem sobie, że to ulubione gatki Pająka - w swoim czasie sprowokowały to nerwowo napięte, lecz na swój sposób seksowne gdakanie, markowy produkt Spideya - gdy po raz pierwszy właśnie tutaj zdjąłem spodnie.

Klnę, że nie mam oczu Pesika, nie mogę znaleźć nawet drzwi z poczekalni do gabinetu, uderzam paluchem nogi w próg tak mocno, że w oczach pulsują mi przez chwilę w czerwieni amebo-wate, iskrzące się plamy. Szafka z lekarstwami majaczy w głębi gabinetu niczym wielki, zawieszony na ścianie wieloryb.

Otwieram drzwi i zawiasy skrzypią tak, że niemal sikam w gacie. Serce próbuje rozedrzeć skórę i wyskoczyć na zewnątrz, sztywnieję jak głaz: jestem tylko antycznym posągami, śpij sobie dalej w najlepsze, kochany Pajączku. Wiem, gdzie jest ten ivermectin, bo emanując podekscytowaną ciekawością wypytywałem go po prostu o wszystko - między innymi o to, czy leki są ułożone w porządku alfabetycznym czy też zgodnie z ich przeznaczeniem.

Mam już opakowanie w dłoni, gdy słyszę za sobą głos.

- Do toalety to z pewnością nie tam.

Jeżeli puls miałem przed chwilą szybki, to teraz zrywa się do zapierającego dech w piersiach galopu. Stoję dalej plecami do

niego i wpycham sobie opakowanie leku do bokserek. Nie może wystawać z nogawki, muszę więc wepchnąć kanciasty kartonik gdzieś w krocze, tak by jakoś zaklinował się pod jądrami. Obracam się, próbuję być naturalny.

- A tak, to były te drugie drzwi.

- Przyjaciel Henrika Tikkanena, pisarz Benedict Zilliacus, o ile dobrze pamiętam, nasikał kiedyś do pomalowanego na niebiesko wiklinowego fotela, bo myślał, że to morze - konstatuje w mroku suchy głos Pająka. Leży jeszcze na sofie i może postrzegać mnie co najwyżej jako mającące w ciemności, białe gacie z psimi mordami.

Próbuję iść w stronę toalety tak, by żaden krok ani ruch nie zdradziły, że potwornie ostre rogi kartonika wpijają mi się w delikatną skórę krocza. Nie wiem, jak mi się to uda, ale Bogu dzięki po drodze mam moją wiszącą na krześle dżinsową koszulę, porywam ją więc ze sobą, jednocześnie walcząc bohatersko, by nie zejść do poziomu mały i nie zacząć człapać, ale po chwili stoję za zamkniętymi drzwiami łazienki, a koszula ma kieszenie.

Ecke

Nie warto nigdy zapijać dola, a przecież to już czwarty po wyjściu Anioła i Pajaka markotny kufel, który nie wiedzieć jakim cudem ląduje na moim stoliku. Dwa razy dostałem kosza, a raz sam spławiłem jednego namolnego bajeranta, właśnie więc postanawiam, że czas najwyższy wycofać się do swojej samotni, oczywiście po tym czwartym - dokładnie to samo postanawiałem wcześniej po drugim i trzecim - gdy pada pytanie, czy można się przysiąc do mojego stolika.

Zdaje się, że nigdzie indziej nie ma wolnych krzesel, a zatem jeśli ktoś się do mnie przysiada, to z oczywistej, nieuniknionej konieczności, nie z zainteresowania bynajmniej. W sumie szkoda, bo już na pierwszy rzut oka widać, że siadający właśnie gość to towar wysokiej jakości, inteligentnie wykalibrowany, wysoki i barczysty, a przecież jednak daleki od atlety: okrągłe okularki, wąsy i starannie przycięta, pełna broda, ciemnobrązowe, sięgające za szyję i lekko kręcone włosy, i kolczyk, jakże by inaczej. Towar wysokiej jakości? Co ja pierdolę?! Drugi i trzeci rzut oka, i nie ma wątpliwości, że ten facet to prawdziwy Apollo!

Wymieniamy parę tekstów o tym i owym, po czym nagle facet wychodzi z takim wistem, że rozdziawiam paszczkę: pyta, czy nie widziałem tu może przypadkiem Anioła. Z początku zupełnie nie jarzę, kogo ma na myśli, bo używa najpierw imienia Mikael, a potem ksywki Michał Anioł - kuźwa, aż dostaję na rękach gęsiej skórki, kiedy to mówi - ale po kilku charakterystycznych cechach rozpoznawczych (jasne, kręcone pióra, wysoki ziomek, oczy jak okruchy nieba) domyślam się, że chodzi o Anioła. Puszczam parę,

że widziałem, ale nie znam osobiście, a jedynie pośrednio, mówię, że się zmył już jakiś czas temu. W szczegóły się nie wglębiam.

Facet się przedstawia, Martti coś tam, z reklamy. Nie, nie ma do Anioła żadnej konkretnej sprawy, jasne, jasne, żaden z nas nie ma. Dzwonił do niego wcześniej, żeby zapytać, jak mu idzie jakieś tam zlecenie, ale w studiu Anioła nikt nie odbierał, a w komórce odzywała się poczta głosowa - w tym momencie gość poufnie uderza w kaznodziejski ton, że jak tak można, żeby mieć wyłączoną komórkę, przecież *freelancer* musi być dyspozycyjny dwadzieścia cztery godziny na dobę - więc przyszło mu do głowy, bo akurat przechodził obok, że mógłby zajrzeć do środka i sprawdzić, czy facet może nie siedzi w swym ulubionym pubie. To zlecenie jest ważne, naprawdę ważne, inaczej nie zawracałby tak bardzo gitary Mikaelowi, pytałby tylko od czasu do czasu mimochodem, jak tam realizacja projektu.

Facet nadaje zdecydowanie za dużo, najwyraźniej przyjął już kilka grogów, i w ogóle coś mi w tej historii mocno śmierdzi. Martti nie jest z naszych, widać to już na pierwszy rzut oka, ale widywałem już wcześniej takich misiów z gatunku chciałabym-ale-się--boję. To musi być ten heteryk, dla którego Anioł rzucił Pająka.

- Znaczy się, dobrze znasz... Mikaela? - rzucam. Mało brakowało, a powiedziałbym „Anioła”.

Martti ponownie wdaje się w za długie objaśnienia, dobry współpracownik od dłuższego czasu, i tak się jakoś przy okazji lepiej poznali. Łapczywie pompuję z niego informacje. Anioł pochodzi gdzieś z północy, praktycznie z Laponii, przeniósł się jako szczeniak do Tampere, skończył szkoły, potem dostał się na studia, słynna akademii sztuki użytkowej w Lahti, wymarzony kierunek dla ambitnych i obiecujących, wydział fotografii, a potem wrócił tutaj do pracy. Uznany i rozchwytywany fotograf, obecnie także wirtuoz obróbki komputerowej, autentyczny magik Macintosha, fakir Freehandu, profeta Photoshopa.

Każde słowo potwierdza, że Aniol jest dla mnie stworzony, uszyty na moją miarę, mnie przeznaczony, i że tego bronka nie wolno wpuścić między nas, w żadnym wypadku; dlatego też mówię Marttiemu konfidencyjnym tonem, że Aniol, tak tylko, *by the way*, chodzi z jednym takim weterynarzem i że są ze sobą na poważnie już od dawna.

Anioł

Jest noc i dzwoni telefon.

Pesik jest tak chory, że nawet porządnie nie nadstawia uszu, chociaż mrok pokoju pęcznieje od świdrującego do szpiku kości dźwięku. Podnoszę słuchawkę przy szóstym sygnale.

- Mikael.

Po drugiej stronie jest przez chwilę cicho, potem słyszę głos, który znam, i czuję się od razu tak, jak gdyby ktoś otworzył mi powłoki brzuszne jednym cięciem i chlusnął w moje parujące wnętrzności lodowatą wodę. Doktor Spiderman.

- Mam nadzieję, że to nie collie.

- Co? - tyle jestem w stanie wyjąkać.

- Ten cholerny zwierz, dla którego ukradłeś ivermectin. Słuchaj. Jeżeli to collie, owczarek szkocki, jakiś popaprany krewniak Lassie, to pies ma szczególną anomalię ośrodkowego układu nerwowego. Ivermectin go zabije.

- To nie collie - mówię i w tym samym momencie mógłbym sobie odgryźć język. Doktor Spiderman wydaje z siebie cichuteńki, zimny i miękki śmiech.

- Nie przestrasz się też, jeżeli podczas kuracji w organizmie naszego przyjaciela pojawi się sporo toksyn.

- Toksyn?

- Zwierzak będzie miał objawy zatrucia, ale miną.

Nie wiem, co powiedzieć. Kartonik z ivermectinem to biała plama na rogu stołu.

- To w takim razie jeszcze tylko jedna sprawa, mój Aniele...

Serce szaleje mi z przerażenia. Zgłoszenie na policję?

E 97

- W aptece kupiłbyś bez recepty działający dokładnie tak samo lek o nazwie łopatoł.

Doktor Spiderman

Anioł niemal szlocha w słuchawkę. Palący mnie zimny i wściekły ogień zemsty zaczyna przygasać i pokrywać się szarym popiołem. Zaczynam czuć, że jestem zmęczony, stary i głupi. Jestem tak samo boleśnie wyczerpany jak wówczas, kiedy żyłem jeszcze w małżeństwie i wrzeszczałem w szale na moich niespełna dziesięcioletnich synów, lałem ich po tyłkach albo ciągnąłem za włosy, bo zachowywali się idiotycznie. Jestem tak samo wyczerpany, do cna wypompowany i niezdolnie świadomy faktu, że żadne moje słowo nie zostało zrozumiane, że nawet nie dotarło do mózgowicy i że klapsy tudzież wyciąganie za włosy nie były dla nich usprawiedliwionym cierpieniem, pouczającą karą, lecz oczywistym dowodem mojej jadowitości, bezmyślnym nadużywaniem władzy przez większego i złem absolutnym, po którym mnie pozostawał jedynie strach: czy oni mogą mnie jeszcze kochać po tym wszystkim?

Dlaczego dzwonię w środku nocy? Dlaczego nie poczekałem do następnego spotkania z Aniołem w Cafe Bongo, gdzie mógłbym, mszcząc się bezlitośnie za wyrządzony mi ból, przedstawić sprawę kradzieży leku w możliwie najbardziej kompromitującym go świetle, gdzie byłaby w moim ręku rozkoszną bronią i narzędziem władzy?

Dlatego, że pamiętam. Pamiętam podświadomie pewną inną naszą rozmowę. I teraz naprawdę robi mi się zimno.

- Anioł, słuchaj. Jeśli to... zwierzę... ma pasożyty jelitowe, ma niemal na pewno także pasożyty zewnętrzne. Pchły albo wszy, a w najlepszym razie ich jaja. Kup w aptece tabletki program.

- Program.

Słyszę po głosie, że Anioł mechanicznie karbuje sobie nazwę w pamięci.

- Łatwe w użyciu, wystarczy jedna na miesiąc. - Z prerażeniem stwierdzam, że w moim głosie pobrzmiwa ton konsultacji weterynaryjnej. - Nie wywołuje reakcji toksycznej... to nawet nie jest wcale trucizna, tylko taka pigułka antykoncepcyjna dla pcheł, nie zabija robaczków, a jedynie zapobiega wylęganiu się larw.

- Wybucham idiotycznym śmiechem.

Po drugiej stronie długo panuje zupełna cisza. Potem słyszę głos Anioła.

- Dziękuję.

Znów długo nic nie mówi.

- Nie rozumiem, dlaczego... mówisz mi to wszystko.

- Tak sobie. - Sam robię przerwę, nasza rozmowa pełna jest czarnych dziur, które mogłyby pochłonąć całe wszechświaty. Potem zadaję mu pytanie: - A tak przy okazji - wiesz już, co jedzą trolle?

Anioł

Kiedy kupowałem w aptece jednorazową strzykawkę, patrzyli na mnie jak na narkomana.

H 101

Skradziona babcia i inne legendy miejskie. Red. Leea Virtanen, 1987

Matka ułożyła do snu swą niespełna roczną córeczkę w wózku, działo się to w jednym z domów jednorodzinnych w helsińskiej dzielnicy Tapanila. Wózek postawiła w ogrodzie i obserwowała go z okna, a od czasu do czasu szła również zajrzeć do dziecka.

Potem zaczęła przygotowywać w kuchni jedzenie i na chwilę zapomniała o dziecku. Raz wydawało się jej, że mała zapłakała w swoim wózek, ale potem znów była cicho, matka wróciła więc do obierania ziemniaków. Gdy wstawiła zupę na ogień, poszła na dwór po dziecko.

Niemal zemdląca, gdy stwierdziła, że w wózku nie ma jej dziecka. Znalazła w nim za to nowo narodzone młode trolla, zawinięte w pozostawiony w wózek kocyk. W tym samym czasie sąsiadka widziała wymykający się z ogrodu cień. Dziecka nigdy nie odnaleziono.

Anioł

O, ivermectinie, leku cudowny.

Minął dopiero tydzień z okładem i nawet ta toksyczna reakcja nie była jakaś straszna. Teraz Pesik jest tornadem wigoru i energii, o roziskrzonych oczach, skaczącym i sprężystym żywym srebrem. Zdaje się, że ograniczona przestrzeń mu nie doskwiera - może dlatego, że jest z natury jaskiniowcem.

Odkąd Palomita nakarmiła go tym jedzeniem dla kota, zgadza się od czasu do czasu trochę go pojeść, ale tylko tej samej firmy, a i to nie zawsze. Teraz na szczęście rozszerzył swą dietę i je przepiórcze jaja, jeśli tylko ukryję je gdzieś w mieszkaniu - ułożę w dużej szklanej popielniczce, w piękny czworobok w zagłębieniu poduszki sofy albo na parapecie za zasłoną. Czasem, gdy zaczynam się wciągać w tę zabawę, ukrywam jaja pojedynczo w rękawiczkach, w tekturowych pudełkach i koszyczkach na szklanki, a potem rozlokowuję je po całym mieszkaniu. Pesik szuka ich, węszy, sięga po nie i gdy znajdzie skarb, wybucha niepohamowaną radością, po czym siada, zgrabnie rozbija jajka pazurem na pół i najpierw siorbie, a potem wylizuje całą zawartość, tak że nawet jedna kropla mu nie skapnie.

Oczywista rzecz, że nadal chce polować, ale żyję nadzieją, że nie będę musiał już szukać nowych sklepów ze zwierzętami. O powrocie do kilku z nich nie ma nawet co myśleć przez następne miesiące.

Z drugiej strony, futro mu jeszcze nie błyszczy, sierść jest nadal bardzo skołtuniona i wygląda żałośnie. Mam nadzieję, że powodem tego nie są ani tabletki program, ani ivermectin. Ale przecież widzę: jest zdrow, zdrow i wesół.

H 103

Palomita

Penttiemu się spieszy. Szuka czegoś w łazience i kopie w kosz na pranie tak mocno, że ten się przewraca, a pokrywa toczy się z hałasem. Zamieram, kiedy widzę, że przez otwór kosza pośród brudnej bielizny widać kawałek okładki gazety, którą dostałam od Mikaela.

Ale Pentti tego nie widzi, tylko wypada przez drzwi na korytarz, a ja spływam na podłogę i siedzę tak z sercem niemal wyrwanym z piersi. Muszę znaleźć dla gazety nowe miejsce. Nie chciałabym jej wyrzucić, bo mam tak mało własnych rzeczy. Każda strona to list. Każde zdjęcie to małe drzwi, którymi można wyjść z tego mieszkania.

Myślę długo. Nie mam własnej garderoby ani szuflady. Chociaż Pentti nigdy sam nie bierze z szafy ręcznika ani prześcieradła, raz wyrzucił wszystko na podłogę i kazał mi wszystko porządnie poukładać. Potem przypominam sobie, jak raz bawiliśmy się z Sepą i Merlindą w chowanie kamienia i nikt nie mógł go znaleźć, bo wyniosłam go na podwórze, pomiędzy inne kamienie. Pentti ma na spodzie szafy stertę kilkuset gazet i zawsze kupuje nowe, a starych nigdy nie ogląda. Jak ukryję gazetę pomiędzy nimi, na samym spodzie, na pewno nigdy jej nie znajdzie. A jeżeli znajdzie, to może pomyśli, że sam ją kupił. Pentti nie zawsze pamięta wszystko, co zrobił.

Podchodzę do szafy i zaczynam ostrożnie, małymi kupkami ściągać gazety ze sterty. Uważam, żeby były w tej samej kolejności. Na wszystkich okładkach są kobiety.

W dłoń wpada mi gazeta, która ma na okładce żółtą karteczkę, Pentti coś na niej napisał. Na okładce jest także zdjęcie dwóch

kobiet o ciemnej skórze. Dwóch Filipinek. Obejmują się tak, jakby były siostrami, ale nie patrzą na siebie, tylko na zewnątrz gazety, z ustami w ciup. Spomiędzy kartek wystaje druga żółta karteczka. Otwieram gazetę w tym miejscu. Jest tam dużo tekstu i zdjęcia są zupełnie inne niż normalnie, małe, niektóre są czarno--białe i trochę niewyraźne. Na każdym z nich jest kobieta. Obok zdjęć są słowa, które znam, Manila jest niemal przy każdym z nich.

Wokół trzech zdjęć ktoś zakreślił niebieskim długopisem kółko. Na jednym ze zdjęć jestem ja.

Poznaję siebie, chociaż fotografia jest kiepska, i uśmiecham się, chociaż wcale mi nie do śmiechu. Enteng zrobił to zdjęcie w barze na Ermicie niedługo po tym, jak zrozumiałam, że wcale nie zostanę pielęgniarką.

Zamykam gazetę i staram się, żeby trafiła na swoje miejsce w stercie, gdy kładę nowy stos na ukrytym przeze mnie czasopiśmie.

Anioł

W nocy się budzę.

Siedzi na oparciu sofy i wpatruje się we mnie.

Na nieco jaśniejszym tle rysuje się czarnym jak noc obrysem i z boleśnie ściskającą gardło, palącą świadomością uzmysławiam sobie, że jestem całkowicie zdany na jego łaskę.

Jego oczy. Oczy nocnego drapieżcy.

Pomimo mroku widzi mnie nimi dokładnie i wyraźnie, widzi każde mrugnięcie powiek, każde drgnięcie kącika ust, kiedy ja nie rozróżniam nic poza tymi jego czarnymi, czarnymi konturami.

Ecke

Dziwne, jak mogą być miasta i miasta. Miasta wewnątrz miast. Miasto psów zbudowane jest z zapachów, granice jego kwartałów naznaczone są moczem o niepowtarzalnej woni, tam każdy zapach łopocze jak chorągiewka na wietrze, jak rozciągnięty wzdłuż kamienicy dymek, który mówi: *Przechodził tędy Fido jakąś dobę temu* albo krzyczy wielkim głosem: **OBOOK WŁAŚNIE PRZESZEDŁ JESZCZE MŁODY SAMIEC CZŁOWIEKA, A W TORBIE MA WĘDZONE MIĘSO.** Powietrze jest aż gęste od tych sygnałów, ale pies rozpoznaje je równie biegle i spontanicznie, jak człowiek dzieli na części tę fotonową kakofonię, którą wywołują kolory, formy i zmiany światła.

Potem są miasta różnych ludzi. Jest miasto pewnych kobiet, w którym ulice są wyznaczone podług tego, jakie są przy nich sklepy, jakiej klasy butiki, perfumerie, jubilerzy, jakie sklepy z butami. Miasto pijaka z kolei składa się z pubów i budek z tanim żarciem. Z lokalizacji monopolowych, bram, do których można bez trudu wślizgnąć się i odlać bez robienia smrodu, z melin kumpli, gdzie można wydebić trochę grosza albo przekimać do rana. I pijak nawet nie widzi tych eleganckich sklepów, bo nie spełniają one w jego życiu żadnej funkcji, tak samo jak modna kobieta nie widzi tego zatłuszczonego pubu, on dla niej po prostu w ogóle nie istnieje. Rozpoznaje ten róg ulicy po tym, że jest na nim cukiernia, do której od czasu do czasu wstępuje na cappuci-no i ciastko. Miasto kierowcy autobusu to trasy, przystanki, wyniosłości i zakręty, wyglądające zupełnie zwyczajnie, a przecież czarujące magią trudności, którą sprawiają zimą w określonych warunkach drogowych. To pętle, których każdy centymetr kwa-

B 107

dratowy jest znany i ma swój sens, gdy człowiek snuje się po nich z fajką w ustach, czekając na powrotny kurs; kierowca zna nawet wiewiórki na drzewach, chociaż żaden przechodzień nie widzi w tym miejscu niczego poza poszerzeniem jezdni, nic nie znaczącym, rozrytym ciężkimi oponami placem.

Nasze miasto wyróżniają tylko odrobinę inne niuanse. W tak małym mieście nie mamy własnych ulic, sklepów ani galerii, ale mamy własną, ukrytą topografię, własne narożniki; postrzegamy faceta z fajką przy moście zupełnie inaczej niż inni, widzimy poruszenia dłoni i ukradkowe spojrzenia, choć dla pozostałych ludzi stanowią one jedynie szum wizualny; znamy kąty, zagłębienia, zaułki i bramy, które mają zupełnie swoiste znaczenie. Mamy parkingi i własne seanse w kinie, które innym wydają się zupełnie zwyczajne, dla nas jednak roztaczają swój niewidzialny magnetyzm. Mamy publiczne toalety, do których wchodzi się z tak napiętym oczekiwaniem, jakiego inni nie czują przed randką w ciemno. I mamy knajpki takie jak Cafe Bongo, do której może wstąpić na piwo każdy Nowak i każda Nowakowa, przyjąc dwa lub trzy kufle czy nawet normalnie się wstawić i wyjść jak z każdej innej bezbarwnej kafei na rogu, nie dopatrzwszy się w niej niczego szczególnego. Tylko my widzimy te jej niewidzialne własności.

W przestrzeni Cafe Bongo krzyżuje się w każdej chwili taka liczba bezgłośnych komunikatów, że gdyby były widoczne, to cała sala byłaby aż po sufit wypełniona tęczowym pajęczynami - czerwonymi nitkami pożądania, niebieskimi nitkami tęsknoty, oczekiwania i nadziei oraz żółtymi, kłującymi iskrami komunikatów o tym, że czas zrobić pierwszy krok, o który bezgłośnie poproszono i na który bezgłośnie wyrażono zgodę. No i, oczywiście, byłoby też w tej pajęczej sieci kilka smolistoczarnych nitek pogardy, rozczarowania i nieskrywanej nienawiści.

Są takie chwile, w których określone osoby wystawiają się na branie. Gdy wieczór ciemnieje, oddalają się od stolika przyjaciół

i robią z siebie na krótką chwilę okno wystawowe. Ale tylko dla tych, którzy to widzą. To tak, jak gdyby większość ludzi miała na swych narządach zmysłów warstewkę przezroczystej folii spożywczej. Ponieważ nie utrudnia postrzegania, ludziom wydaje się, że rejestrują wszystko, folia jednak uniemożliwia korzystanie z innych zmysłów. I nawet sami nie są w stanie zauważyć, że przestali odczuwać dotyk i zapach.

Tak jak ta siedząca przy barze stara heteryczka, która myśli, że to kulersko chodzić do gejowskiej knajpy, i gdzieś musiała usłyszeć, że to jest jedna z nich. I bez tego próbuje być kulerska aż do granic śmieszności, to ten typ, co wciąga na nogi bojówki, owija głowę bandaną, maluje na czarno usta i wyobraża sobie, że wszystkie lesbijki od razu na nią polecą. A raczej nie wyobraża sobie, tylko po cichu na to liczy.

Oczywiście, nikt się do niej nie przysiąda. Była tu już wcześniej i wszyscy ją traktują z totalnym chłodem, ale ona ciągle przychodzi. Ktoś mógłby powiedzieć, że odnosi się do nas jak do zwierząt w klatkach, ale ja mam swoją teorię - że jesteśmy dla niej szlachetnymi dzikusami, jakąś wychodzącą akurat tyle, ile trzeba, poza granice zorganizowanego społeczeństwa maluteńką szarą strefą, nieoswojoną krainą, do której wejść może tylko prawdziwy twardziel. Ale jak już ktoś odważy się tam wejść, jego ubranie na długo nasiąka zapachem cudownej wolności i pokazanego normom palca, a on sam staje się od razu anarchistą. Chodzenie tu jest dla niej pewnie tym samym, czym dla niektórych wymalowanie sobie zmywalnego tatuażu na ramieniu. Cały fajny *image* marginesu bez nudnych konwencji, no i nie trzeba się zastanawiać, czy można wyjść na dwór przed zapadnięciem mroku.

Barton Willman, *Czarne i niewidzialne. Powieść fantastyczna*, 1985 (przekład z angielskiego)

Podobno - powiedział mi raz pewien mądry człowiek z dalekiej Północy - w pewnych rejonach Skandynawii są miasta w miastach, niczym okręgi w okręgach; choć istnieją, nie widać ich. I miasta te zamieszkują stworzenia bardziej przerażające od wszelkich tworów wyobraźni, człekokształtne, ludożercze, równie czarne i ciche, jak noc, w której grasują.

Anioł

Wysypuję literowe klocki pod światło i idę sprawdzić w wizjerze, czy światło dobrze się rozkłada. Obracam klocki i układam z nich nazwę firmy klienta, ustawiam je pod atrakcyjnym kątem i przystępuję do serii zdjęć, w której nazwa będzie się budować litera po literze. Zaczynam, rzecz jasna, od pełnej nazwy i po każdym zdjęciu odejmuję kolejną literę, bo w ten sposób łatwiej mi będzie kontrolować cienie i nie muszę przesuwać raz dobrze ustawionych klocków. Robię polaroid, wygląda dobrze.

Ta robota to czysta rutyna i dlatego zostawiłem otwarte drzwi między studiem a mieszkaniem. Jest ósma wieczór i słyszę, że Pesik już się obudził i właśnie je swój pierwszy posiłek.

Pstrykam fotkę za fotką, pikuś, mała fucha, która nijak się ma do projektu od Maftesa. Gaszę lampy, zbieram klocki i wrzucam je do pudełek. Firma ma głupią nazwę, jest w niej tyle podwójnych liter, że musiałem kupić dwa opakowania klocków. Szkoda, że nie można ich oddać z powrotem, bo zdarłem już z nich folię. No cóż, klient zapłaci te parę dyszek więcej.

Przechodzę do mieszkania i otwieram piwo. Siadam w fotelu i włączam telewizor. Zaraz Pesik zacznie mi się naprzykrzać z tą swoją potrzebą ruchu: bawi się zupełnie jak kot, trzepie łapami i miętosi każdy przedmiot na sznurku, dopóki mi się nie znudzi nim wywijając.

Zaczynają się wiadomości, przez piewsze informacje obracam bezmyślnie zabawkę w dłoniach, kryzys pakistański, w jakiejś Paroli ktoś się włamał do magazynów wojskowych i wyniósł cały arsenał, na pewno znów ta rosyjska mafia - ale przy czwartej informacji zapominam o całej zabawie.

B III

„Prawdopodobnie z powodu wyjątkowo łagodnego początku zimy nawet i te drapieżniki, które powinny już zapaść w sen zimowy, ciągle są bardzo aktywne.

Jeszcze na jesieni w pobliżu wschodniej granicy zgłoszono liczne przypadki zaobserwowania niedźwiedzia i trolla, obecnie jednak liczba zgłoszeń wzrasta również w głębi kraju. W okolicy Jyväskylä w ubiegłym tygodniutrolle widziano podobno aż trzykrotnie, czyli tyle razy, ile w sumie w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Te rosłe zwierzęta normalnie zapadają w sen zimowy najpóźniej w listopadzie, ostatnio jednak znaleziono bardzo wiele ich śladów między innymi w popularnym letnisku nad jeziorem Pajanne w środkowej Finlandii. Poza tym, niemal na pewno widzianotrolle nawet w tak daleko na południu położonych gminach, jak Heinola, Janakkala czy Palkane w pobliżu Tampere”.

Na ścieżce przy płocie rozmawiają z babcią, która widziała dziwne postaci, a potem na ekranie pojawia się jakiś lipo Kojola z Oulu, znawca dzikich zwierząt. Podkreśla, że troll w zasadzie nie jest przystosowany do poruszania się zimą, ale mówi też, że gdy zima jest łagodna, nawet niedźwiedzie zakopują się w swoich barłogach znacznie później niż zwykle. Kojola przypuszcza, że jeśli trollom nie udało się zgromadzić jesienią dostatecznych ilości pożywienia, mogą teraz usiłować na gwałt uzupełnić zapasy, zanim rozpoczną przygotowywanie legowisk, i dlatego też przesunęły się z obszarów leśnych, które normalnie zamieszkują, bliżej miast.

Odmienną opinię przedstawia ekolog, który powątpiewa w bajki o braku pożywienia, przypomina za to, że tak wyjątkowe zachowanie tych zwierząt mogły spowodować zanieczyszczenia środowiska.

„Znaczącą część pożywienia trolli w wielu rejonach stanowią pisklęta i gniazda ptaków, a wiadomo, że wszelkie chemiczne skażenia środowiska odkładają się właśnie w jajach ptasich. Na-

leży przypuszczać, że po, dajmy na to, pożarze stacji przekaźnikowej w Karasjoku w Laponii organizmy trolli, które żywiły się młodymi ptakami, aż pękają od tetrachloro-dibenzo-p-dioksy-ny...".

Reporter właśnie pyta, jaki wpływ może mieć ten tetrachloro-cośtam, na co ekolog zaczyna mówić coś o mutacjach, gdy wtem uzmysławiam sobie, że Pesik zachowuje się podejrzanie spokojnie, na pewno próbuje coś zbroić. Odwracam głowę i szukam go spojrzeniem. Siedzi w kucki, jak zawsze, zwrócony wąskimi, czarnymi plecami i grzywą w moją stronę, a ogon faluje, co jest oznaką najgłębszego skupienia. Podnoszę się z fotela i teraz widzę, chociaż w pokoju jest prawie ciemno. Pesik wyciągnął z kartoników klocki literowe i właśnie w tej chwili, uchwyciwszy jeden z nich w swe kościste, sprężyste palce o długich pazurach, stawia go na czubku niemal idealnej piramidy.

Harto Linden, *O wpływie myślistwa na populację zwierzyny łownej*. Artykuł z pracy *Myślistwo - przyroda - społeczeństwo*. Red. Petri Nummi, 1995

Wielkość osobników danego gatunku wiąże się zawsze, z punktu widzenia jego przyszłości, z pewnym ryzykiem. Populacja roślących zwierząt jest zazwyczaj mała, co sprawia, że czynnik przypadku - czasem w połączeniu z rozproszeniem się osobników - może doprowadzić do stopniowego spadku jego liczebności. Gatunki dużych zwierząt są zagrożone, jeśli z takich czy innych powodów wzrasta śmiertelność wśród ich dorosłych przedstawicieli. Z racji swej niewielkiej liczebności gatunki dużych zwierząt popadają obecnie, w szybko zmieniającym się środowisku, w problemy natury genetycznej. Duże rozmiary osobników są wynikiem przystosowania się do przewidywalnego i/lub niezmiennego środowiska; niestabilność współczesnego otoczenia jest dla nich poważnym zagrożeniem. Można to powiązać z jeszcze inną zależnością: spadek jakości środowiska naturalnego może często ograniczać dużym zwierzętom możliwości zapewnienia sobie wystarczającej ilości pożywienia.

Wzrost śmiertelności wśród dorosłych przedstawicieli danego gatunku może być tak nieznaczny, że trudno go określić naukowo. Może on mieć jednak dramatyczne skutki.

Anioł

Pesik wciąż na nowo zdejmuje najwyższe klocki z piramidy, ale potem układa je z powrotem na czubku w nieco innym porządku. Słyszę niezwykle niski, niemal niedosłyszalny dźwięk. Pesik mruczy. Pesikowi jest dobrze.

Usta wyschły mi na pieprz. Kształt tej piramidy jakoś nie daje mi spokoju, jakieś wspomnienie ciśnie mi się na myśl. Dwoma susami dopadam do półki z książkami. Wszystkie książki po moim bracie stoją w rogu półki i niemal ich nie widać zza różnych nowych i przyniesionych z antykwariatów traktatów o dzikich drapieżnikach. Jest tego może z dziesięć egzemplarzy, bardzo rzadko wertowanych, ale też nigdy nie potrafiłem się ich pozbyć.

Jest. Ero Ojanena *Starożytne zabytki fińskie*. Znajduję załącznik ze zdjęciami, jest. „Diabelska korona w Salo”, głosi podpis, ale mimo tej mylącej nazwy dobrze wiem, co to jest.

Kurhan.

Stwierdzono, że większa część z ponad trzech tysięcy znajdujących się na terenie Finlandii kurhanów, zwanych przez lud czarcimi piecami, była w epoce brązu grobami ciałopalnymi, ale spotyka się wśród nich również formy kamienne, których funkcje nie zostały dokładnie poznane - „lapońskie góry” i „goleme cy-rekwie”. Według jednej z hipotez mogły to być kopce graniczne.

Na lapońskie góry mówiło się też „gomońskie piece” i rzeczywiście w niektórych podaniach ludowych wspomina się o żyjącej niegdyś w lasach „gomońskiej czeladzi”. Baśnie mówią, że na

gomońskich piecach bawiły się skrzaty oraz inne leśne stworzenia i dlatego dobiegały z nich tak osobliwe hałasy.

Lapońskie górki mogły być również miejscami ofiarnymi, ponieważ w kurhanach i w ich pobliżu znajdowano często kości dzikich zwierząt.

Mnogość tych kości oraz ich kształty nasuwały podobieństwo do niektórych kurhanów kamiennych w Laponii, o których przed wiekami mówiono „staalowe koleby”.

Kości zwierzęcych?

Powiedzcie mi, mądre książki, czy w tych kopcach i wokół nich znajdowano kości reniferów, łośi, lisów, rosomaków? A może kości wilków, kości niedźwiedzi, delikatne szkielety rysiów?

No powiedzcie mi, książki - ale na próżno się łudzę! - czy nie znajdowano tam przypadkiem zdumiewająco dużo kości zwierząt, na których ciała natrafia się w przyrodzie tak niewiarygodnie rzadko... kości trolli?

Anni Swan, *Górski troll i pastereczka*, 1933

Cała góra zatrzęsa się i skrężyła, gruzy skalne zaczęły spadać z łoskotem na ziemię i ledwo co dziewczeczka zdążyła wyskoczyć z zagłębienia, a już cały jar z wielkim grzmiotem osunął się w kamienną stertę, i z okazałych komnat górskiego trolla zostało się jedynie szare rumowisko i kępy mchu.

Od tamtej pory o górskim trollu wszelki słuch zaginął. Może leży tam pogrzebany w swej jaskini pod głazami? Ale pastereczka pośpieszyła z powrotem do domu, do zielonego lasu, do bydelka na pastwisko nad brzegiem niebieskiego morza.

3. I choćbym nawet od tej jaśni miał utracić wzrok

Anioł

Sierść wypada Pesikowi całymi kępkami, tak że w całym mieszkaniu jest pełno smolistoczarnych kotów, wszystkie obicia foteli i zasłony są szare od kłaków. Próbuję je oczyścić odkurzaczem, ale za każdym razem, gdy go włączam, Pesik jak błyskawica przypada do wieszaka w korytarzu i wspina się po rękawie trencza, który jest już od tego cały poszarpany, i demonstracyjnie kuli się na półce pod sufitem niczym posępny gargulec na ścianie Notre Damę. Nie znosi buczenia odkurzacza, chociaż na szczęście powoli się do niego przyzwyczajają.

Nie wydaje się chory, absolutnie nie, chociaż jego sierść płynie nieprzerwaną, ciemną strugą przez wąż elektroluksu.

Dzwonię pod zmienionym nazwiskiem na dyżur weterynaryjny i opisuję linienie Pesika. Mówię, że chodzi o psa i chciałbym się dowiedzieć, czy podawany ostatnio środek odrobaczający może mieć z tym jakiś związek. Weterynarz zaprzecza, takiego działania być nie powinno, pyta o rasę, więc kłamię, że mam kundla z dużą domieszką husky.

- Poza tym chce się bawić i zachowuje się normalnie.

Lekarz zastanawia się przez chwilę.

- Wyglądałoby to na zupełnie normalne linienie jesienne, gdyby nie to, że mamy już wczesną zimą, ale...

Oddycham głęboko. Linienie jesienne, no jasne.

Troll powinien normalnie o tej porze roku spać kamiennym snem w swojej mysiej norze gdzieś pod zaspą czy choćby nawet, w drodze wyjątku, trząść się z zimna w swym grubym futrze gdzieś pod Kuopio i straszyć mieszkańców, ale moje mieszkanie

ze stałą temperaturą dwudziestu stopni to dla Pesika już wiosna - wiosna, która nadeszła w tym roku z całkiem sporym wyprzedzeniem.

Weterynarz zaleca, żebym przyszedł z psem się pokazać, a ja obiecuję posłusznie zadzwonić, gdy tylko sprawdzę terminy w moim kalendarzu. Pesik śpi na sofie, a moje serce rozpiera tak wielka radość i ulga, że podchodzę do niego i przyklejam mu lekkiego całusa między drgającymi sennie, spiczastymi uszami.

Palomita

Jest tak ciemno.

U nas się mówi, że mąż jest podporą domu, żona jego światłem.

Znaczenie tego, jak mi wyjaśnili, jest takie, że człowiek poradzi sobie i bez światła, ale chata bez podpory się rozpadnie.

Rano, gdy Pentti się budzi, jest ciemno. Gdy przychodzi z pracy, jest ciemno. W środku dnia jest krótka chwila szarości.

Tutaj człowiek sobie radzi bez światła. Bez żony. Bo ja nie jestem żoną, chociaż zostałam poślubiona. Jestem nałożnicą, jestem *querida*. Który mężczyzna chce mieć żonę, ale nie chce mieć dzieci?

Kiedy tu przyjechałam i Pentti wydawał mi się tylko trochę przerażający, zaprowadził mnie do lekarza i mówił do niego, jakby mnie nie było, pewnie mu powiedział, że nie znam w ogóle angielskiego, bo lekarz mnie nie pytał o nic, tylko Penttiego. I musiałam się położyć na takim urządzeniu, na którym lekarz mnie oglądał i dotykał tak, że aż mi łzy napłynęły do oczu, a potem coś we mnie wepchnął i Pentti powiedział mi potem, że dzięki temu nie zachodzi się w ciążę.

Płakałam, bo popełniłam ciężki grzech. Płakałam przez wiele dni i przestałam dopiero wówczas, gdy zostałam za to ukarana, ale teraz nie jestem już taka smutna. Nie z tego powodu, chociaż to na pewno przynajmniej mały grzech choćby tylko tak myśleć. Są miejsca, gdzie lepiej nie mieć dzieci.

Tutaj jest tak zimno.

H 123

Anioł

Budzi się przed wieczorem i wskakuje na parapet, żeby popatrzeć na palące się na ulicy bożonarodzeniowe lampki. Szuka przepiórczych jaj i gdy któreś znajdzie, skacze niczym wypuszczony na łąkę żrebak. Podchodzi i jednym sprężystym skokiem zwinnie sadowi się przy mnie na sofie, gdzie oglądam telewizję. W nozdrza jak smuga perfum uderza mnie zapach jałowca.

Wyrastające pod długą gładką sierścią futerko jest tak krótkie, że prawie go nie ma, tak ściśle przylega do skóry, że wygląda już nawet nie na futro, lecz na błyszczącą, czarną powłokę. Ale okalająca głowę grzywa nie wyliniła i szczupłą, dwunożną sylwetkę Pesika można by z pewnej odległości błędnie wziąć za nieco wystylizowanego chłopczyka, który przypomina człowieka nie mniej od postaci zwierzątek z dziecięcych kreskówek. Jego małe, jędrne mięśnie pracują z bezgraniczną precyzją i skumulowaną siłą.

W jego ruchach jest nieświadomy powab.

Przez długie minuty śledzi z przekrzywioną głową ruchy mojej dłoni, gdy przy komputerze poruszam myszką.

W środku coś się we mnie gotuje i pali.

Calvin Klein podnieca oceloty. „Gazeta Poranna”, 5. 08. 1999. Reuters - Dallas

Kiedy badacze z ogrodu zoologicznego w Dallas próbowali zachęcić oceloty do rozmnażania się, dokonali odkrycia, które pozwala im patrzeć w przyszłość z większą nadzieją. Wreszcie udało się znaleźć zapach podniecający samice tego rzadkiego gatunku kotowatych - i wygląda na to, że jest to woda kolońska *Obsessionfor Men* Calvina Kleina.

- Cztery uwięzione samice ocelota reagowały na *Obsession* silniej niż na zapachy naturalne, które testowano z myślą nakłonięcia tych zwierząt do parzenia się w warunkach naturalnych

- mówi zoolog z Dallas, doktor Cynthia Bennett.

- Próbowaliśmy między innymi szczurzych odchodów i własnych zapachów ocelotów. Potem mój asystent wyjął wodę kolońską, bo wiele zwierząt lubi ten zapach, i nasze oceloty oszalały

- dodaje Bennett.

Koty zaczęły kręcić się w kółko i tarzać w miejscach, które wcześniej spryskano wodą *Obsession*. Podobnie okazują przywiązanie koty domowe.

Żyjący w Teksasie podgatunek ocelota liczy sobie 100-120 osobników i bez pomocy zapachów zwierzętom tym trudno jest się odnaleźć.

Anioł

Chcę mieć kogoś właśnie w tej chwili i tak mocno, że aż boli. I dlatego mam to gdzieś, kogo z tego powodu zranię i jak bardzo.

Ecke

Anioł jest taki słodki, że aż głowa boli, jak nasz okazały samiec z czółówki starych fińskich filmów, flis z jasnym lokiem spadającym na oczy, z błyszczącym od potu torsem i zaciętą miną rozpychający bosakiem piętrzące się kłody, balansujący na pniu w swych spiczastych ciżmach. Przysuwam się do niego, odstawiam piwo na stół, Anioł spogląda przelotnie w bok, lecz w jego oczach nie zapala się nawet iskierka zainteresowania.

- Ja jestem Ecke. A ciebie nazywają Aniołem. I w zasadzie nic dziwnego.

Anioł się uśmiecha.

- Naprawdę na imię mam Mikael. Udaję, że dopiero teraz rozumiem.

- No jasne, stąd się to wzięło. Archanioł.

Anioł sprawia wrażenie, że już to wcześniej słyszał, ale twardo prę wytyczonym kursem.

- Na pewno już wiesz, że jesteś patronem niedzieli. Według astrologów każdy dzień tygodnia ma swojego anioła, sobota ma Cassiela, niedziela Mikaela, poniedziałek Gabriela, wtorek Cama-ela, środa Rafaela i czwartek Sachiela.

- To niesłychanie ciekawe - stwierdza Anioł i choć głos ma nasączony sarkazmem, widzę przecież, że dał się podpuścić. - Tym bardziej że zapomniałeś o piątku.

- Absolutnie się nie dziwię, że właśnie tego chcesz się dowiedzieć. Było nie było, aniołem piątku jest stary dobry Anael.

Niewiele brakowało, a Anioł parsknąłby piwem na stół.

- Ale tego to już sam wymyśliłeś.

H 127

Uśmiecham się jak najdwuznacznie)'.
- Faktycznie różne książki podają nieco inne informacje. Możesz przyjść do mnie, kiedy chcesz, i poszperać w moich źródłach.
Anioł znów się śmieje i teraz patrzy na mnie tak, że istnieję dla niego, a ja składam sobie w duchu szybkie gratuluje: „Ecke, znów ci się udało”.

W świecie ryb akwariowych, w stadach ptaków przebywających na naturalnych lęgowiskach i zimowiskach oraz w społecznościach szczurów, psów, wilków, trolli, wielu zwierząt jeleniowatych i małp - nie wyłączając oczywiście społeczności ludzi - niektóre osobniki wykazują silne dążenie do zdobycia pozycji dominującej, gdy inne natomiast chętniej odgrywają rolę służebną.

Jaka zasada kształtuje taką właśnie hierarchię w świecie zwierząt? Wygląda na to, że każdy osobnik wybiera sobie pozycję w społeczeństwie przede wszystkim na podstawie pierwszego kontaktu z innymi członkami swojej społeczności. Najpewniej kiedy spotykają się dwaj przedstawiciele jednego gatunku, od razu wiadomo, który z nich będzie panem, a który sługą. I zazwyczaj nie potrzeba do tego nawet fizycznego kontaktu. Ten, który swoim wyglądem - a nade wszystko pewnością siebie - wywrze na drugim wrażenie mocniejszego i sprawniejszego, ten też wyjdzie ze spotkania górą. I raz tak właśnie ustalony stosunek wzajemny ustala się na bardzo długi czas i trwa bez zmian, chyba że któregoś dnia z takiego czy innego powodu dojdzie do ponownej konfrontacji. Każdy osobnik kształtuje w ten sposób swój stosunek do pozostałych osobników i wkrótce wszystko jest jasne i - rzecz to najdziwniejsza - wszystkim w grupie wiadome. Wszystkie osobniki bezbłędnie rozpoznają pozycję każdego członka stada i dobrze wiedzą, jak się mają do niego odnosić.

Ecke

Przy boku Anioła czuję się jak przy piecu chlebowym. Trwamy w tym stanie „obsychającego potu”, w którym najtrudniej znaleźć jakieś słowa.

Wcześniej, wieczorem, było łatwiej. Anioł zagadywał o swoim dzieciństwie na północy, o latach młodości, po trzecim piwie wspominał o bracie: dwa lata młodszy od niego, archeolog i niezwykle utalentowany miłośnik fotografii przyrodniczej. Brat zginął przed rokiem. Zabłąkana kula w lesie, i to po sezonie polowań na jelenie. Braciszka poszukiwano kilka tygodni, ciało znalazł przypadkiem zbierający jagody mężczyzna. Wlot po kuli w szyi. Nie wiadomo, kto strzelał, i nawet kuli nigdy nie odnaleziono. Pamiętam, jak wtedy położyłem dłoń na jego dłoni i ścisnąłem ją pocieszająco. Anioł podniósł na mnie oczy i w tym momencie moje serce zaczęło tańczyć czaczę.

Anioł leży na brzuchu, przeciągam dłonią po jego plecach i pośladkach.

Wstrząsa nim lekki dreszcz, leciuteńki, i następuje właśnie to, czego tak bardzo się bałem. Niby od niechcenia - och, jak on to odegrał - niby przypadkiem, zupełnie jak gdyby właśnie przyszło mu to do głowy, wstaje, niezdarnie naciąga na nogi spodnie i odgarnia z czoła jasny lok, a mnie puls skacze jak przy wyjściu na ostatnią prostą, bo na jego wargach rodzi się właśnie zdanie, którego nie chcę usłyszeć.

Anioł

Ecke jest mały i ciemny, wygląda jak osobnik, którego określa się mianem nerda. Włosy ma źle przycięte, nosi mocne okulary, ma wąskie barki, krótkie nogi, biodra nieco szerokie. Zupełnie nie w moim typie.

Mieszkanie Eckego pokrywa skorupa z książek. Rosną na ścianach, zakrywają wszystko wielobarwną masą mchu i próbują się rozplenić poza zarezerwowanymi dla nich przestrzeniami, wyciągając swoje kanciaste macki ku parapetom, stolom, krzesłom i wzdłuż podłogi. W środku nie można zrobić dwóch kroków, żeby nie wpaść na jakąś książkę. Nawet ściany w przedpokoju, toalecie i małej sypialni są pokryte półkami z książkami. Paperbacki stoją na półkach w dwóch rzędach, jeden za drugim. W środku tej książkowej dżungli majaczy oczywiście monitor komputera. Ecke należy do społeczności pecetowców, a ja mam macintosha, przez cały wieczór toczyliśmy więc zżarty, żartobliwy spór o wyższość którejś z maszyn. Opowiedziałem mu wszystkie swoje żarty o Billu Gatesie i stwierdziłem, że Microsoft podprowadził wszystkie dobre pomysły z Apple'a, aż w końcu doszło do dziko podniecającej przepychanki słownej, gdy wspomniałem raz na marginesie, że dopiero w Windowsie 98 pojawiła się możliwość korzystania z wielu monitorów na jednym komputerze, podczas gdy w Macu systemy operacyjne miały tę nieocenioną dla nas, grafików komputerowych, właściwość już od lat. Cała ta dyskusja była jednocześnie kłótnią i flirtem, prawdziwą arią miłosną złożoną z dowcipnych przytyków i pogardliwych uwag; podobną wymianę zdań miałem kilka lat wcześniej z pewnym fotografu-

jącym młodzieńcem o absolutnie nieodpartym uroku osobistym na temat wyższości nikonu nad canonem.

Chodzę po pokoju Eckiego, obracam się i oglądam grzbiety książek, powinienem iść, ale nie potrafię, nie znajduję słów, żeby strzepnąć z szyi spojrzenie Eckiego, parzące mnie niczym rozpalona smoła.

Pesik jeszcze nigdy nie był przez całą noc sam w domu.

- Nie jest tu szczególnie czysto - tłumaczy się Ecke, widząc jak z książek opada kurz, kiedy przeciągam palcami po grzbietach.
- Ale staram się utrzymywać jako taki porządek. Miałem jedno bardzo traumatyczne przeżycie...

Uśmiecham się i zastygam przed gablotą, w której jest kilka naprawdę starych książek. Ecke handluje starymi książkami i artykułami komputerowymi, ale sam mówi, że koniec końców duża część książek ląduje jednak w jego mieszkaniu. Młodzi pecemaniacy z książek wybierają podobno co najwyżej komiksy Petriego Hiltunena o *Kalevali*.

- Mieszkałem w tamtym czasie w Pispali, w piwnicy domu jednorodzinnego. Tania meta biednego studenta. Koza na dREWno i wszystko w ten deseń. Nie było tam w zasadzie ani jednego porządnego miejsca do chowania rzeczy, tylko dwie śmieszne wąskie szafy, więc nie miałem w sumie gdzie trzymać kubków, szklanek itepe. Kiedyś w szopce przy domu znalazłem dwa kawałki płyty wiórowej i cegłę, z których skleciłem coś w rodzaju półki przy zlewie.

Ostrożnie otwieram gablotę, książki odurzają zapachem starego papieru, pachną trochę jak tartak po deszczu, i zapach tworzy specjalną oprawę dla opowieści Eckiego.

- Przyszło lato, długie i gorące. Te płyty wiórowe przy zlewie oczywiście nie raz przy zmywaniu nasiąkły wodą. Pewnego ranka, kiedy obudziłem się nieco skacowany, jako że poprzedniego wieczora tankowałem dość długo w jakimś ogródku piwnym, posze-

dłem do kuchni napić się wody. I w tym momencie wydarł się z mojej piersi przeciągły krzyk.

Obracam się rozbawiony i spoglądam na Eckego. Rozkłada ręce, na twarzy mina niewinnego baranka.

- Na tych płytach wyrosły grzyby wysokie niemal na pół łokcia. Takie blade, szarofioletowe i obrzydliwe. Miały szerokie kapelusze, blaszki i wszystko.

Wybucham śmiechem, nie chce mi się wierzyć.

- Grzyby. Na półce przy zlewie.

- Grzyby. Jeden... taki gość, który tam wtedy był, zaproponował obłędnie, żebyśmy dodali je do jajecznicy na śniadanie. Ale ja, walcząc z mdłościami, wystawiłem te płyty od razu za drzwi. Od spodu to była jedna próchnica.

Uśmiecham się krzywo.

- To zupełnie jak fragment jakiegoś surrealistycznego filmu.

- Petera Greenawaya, ani chybi. Nowe arcydzieło: *Natura kontratakuję*. Opowieść o tym, jak dziewicza puszcza potajemnie przenika do chędogiego życia niczego nie świadomych mieszkańców urbium. Pewnego dnia matka w pudełku z tamponami znajduje szyszkę.

Śmieję się głucho i znów obracam się w stronę książek. Palce trafiają na jakiś prehistoryczny z wyglądu opus, wyluskuję tomiszczę na światło dzienne.

Robię głęboki wdech.

Gustaf Euren: *Zwierzęta drapieżne Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, na rycinach objaśnione*.

- To z 1854 roku - mówi Ecke, który nagle znalazł się tuż za mną.

Odwracam się do niego.

- Pożycz mi to.

Ecke

Anioł jest wstrząsająco piękny, kiedy tak stoi z książką Eurena w ręku, tak piękny, że moja dłoń - ta dłoń, która podnosiła się już ku jego ramieniu, żeby go odwrócić twarzą do mnie - zatrzymuje się. Włosy Anioła sterczą w nieładzie, te włosy jasne jak len, on sam zaś przyciska do swej nagiej piersi Gustafa Eurena, rzadką antykwaryczną perłę.

- To potwornie stare. I potwornie drogie. - Sam czuję, jakie puste jest to, co mówię. Nagle jestem żalonym, chciwym, starym Żydem, któremu nie można wydrzeć z zakrzywionych szponów nawet najbardziej poplamionej starzyzny.

- Zupełnie serio mówię, chciałbym to przeczytać.

Spoglądam na Anioła rozpaczliwie. Widzę w jego oczach, jak mnie waży. Na ile będę gotów mu ustąpić ze względu na to, że on jest uzdolniony, rozchwytywany, piękny i diabelnie seksowny i że ma nade mną jeszcze większą przewagę niż dziki ryś nad kulącą się w klatce norką - zwierzątkiem, którego jedyną obroną przed natychmiastowym rozszarpaniem jest zwinność i małe, ale bardzo ostre zęby.

- I ja zupełnie serio mówię - nie chciałbym, żeby cokolwiek się z tym stało. W Finlandii jest tego tylko kilka egzemplarzy.

- No nie wątpię.

- Normalnie nie pożyczam swoich książek. Ale tu, u mnie... można je czytać bez żadnych ograniczeń.

Dociera do mnie teraz, jak to zabrzmiało. Wejść do mej jaskini, junaku. Pozwól mi, a siecią swą cię oplotę, a tak już nigdy do wyjścia nie trafisz.

Anioł wygląda naprawdę poważnie, kiwa w moją stronę Eu-renem jak listem pożegnalnym.

- OK, nie, to nie. Rozumiem. To musi być dla ciebie naprawdę cenna książka.

I tym tonem Anioł rzuca mi rękawicę: jeśli ta książka jest dla ciebie cenna, to jak cenny jestem ja?

- Gdybyś zobaczył jej cenę w katalogu, nie uwierzyłbyś.

Anioł wzdycha i odwraca się, niby żeby odłożyć książkę z powrotem do gabloty, a ja wiem równie dobrze jak on, że to teatr, że właśnie teraz daje mi szansę. I ja wchodzę w rolę, chwytam Anioła za przegub dłoni - ech, te złote wzgórciki na kości promieniowej, ta zroszona szlachetnym potem skóra - i zatrzymuję ten ruch.

- Bierz ją.

W śmiechu Anioła pobrzmiwa niski, triumfalny soundzik. Trzymając ciągle książkę, zakłada mi ręce za plecy i całuje mnie w usta, szybko i twardo. „Pocałunek jak kość - myślę. - Kość dla psa”. A oczy Anioła lśnią.

- Tylko nie rób zakładki z plasterka salami - próbuję jeszcze i Anioł uśmiecha się akurat tak wesoło, akurat tak lekko, ile po trzeba na komunikat, że mój czas łaski już się skończył, magiczna chwila minęła, a mnie zostaje jedynie skurcz żołądka i podłoga zaścielona owocowymi gumkami.

Anioł

Siadam w szlafroku w fotelu i otwieram książkę. Wyszedłem właśnie spod wieczornego prysznica i czekam ze sprzątaniem łazienki, aż Pesik zje śniadanie.

„Liczba drapieźników w Finlandji jest niezmiernie wielka, a wszystkie one szkodne są zwierzęta”, rozpoczyna Euren, po czym przechodzi do pieczołowitego opisu cech rozpoznawczych i budowy ciała drapieźców. Z łazienki dobiegają głucho łaskoty i odgłos drapania pazurami po kafelkach: Pesik goni zdyszana świnę morską po całej łazience, miotając ją od czasu do czasu po ścianach - cytrynowy ajaks znów będzie miał co szorować.

„Skoro do rozmaitej materji podrobienia różnych potrzeba urządzeń, tak już i z zębów kształtu objaśnić możemy, czym każdy zwierz żyje. Następnie z przyrodzenia pokarmu jego wytłumaczyć można, jakim sposobem zwierzę poruszać się musi, aby dostać pożywienia, które ku jego zębom słusznem się okaże, tudzież jak wielką musi być siła i jaka zwierzęcego jego ustroju pozostała konstrukcja potrzebną jest dla takiej pokarmowej materji zdobycia, podźwignięcia i t.p., a zatem mało z samych tylko zębów ku objaśnieniu całej każdego zwierzęcia postaci jesteśmy sposobni”.

Słyszę pisk i gruchotanie, za późno sobie przypominam, że trzeba było zakryć uszy dłońmi. Pesik przegryzł świnie kręgosłup. Euren przechodzi akurat do rodziny kotów.

„Większe z tej rodziny bestje to już zaiste okrutne szarpacze, jako lew, tygrys, pard albo ryś. Opowiadają leśni ludzie czasem, jakoby ktoś widział «trula» lubo biesa, które to stworzenie, dla

jego kryjomego przyrodzenia, również i chyłkiem nazywają, a które wielu kota albo dużej małpy krewniakiem sądzi. Atoli mało liczni bestją tą żywą widziało na własne oczy, i przecież tern rzadszy jeszcze może się chęścić, iżby ją upolować zdołał; tern łatwiej zatem trolle i chyłki między bajki i przesady ludu położyć możemy".

Odrywam powoli dłonie od uszu. Jest cicho: najwyraźniej Pesik je. Euren ciągnie o kotowatych.

„Węzom podobne są zwierzęta one w tem jeszcze, iż postać mają pstrą i przyrodzenie podstępne, a gdy spoczywać myślą, ciała swe układają w kolistem kształcie, a kiedy zasie popadają w złość zajadłą, złe zapachy z siebie wydawają".

Uśmiecham się. Skrzypią drzwi i Pesik wychodzi z łazienki odprężony i zadowolony, czerwony języczek pełga wokół pyszczka, podobny do małego płomienia. Z miejsca wskakuje na kanapę, na moje kolana, i zwija się w kłębek. Odurzający zapach jagód jałowca wierci mi w nosie, ciężar promieniującego szalem pogoni ciepła na moich udach jest nie do zniesienia. Pesik oczyszcza leniwie pyszczek z krwi, a ja chyba nie do końca zdaję sobie sprawę z tego, co robię, ale przyciągam go bliżej siebie, bardzo nieznacznie i ostrożnie, i w momencie, gdy jego gorący grzbiet dotyka mojego brzucha, wybucham jak wulkan.

Moje serce łomocze z natężeniem i głośnością młota pneumatycznego. Sperma poplamia Pesikowi grzbiet, a mnie uda, ale z całych sił próbuję nie myśleć o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Instynktownie odsuwam kruchą, zbrązowiałą książkę daleko na bok i w tejże chwili Pesik się zrywa, nie ze zdenerwowania, ale z potrzeby znalezienia sobie wygodniejszej pozycji, nie dokończył przecież swojego mycia, zsuwam go z nóg tak nagłym i brutalnym niemal ruchem, że Pesik wzdraga się, rzuca do przedpokoju i próbuje wspiąć się na półkę pod sufitem. Kopnięcie jego mocnych tylnych łap przeszywa powietrze, trafiając w ramę wi-

szącego na ścianie przedpokoju lustro, które z łaskotem spada na gruby dywan w tym samym momencie, gdy ja rzucam się do łazienki, żeby zmyć z siebie wstydlivą plamę.

Dawne runa narodu fińskiego, 1929. VII:1, 375. *Swadźba u biesów*. Impilahti, wieś
Uomaa, Trofim Sosonov

„Cośta wy za jedne?” „Rybitwy my biedne”. „Kaj
wos swadźba niesie?” „Do córek po biesiech,
Górnych rodów wnukwi”.

Anioł

Nie chcę tego robić, ale muszę.

Popycham przed sobą Pesika w wózku, który pożyczyłem z klatki schodowej. Nikomu nie jest teraz potrzebny, w końcu jest noc. Owinąłem go w koc, żeby nikomu nie przyszły do głowy niepotrzebne myśli. Pesik porusza uszami, a jego nozdrza drżą od natłoku zapachów miasta.

Na skraju lasu poniżej ryneczku, przy drodze za miasto zsuwam z wózka osłonę. Ściągam Pesikowi obrozę i luzuję szelki, które trzymały go w wózku. Leży w środku zwinięty w kłębek, czarny i nagi, i trzęsie się, pojedyncza śnieżynka opada powoli na jego czarny grzebień i wnet spływa łąą.

- Idź - szepczę. - Idź.

Pesik drży teraz jeszcze gwałtowniej, czuję to drżenie w rękach, gdy stawiam go na śniegu, obracam wózek i ruszam z powrotem do miasta, powstrzymując się, żeby nie spojrzeć za siebie.

Ścieżka skrzypi mi żałośnie pod stopami. Naraz z tym skrzypieniem miesza się inny odgłos, wściekle drapanie pazurami, i nie zdążyłem się nawet obrócić, a już jakiś zwierz z siłą tygrysa uderza mnie w prawe udo.

Pesik wiesz mi się wszystkimi czterema łapami na nodze i spogląda w górę, i jego spojrzenie jest tak intensywne, że odczuwam je jak uderzenie. Z krtani wydobywają mu się krótkie miauknięcia. Drży tak mocno, że rezonans wytrąca mnie z równowagi.

Nie przeżyje zimy. Jest nagi i to ja go rozebrałem.

Mikael Agricola, przedmowa do fińskiego przekładu *Psalterza*, 1551

Y chylki takōż na nyeich żertwy brali Bo szyć z wdowy kładli i
theż o nye ftali.

Zaż fzyć ten narōd nye zowye pfzeklętem, czfoż szyć jim modli y
wierzy iak we szwyęte. Do tego ich fzatan zez grzechem przywyęli, az
im szyć klanyacz i wierzyć poczęli.

Anioł

Lustro leży na dywanie w przedpokoju. Nie podnoszę go, lecz zdyszany przykucam obok i tak pozostaję; nie wiem, co robić, nie znajduję żadnej sensownej choreografii. Koc jest znów na sofie. Pesik jeszcze się trochę trzęsie, ale wyraźnie się uspokaja. Oparł się plecami o grzejnik, ogon drży nieznacznie niczym igła czułego instrumentu. A potem przychodzi do przedpokoju, ostrożnie, dziwiąc się mojemu znieruchomieniu i zwieszanej na piersi głowie. Lustro jest jak mała okrągła kałuża na puszystym dywanie.

Pochylam się nad lustrem, w którym uwidacznia się moja twarz. Obok niej wynurza się mniejsza, ciemna i jajowata, a w jej czerwono-żółtych oczach skrzy się ciekawość.

Pesik ostrożnie bada łapą lustro. Patrzy na mnie, a potem znów na zwierciadło. Odślania zęby i cofa się szybko, gdy troll w lustrze odpowiada na jego grymas, ale potem podkrada się z powrotem do krawędzi lustra i znów bada łapą zimne szkło.

Patrzymy na siebie, ja i troll; światło lampy roztacza wokół mojej głowy jasną poświatę i Pessi rysuje się obok mnie czarnym konturem; patrzymy na siebie i w lustro, i na siebie.

Eino Leino, *Troll Ciemności. Śpiewy panięskie*, druga seria, 1916

Raz surowy Troll Ciemności poczuł słońca powrót
rychły na lapońskie połoniny, na wiosenne
ponowiny.

Myśl o zbrodni mąci w głowie: „Ja to słońce snadź zabiję,
zglądzę przecie przykre światło, w święte imię ciemnej
nocy, co się w moim sercu mroczy”.

Trolle słońca nienawidzą.

Poszedł troll na połoninę, gdzie płomień polarnej zorzy
pożogę na niebie nieci, usta uśmiechem ugładził:
„Szczęście moje niepojętsze, radość moja bardziej błoga,
nad bogów światła biesiady, nad dzieci ich płąsy i
pieśni”.

Noc szeroką była wkoło.

Zalśniły w mroku kryształy, jak klątwa w sercu posępnym,
morze poblądło zawyło, jak jadem myśli zatrute, podniosła się
śnieżna puszcza, z ziemi od śmierci ciężarnej, niczym męża
pomsta zimna, nienawiścią lśniąca klinga.

Zaśmiał się Troll Ciemności: „Wychylże swą szyję, słońce,
sczeźniesz snadnie tu po stokroć, tysiąc toporów cię strupi!”.

W dali jutrznia zajaśniała.

I wtem poczuł Troll Ciemności, że mu serce młotem wali,
łapami się w głowę wczepił: „Dokąd myśli moje dążą?”.

Wyłoniły się z ciemności niebios skraje, puszczy gaje, rozjaśniły
w promienności serca smutne tajemnice, sypnęły strzały
ogniste z wstającego słońca łuku, belty pomknęły naprzeciw
myślom mrokiem zboczonym; błękitny dzionek się budzi, jak
dusza w trollu się budzi, błękitem drżą wiosny struny,

jak w trollu drżą serca struny, i tak się z sobą złączyły, razem się splotły promienie,
zebrzmiały w jedno brzmienie, uniosły ku wysokości, skroś dziewiątego nieba,
ponad sklepienie dziesiąte, aż w domu swoim spoczęły, w Stwórcy świętej radości, w
Duszy ostatnim pokoju, w miłości Bożej bez granic.

Z głębi nocy chór zaśpiewał pieśnią z pełnej piersi słońca: „Zło dobrego jest
początkiem, szpetota piękności przeblyskiem, niski wzniosłego wyjątkiem”.

Na to ludzie powiedzieli: „Ten troll to szalony wiła, co go jasność uwięziła, choć sam
jest ciemności synem, słońca się słowem zachłysnął!”.

Święci się uśmiechnęli.

I nigdy już nie odzyskał spokoju swej duszy z lodu, umarł raz z mrozu powrotem, z
wichrem się zbratał i skoczył w słoneczny piec, co rozgorzał od żaru Bożej miłości.

Anioł

W ogóle nie myślałem o Marttim. To zupełnie niepojęte. Ale gdy słyszę jego głos w słuchawce, czuję, jak nogi mi miękną.

Głos ma miękki i nieco zachrypnięty jak zawsze, ale nie mogę uwierzyć w jego słowa, nie w takie słowa.

Dziwi się, dlaczego w ogóle go nie informuję o postępie prac nad kampanią stalkerów. A może rzeczywiście cały swój czas spędzam na uganianiu się nocami za jakimś konowalem po całym Tampere, jak mówią na mieście?

Jąkam się, próbuję wyjaśniać, w końcu *deadline* jest jeszcze daleko, jasne, że mam pomysły, tylko teraz miałem takie małe schody. Ale spomiędzy słów Martesa sący się trująca ironia, najwyraźniej nie traktuję poważnie jego zlecenia, najwyraźniej lekceważę sobie w ogóle zawodową relację z nim. Kampania stalkerów jest dla niego niezwykle istotna, to jedno z największych wyzwań w jego karierze. Nie zamierzam chyba go zawieść... również na tym polu.

Czytam wszystko pomiędzy wierszami.

W oczach mam łzy, gdy telefon głuźnie z brzdękiem.

Program z cyklu „Telewizyjna szkoła”: *Czy drapieżniki są okrutne?*, 19. 10. 1999, TV 1.
Wypowiada się profesor Uniwersytetu w Turku, Markku Soikkeli

Okrucieństwo jest wtedy, gdy świadomie zadaje się ból, powoduje się czyjeś cierpienie psychiczne albo fizyczne i robi się to, chociaż się wie, że ktoś cierpi z tego powodu. I gdy teraz padło pytanie, czy drapieżniki, zabijając i rozszarpując swoje ofiary, wiedzą, że przysparza to upolowanym przez nie zwierzętom bólu i cierpienia, odpowiedź brzmi „nie”, one o tym nie wiedzą. W świecie zwierząt nie ma tak zwanej moralności, czyli, mówiąc inaczej, nie ma dobra i nie ma zła. My, ludzie, mamy moralność, my wiemy, jaka jest różnica między dobrem a złem, ale zwierzęta tego nie wiedzą.

Anioł

Biorę w studiu Pesika na ręce i wciągam stalkery na jego tylne łapy jednym szarpnięciem - jednym, bo wiem, że drugiej próby nie będzie. Gdyby Pesikowi przyszło do głowy rozpostrzeć pazury, za Chiny nie udałoby mi się podciągnąć nogawki, nie rozdzierając jej przy tym na strzępy. Rozmiar dziecięcy na wzrost 110 centymetrów pasuje zdumiewająco dobrze. Udaje mi się zapiąć rozporek i mosiężny guzik, po czym wyciągam ogon przez specjalnie wyciętą w tylnej części stalkerów dziurę, nim Pesik pojmie, że został nabity w butelkę. Następnie rzucam go przed namiot, on zamienia się w posyknającą wściekle i dziko tnącą ostrymi pazurami kulę, a ja puszczam winder w ruch.

Pesik nie cierpi stalkerów tak bardzo, że nie rzuca się na ściany, lecz pozostaje właśnie tam, gdzie powinien, na tle namiotu, w jaskrawym świetle lamp, w objęciu wizjera, i wykręca salta i piruety, próbując się uwolnić od indygowego kaftana bezpieczeństwa, który wiąże jego tylne kończyny. Chociaż reflektory muszą sprawiać oczom nocnego drapieźnika prawdziwy ból, umysł Pesika zaprzęta teraz wyłącznie walka ze stalkerami. Co raz wybija się na swych teleskopowych, niesamowitych mięśniach na metr w górę, wykręca się niczym groteskowy tancerz go-go, tarza się na plecach niczym breakdancer i pazurami przednich łap próbuje zedrzeć z siebie dzinsy; ale denim trzyma, jeszcze trzyma, i Pesik wypręża się i sztywnieje, staje na tylnych łapach i szarpie pazurami szlufki, a ja prawie zamykam oczy - to będzie perfekcyjne ujęcie - potem kładzie swoją czarną grzywę na białej podłodze namiotu i unosi biodra, nad którymi wije się, rzecz jasna,

szalejący z frustracji ogon, i wrzeszczy spomiędzy nóg w stronę aparatu; migawka terkozce, a sycząca, smolistoczarna, niebiesko-smuga i napięta sprężyna szaleje i skacze, szarpie się, wiruje i kręci, a wszystko to odbija się na filmie, dwie klatki na sekundę, zupełnie jakby Pesik wypalał na srebrzej błonie własną, roziskrzoną energię.

Gdy džins wreszcie się rozdziera, sam odczuwam ulgę, czuję się tak, jakbym zaczerpnął powietrza po długim bezdechu - najpierw z boku uda na nogawce pojawia się rozdarcie, dokładnie tam, gdzie Pesikowi najłatwiej sięgnąć pazurami, a potem widzę już tylko chmurę wirujących w powietrzu džinsowych płatków w kolorze indygo, po czym zdyszane stworzenie wyskakuje z jej środka, wydostając się jednym skokiem z zasięgu reflektorów. Przyskakuje do mnie z wyszczerzonymi zębami, rozpalonymi oczami i obnażonymi pazurami, ale gdy podnoszę dłoń, przypomina sobie, czym to grozi, przypomina sobie zwiniętą w rulon gazetę i przygarbiony ucieka w kąt. Przewijam diapozytyw do kasety, zrzucam ją na dłoń i ściskam; w szarym kącie rozpoznaję tylko ogon Pesika, którym troll młóci, młóci i miele wściekle, jak cepem.

Bajki o trollach. Wydanie Towarzystwa Literatury Fińskiej, 1990. Opowiada parobek Roope Hollman, Haukivuori 1884

Roz kiedyś zašli do dumu nad wieczorem nieprzyjacioly, co to niby za podróżnych po gościńcu się podały, i o nocleg się jęły pytać. Ale gospodarz im pado: „Tak ci u nas lichu co miejsca, ze nocy tu nie przepędzita. Ale mummy zasie pod lasem gumno, i jak tam zgodzicie się łobnocować, to i tam zaś idźta”.

No i te nieprzyjacioly zaś do tygu gumna poszły. I masz ci los, nad ranym przyszed ci tam jeden chyłek, co tam w tym gumnie pomieszkiwoł. I jęł ci tyn w ty jeich podróżny sakwie pynchć i mięsa z nich dobuł, i do pyska se to mięso kładzie. Jak te ludzie to zobaczyły, z krzykiem wielgim do gospodarza zaroz pognały: „Zabirzcie, gospodarzu, tygu waszygu czornygu kocura zez fręzłą na łogonie!”. Ale gospodarz ci udoł, że niby tygu ich czczygu gadanio nie słyszy, i dali ino leży. To tyn jeden nieprzyjaciel zasie krzyczy znowu: „Zabirzcie, gospodarzu, tygu waszygu czornygu kocura zez fręzłą na ogonie, bo jak nie, to ja łony-gu sam przepyndzę!”.

Nic im na to gospodarz nie rzek. Nieprzyjacioly się ta jeszcze ciągiem wydzieraly: „Zabirzcie, zabirzcie!”, ale że się potem same na tygu chyłka rzuciły. Ino że tyn chyłek to ci nie boł przecie zaraz taki zwyczajny kocur, i ledwie się człowiek łobejrzoł, to ci te nieprzyjacioly już hycnęły bez łokno na pole.

Po sidmiu rokach znowu przyszed ci tyn jedyn nieprzyjaciel do ty samy wsi. I ci wedle pola dzieci zagaduje: „A macie ta jeszcze tygu czornygu kocura zez fręzłą na łogonie?”. A dzieciarnia mu krzyczą: „A juści, momy!”.

To i tyn nieprzyjaciel juz się wcale zająć do noszygu gospodo rza wincy nie odważył.

Martes

Patrzę na ekran jeszcze raz, przybliżam obraz i nie mogę nie zrobić głębokiego wdechu. „Skubany”, mówię do siebie przez zamknięte usta bezgłośnie, ale dobitnie.

Ja pierdole, opłaciło się, naprawdę się opłaciło.

Mikael kraśnieje z zadowolenia gdzieś za moim ramieniem, tak blisko, że czuję promieniujące z jego ud ciepło, i czuję się z tym jakoś niewygodnie, obracam się na fotelu, może nawet nieco za gwałtownie.

- Photoshopem to zrobiłeś?

- Ano - odpowiada Mikael.

Kręcę głową, mimowolnie uśmiecham się i widzę, jak od razu mój uśmiech odbija się w twarzy Mikaela, zapalam go jak za naciśnięciem guzika.

- Prawdziwy magik z ciebie. Żadnych szwów nie widać, choćbyś nie wiadomo jak szukał. No tak, może tu, w tym miejscu, gdzie ogon schodzi się z nogawką, jest lekki kipsz, ale to już trzeba mojego sokolego oka profesjonalisty, żeby to dostrzec.

Mikael uśmiecha się krzywo, zbiłem go z pantałyku.

- Ale przecież nie takie rzeczy się widziało. Wzięłeś plik dobrych zdjęć przyrodniczych, a potem założyłeś modelowi spodnie na tyłek i kazałeś mu przyjmować podobne pozycje, co zwierzę, resztę doskanowałeś i *voild*. No nie? Ale odwaliliś, panie dzieju, kawał ciężkiej roboty.

- Nie trwało to znowu aż tak długo.

- Jak zawsze skromny. A zdjęcia trolli masz pewnie z Parku Narodowego Ahtari, co?

BB 152

Mikael śmieje się nerwowo, zna żart i wie, że to stary kawał. Zawsze kiedy w agencji ktoś wpadnie na pomysł, w którym występuje jakiegokolwiek zwierzę, czy będzie to niedźwiedź, kret czy pingwin, i ktoś zaczyna się martwić, skąd weźmiemy materiał filmowy albo zdjęcie, wtedy zawsze ktoś mówi: „Z Parku Narodowego Ahtari”, chociażby chodziło o afrykańskiego nosorożca.

- Ale nie będziemy mieli żadnych kłopotów z prawami na te zdjęcia, co? Bo przecież musiałeś zeskanować oryginalne zdjęcia trolla z jakiejś międzynarodowej bazy zdjęć przyrodniczych... A chyba nie zrobiono ich z ambony nad padłym reniferem. Skąd je ściągnąłeś?

Mikael wyjaśnia, ma brata, który zarabia, fotografując dla biura prowadzącego bank zdjęć, fotografuje przyrodę, był na wyprawie do rosyjskiej Karelii, gdzie trolli jest więcej, i tam jakiś miejscowy ajgor znalazł jednego we wnykach zastawionych na niedźwiedzia, a brat zdążył dotrzeć na miejsce, zanim biedne stworzenie dobito. Historyjka faktycznie wyjaśnia zabiegistą ostrość zdjęć, wrażenie, że foty zrobiono z małego dystansu, a nie z za jakichś chaszczy. No a poza tym, Michelangelo wyczyścił i pogłębił zdjęcia tak genialnie, że wyglądają na zrobione w studiu, nawet te dorobione na komputerze leciuchne cienie są tak autentyczne, że aż hej.

- Prawa?

Mikael ciągnie dalej, mówi coś za szybko i zawile, ale wcale się nie dziwię, przecież musi zdawać sobie sprawę z tego, jakim skarbem jest ta płytka, którą przed chwilą wsunąłem do swojego kompa. Zdjęcia są objęte ich własną, Mikaela i jego brata, całkowicie prywatną umową, przysługa za jakąś inną, dawną przysługę, i w ogóle nie trzeba do tego mieszać żadnej agencji fotograficznej. A i płatność można zrealizować poprzez firmę Mikaela, tak chce jego brat z jakichś tam przyczyn podatkowych. Mnie nie interesuje nic poza tym, że zdjęcia za chwilę będą nasze, z prawem wyłączności, kuźwa!, z prawem wyłączności.

- No, ale co tak w ogóle o nich powiesz? - policzki Mikaela okrasza delikatny róż, facet zachowuje się jak onieśmielona dziewczoja. Z oczu aż bije potworny głód uznania.

- Zupełnie w porządku.

Mikael miał oczywiście nadzieję na coś więcej, ale teraz trzeba to właściwie rozegrać. Jeżeli Mikael się zorientuje, co nam dał do rąk, zorientuje się też, ile powinien za to zażądać, a wtedy... No, może i dalibyśmy radę tę sumę zapłacić, ale po co, skoro możemy wykręcić się sianem.

- Ale chyba możecie je wykorzystać? - w głosie Mikaela pobrzmiwa teraz prawdziwa panika, i wiem, że czas skrócić jego męki. Kładę mu dłoń na ramieniu, po męsku, ciężko i znacząco.

- Oczywiście, że możemy je wykorzystać. Na pewno będziemy je brać pod uwagę.

W oczach Mikaela zapala się iskierka nadziei. Nadziei, która nie wiąże się tylko ze zdjęciami i pieniędzmi.

- Pomyślałem sobie, że poza tym to jest aktualny temat, we wszystkich gazetach pełno artykułów o dzikich zwierzętach w miastach i... ma już niejako gotową prasę, ludzkie lęki i cała ta dyskusja na ten temat...

Oj, biedaku, myślę sobie, nie musisz ich przecież sprzedawać. Już zostały kupione.

- To chodźmy na kawę, pogadamy o pieniądzach. - Popycham Mikaela do drzwi i chłopak mało co nie zaplątuje się we własne nogi, próbując iść tak, by moja dłoń nie zsunęła się z jego ramienia, nim będzie to absolutnie konieczne.

Anioł

Siadam w pubie i zamawiam jedno piwo, serce ciągle mi wali ze szczęścia i podniecenia.

„To dzięki tobie, Pesiku, to dzięki tobie - mówię do siebie po cichu. - Ja cię rozebrałem i ja cię ubrałem, stanowimy doskonały zespół”.

H /SS

Fragment dziennika obserwacji żołnierza straży granicznej, Yrjö Luukkonena, jednostka Suomussalmi, posterunek Hoikka-vaara, 1981

Piątek 10. 07.1981

O godz. 18.20 przyszedłem do budki i przykleiłem do sufitu taśmę na komary. Kruki dziobały padlinę. Niedaleko budki kukały kukułki; zrobiłem kilka zdjęć. Kruki skończyły jeść około godz. 21.00 i potem w całej okolicy zrobiło się cicho jak makiem zasiał. O godz. 22.50 słońce jest tak nisko, że korony drzew przy stawie są lekko różowe. O godz. 23.00 widzę idącego na żer trolla. Duży samiec. Zbliża się do padliny powoli, co chwilę przystaje i nasłuchuje. Trzyma się cały czas cierna drzew, więc nie mogę go dobrze złapać w obiektywie. Bardzo szybkimi susami przyskakuje prosto do padliny i zdiera mięso z boku, wkładając je sobie od razu do pyska. Jest tak mało światła, że nie robię zdjęć. Potem troll zaczyna odrywać większy kawał mięsa, posługuje się pazurami przednich łap bardzo precyzyjnie. Postanawiam, że mimo wszystko spróbuję go sfotografować. Po pierwszym trzasku migawki zwierzę nieruchomieje, a po drugim błyskawicznie się prostuje. Znika w lesie z oderwanym kawałkiem mięsa tak szybko, że udaje mi się pstryknąć tylko kilka szarych zdjęć. Czuwam do czwartej nad ranem, ale troll się nie pojawia.

Sobota 11. 07.1981

W nocy kilkakrotnie patrzę na padlinę, czy coś jest - nic. Miałem nadzieję, że uda mi się namierzyć samicę trolla z młodymi, takiego zdjęcia jeszcze nikt nie zrobił. Ale jedyną zdobyczą jest samiec, którego zaobserwowałem wczoraj.

Niedziela 12. 07.1981

Nadal nic. Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że przestraszony trzaskiem migawki czujny samiec już nie wróci, ale można założyć, że zapuści się w tę okolicę jakiś inny osobnik.

Poniedziałek 13. 07.1981

Posucha. Tylko dwie kukułki na budce i o godz. 21.00 przyleciały na żer trzy kruki. Odleciały w stronę Hartikkalampi o godz. 21.45.

Wtorek 14. 07. 1981

Przyjście do budki o godz. 19.30. Wczesny wieczór jest zdecydowanie za jasny na trolle, ale do padliny przychodzi niedźwiedź. Nad lewym okiem ma około czterocentymetrowy bezwłosy obszar i miejsce to tak napuchło, że oko jest niemal niewidoczne, na skraju powieki jakaś biała tkanka, po prawej stronie pyska ślad przecięcia pazurem. Niedźwiedź się posila i odchodzi około godz. 20.20. O godz. 23.00 przychodzi niedźwiedź II. Może teraz, kiedy padlinę znalazły niedźwiedzie, trolle boją się do niej podejść.

Anioł

Ale kiedy przychodzę do domu, pijany ze szczęścia, drzwi są uchylone i Pesika nie ma.

Palomita

W siatce ciąży radość i pobrzękuje przekora. Kupiłam jedzenie dla kota, teraz inną puszkę niż ostatnio. Chciałabym wiedzieć, co tam słycać u trolla. I u Mikaela. Zbierałam butelki i drobne monety i kupiłam puszkę na inny paragon, żeby Pentti nie...

Na klatce schodowej trzask.

Czarna smuga, plamka nocy ucieka od światła, rzuca się w cień balustrady, i już rozumiem.

Widziałam ją już wcześniej. Udało mu się jakoś uciec z jego mieszkania.

Stawiam siatkę na ziemi i pociągamy szybko za kółko na brzegu puszki, wpycham palec w jasnobrazowe ciasto, kucam i macham dłonią w powietrzu. Szepczę miękkie zaproszenie. Zwierzę wyczuwa jedzenie od razu. Z cienia za balustradą wyłaniają się jego uszy, potem podchodzi bliżej, bokiem, gotowe skoczyć i uciec, ogon mu drży, ale w końcu skłania się przede mną, nozdrza drgają na drobnej, przyjemnej twarzyczce. Niepewnie wysuwa pyszczek, po czym oblizuje mój palec, zupełnie jakby pamiętał - może nawet pamięta - tę chwilę, kiedy był chory i słaby, a ja byłam jego *mama*.

I kroki, i kroki. Z góry. Podnoszę oczy, i troll też skacze jak sprężyna, ale nie rzuca się do ucieczki. Mikael.

- O Boże, Boże, Boże - powtarza. - O Boże. Dziękuję.

Podchodzi i bierze zwierzę na ręce zdecydowanie, jak dziecko, a ono nie broni się, tylko chwyta go łapkami za koszulę, jak mała małpka. Mikael nie mówi nic więcej, tylko rusza po schodach na górę, biegnie, przeskakuje po dwa stopnie od razu, a ja patrzę za

nim, bo nie wiem, co robić. Siatka leży na podłodze, a obok stoi otwarta puszka z jedzeniem dla kota. Mam to w nosie.

Anioł

Palomita wchodzi za mną do mieszkania. Zamykam drzwi, idę do dużego pokoju i stawiam Pesika na podłodze.

Nie wiem, czy powinienem chwycić za zwiniętą w rulon gazetę, czy dać mu tyle przepiórczych jaj, ile tylko zechce.

- Ale jak ten czort to zrobił? - zadaję na głos pytanie i mało mnie obchodzi, że kobieta może mnie nie zrozumieć. Przenika mnie ziąb, a przecież z wszystkich porów skóry leje się pot. A gdy by tak ta wścibska ciećbaba, ta stara plotkara zobaczyła Pesika na schodach?

Opadam ciężko na sofę. Palomita siada obok mnie. Zalewam ją potokiem pospiesznej, niemal histerycznej angielszczyzny.

- Czy mogę cię prosić, czy mogę mieć nadzieję, że nikomu nie wspomnisz, że nikomu nie powiesz o tej maskotce? W tym domu może nie wolno trzymać zwierząt, stracę go, jeśli ktoś się dowie. On jest zupełnie nieszkodliwy. Jest szalenie inteligentny, słucha mnie, ale nie wiadomo, czy słuchałby kogo innego. Mogłoby się coś stać.

Kobieta kiwa głową, uśmiecha się tak, że jej wąska twarz o wielkich oczach jest przez chwilę prawie piękna. Już drugi raz uratowała mi Pesika. Powinienem spróbować jakoś jej podziękować, ale nie wiem, jak miałbym to zrobić. Kobieta patrzy na mnie oczyma cocker-spaniela.

W przedpokoju słychać jakiś trzask.

Zrywam się na równe nogi i po chwili ja i Palomita widzimy to samo: Pesik wyciągnął się tak mocno, jak tylko potrafi, jego tułów jest nieproporcjonalnie wydłużony, jak u kota, który próbuje

dostać jakiś wysoko umieszczony przedmiot, i w skupieniu obraca swymi długimi pazurami gałkę zatrzasku.

Klik.

Drzwi się otwierają.

Pesik napina ogon jak łuk i patrzy na nas. Cała jego postać jest ucieleśnieniem dumy.

Dumy. Radości z tego, że potrafi naśladować mnie, który zawsze w ten sposób otwiera drzwi, zanim wyruszy w ten świat, gdzie on nie ma czego szukać.

- Sam otworzył drzwi. - Palomita robi głęboki wdech.

Jednym susem wpadam do przedpokoju, Pesik odsuwa się w głąb mieszkania; przyciągam drzwi do futryny, wydaję z kieszeni klucze i przekręcam jeden z nich w zamku - zablokowane.

Potem zaczynam się śmiać na całe gardło. Palomita najpierw jest zupełnie zbita z tropu, ale po chwili zaczyna nieśmiało chichotać, a ja klepię się dłonią po udzie i wyję ze śmiechu. Zdumiony Pesik strzyże uszami.

Martes

Gdy patrzę na ten layout, wiem, że to jest właśnie to. Kreatury, Złote Orły i Srebrne Pałeczki - i co tylko jest do wygrania. Obraz nie wymagał żadnego dopełnienia, trzeba było obmyślić już tylko niezwykle skromną typografię napisu - ale hola, właśnie nad tym trzeba się było kurewsko namęczyć - i oczywiście daliśmy tylko nazwę, bo nic nie ma prawa osłabiać wymowy tego zdjęcia.

Na bladym, neutralnym tle - troll. Kły ma wyszczerzone i wygląda dziko, Bóg jeden wie, co Michał Anioł musiał z nim wyczyniać w tym Photoshopie, żeby uzyskać taki płomień w oczach bestii. Choć na zdjęciu sprawia wrażenie wielkiego kloca, co najmniej dwumetrowego olbrzyma, jest wiotki i gibki niczym witka. Jego pysk wcale nie jest mordowaty, jak na tych paru nielicznych zdjęciach trolla, które miałem okazję oglądać, lecz rozczulająco przypomina twarz człowieka. Grzywa łopocze. Kruczoczarna sierść błyszczy. Długie, zakrzywione pazury przednich i tylnych łap jakby chciały się wczepić w powietrze. I wyciąga się akurat w szalonym wyskoku, który łączy w sobie balet z breakdancem; rozpierająca to zdjęcie nieposkromiona energia sprawia, że obserwator instynktownie napina każdy mięsień ciała i odskakuje. I to punkowe zwierzęce bóstwo ma na tyłku stalkery, które leżą na nim jak ulał.

W górnej części zdjęcia skrajnie stonowane, niemal szepczące litery składają się w napis: STALKER. SYMBOL DRAPIEŻCY.

E 163

Palomita

Gdy Pentti ubiera mnie w rozcięte majteczki i próbuje wepchnąć we mnie dwie pałki naraz, przygryzam wargę i jęczę, tak jak się nauczyłam. I myślę o Nim.

Kiedy Pentti uznaje, że do jedzenia dodałam za dużo białego pieprzu i rzuca mi daniem w twarz, kiedy Pentti wciąż od nowa przelicza resztę ze sklepu i próbuje mi udowodnić, że schowałam przed nim dwadzieścia centów, kiedy Pentti zabiera mi na cały dzień wszystkie moje rzeczy tylko dlatego, że wylałam herbatę na koszulę, którą sobie kupił, wtedy też myślę o Nim. To jest wtedy tak, jakbym mu za to wszystko oddawała i wcale nie zamierzam tego żałować.

Myślę o tym, jak pomogłam Jemu i Jego zwierzątku. Jak zostawiłam otwartą puszkę z jedzeniem dla kota i siatkę z zakupami na klatce schodowej i kiedy przyszłam z powrotem, ta pani, która nosi wyszywaną kufajkę i duże dyndające kolczyki, bardzo się w nie wpatrywała. Dlaczego zostawiłam jedzenie dla kota na schodach? Czy mam kota? A ja skłamałam, że znalazłam na podwórzu bezpańskiego kota i dałam mu jeść, i ta pani była nieuprzejma i zła: bynajmniej do tego domu nie będzie mi się sprowadzać żadnych wałęsających się zwierząt. I wzięła puszkę, i gdzieś ją wyniosła.

Ale nie rozgniewałam się na słowa tej pani, nie, bo i wtedy pomyślałam sobie o Mikaelu, który w przedpokoju śmiał się ze mną do rozpuku, bo czuł ulgę i dumę. Kiedy przestał się śmiać, wiedziałam, że muszę iść, i nagle w brzuchu poczułam dziwne, puste rozczarowanie. Ale gdy byłam już prawie za progiem, wy-

mykając się ukradkiem z jedyne miejsca, w którym chociaż przez chwilę było mi ciepło, on nagle wyciągnął rękę i przyciągnął mnie do siebie tak mocno, że aż mi tchu zabrakło. „Dziękuję, dziękuję raz jeszcze, Palomita” - powiedział. Potem rozluźnił uścisk i spojrzał na mnie speszony, jakby sam się sobie dziwił. Próbował coś powiedzieć, „jestem taki szczęśliwy... sama rozumiesz...”, ale mnie tak zakręciło się w głowie ze szczęścia, że tylko dotknęłam palcami jego warg na znak, żeby nic nie mówił, i uciekłam od tej radości, która mnie opanowała.

Bo przecież nikt nie może odczuwać tak wielkiej wdzięczności do kogoś, kto tylko mu zwrócił zwierzątko, które uciekło z domu... i dlatego czekam. I myślę.

Anioł

Pesik siedzi mi na kolanach, jest gładki, czarny i ciepły, czuję na podbrzuszu podrygującą nasadę jego ogona. Gładzę łapę Pe-sika, wzdłuż której biegnie mały i twarde mięsień, podnoszę wyżej książkę i czytam dalej. Pesik strzyże stożkowatymi uszami, naśladując rytm mojego głosu.

Rzucam przelotne spojrzenie na okno, na dworze pada. Miękki śnieg tworzy zasłonę tak gęstą, że widoczność jest zerowa. Biała śmierć, myślę sobie.

Czytam dalej na głos:

„Ilusia nie zapomniała tej nocy nigdy. Poprzedniego dnia straciła była skrzydła i uznała, iż musi od tego czasu żyć na ziemi. Życie tutaj nie było już dla niej tym, czym dla dziecka jest książeczka z obrazkami, którą ogląda ono dopóty, dopóki sprawia mu to radość, po czym odrzuca ją na bok. Ilusia wiedziała, iż musi teraz przeżyć całą tę książkę, i przeczuwała, że czai się w niej coś przeraźliwie mocnego, że kolory jej rycin świecą nawet w nocy, gdy na ziemię opada szaruga Pohjoli i zlewa je ze sobą”.

Przełykam ślinę. Pesik spogląda mi w oczy, jakby się zastanawiał, dlaczego przestałem czytać, dlaczego słowa uwięzły mi w gardle. Dostrzega na mej górnej wardze kropelkę potu, wyciąga się w górę i jego mały, szorstki język ociera się o kącik moich ust tak, że w moim gardle dławi się jakiś szloch. A na dworze pada śnieg, pada bez końca.

Ecke

Na dworze pada śnieg, pada bez końca. A automatyczna sekretarka Anioła nagrała szesnaście wiadomości ode mnie.

EB 167

Anioł

- Pesiku - szepczę i wyciągam dłoń. Gładzę jego rozkosznie wąską, gładką i gorącą jak piec talię. Uszy Pesika drgają. Mam gigantyczną erekcję, zupełnie jakby część brzucha aż po uda była z twardej i ciężkiej jak kamień tkanki.
Zamknąłem go tutaj, próbowałem uwięzić kawałek lasu, a oto las uwięził mnie.

Ecke

Mikael, bądź w domu.

Unikasz mnie, jakbym był trędowaty, złotowłosego adiutancie niebieskiego marszałka. Przecież sprawdzasz, kto do ciebie dzwoni, rzucasz tylko okiem na wyświetlacz i widzisz numer, mój numer, z którym nie chcesz rozmawiać.

Nie przyszedłeś poszperać w moich źródłach, chociaż nauczyłem się na pamięć wszystkiego, czym tylko można zabawiać archaniola. Wiedziałeś, że jako Michał sprawujesz na wysokościach urząd buchaltera i zapisujesz czarnym atramentem w Księdze Żywota wszystkie nasze debety i kredyty? A w dzień ostatni dasz swą trąbą sygnał do zmartwychwstania, obejmiesz komendę nad oddziałem swoich aniołów i pobijesz szatana i pachołki jego w ostatecznej, rozstrzygającej bitwie. W Księdze Daniela walczysz ze smokami. W krajach zachodnich widzą cię zwyczajowo jako rycerza z mieczem i lancą.

Wiosenny deszcz ze śniegiem odkłada mi się na barkach i na głowie, pokrywa mgłą okulary, a ja chcę, żebyś przeszył mnie swoim palącym mieczem, Mikael, jakkolwiek brzmi to pierońsko--grafomańsko, chcę poczuć twoją gorejącą lancę.

B 169

Anioł

Bogu dzięki, dzwonek.

Dźwięk przeszywa mnie niczym zimna błyskawica i otrzeźwia, a przestraszony nagłym hałasem Pesik śmiga jak wystrzelony z procy pod sofę.

Uchylam ostrożnie drzwi, błogosławiąc gościa i jednocześnie przeklinając sam siebie.

Wizjer, dlaczego, do diabła, nie sprawiłem sobie wizjera?

- Aniele - mówi Ecke głosem niemal chlipiącym, a z jego barków i włosów spływa topniejący śnieg.

Ecke

Próbuję rzucić jakiś obojętny i wyluzowany tekst o książce Gustafa Eurena i jej zwrocie, ale Anioł już stoi na klatce.

Mocnym pchnięciem niemal zatrzaskuje za sobą drzwi i od razu przyciąga mnie do siebie szarpnięciem, w którym jest tak zabójcze stężenie pożądania i głodu, że w głowie mi wiruje, a nogi rozplývają się od kolan w dół. Jego usta są zachłanne i twarde, języki zwierają się w pojedynku. Anioł kończy pocałunek tak, jakby przyszło mu odrywać swoje wargi od moich, i ciężko dyszy, a w jego oczach szaleje tak przerażający płomień, że czuję jego uderzenie głęboko we flakach, a od splotu słonecznego do jaj zaczyna spływać ognista rozkosz spełnienia.

- Chodźmy do ciebie - mówi Anioł, przez szparę w drzwiach wsuwa rękę do środka i ściąga z wieszaka kurtkę, klepie po niej dłonią, w kieszeni brzęczą klucze. - Na rynku złapiemy taksówkę.

Ostrożnie dopycha drzwi do futryny i opiera się o nie. Oddycha ciężko, popatrując na mnie koso jak drapieżca na ofiarę, i chociaż zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego jedziemy taksówką na drugi koniec miasta, zamiast zostać u niego, wiem, że są takie chwile, w których naprawdę nie opląca się otwierać ust.

E 171

Hietanen potknął się o pień olchy i upadł. I tak jak leżał, tak i potem zasnął, nie mogąc już się podnieść. Vanhala z wyciem silnika wykręcił majestatyczny zwrot przez skrzydło i krzyknął:

- Otwieraj spadochron. Twoja maszyna spada, khihihi...

- Maszyna spada... wszystko się ino kręci w koło... wszystko mi tak się w loczach ciągnie... - mamrotał Hietanen, wczepiając się palcami w trawę. Vanhala wykrzykiwał mu do ucha:

- Korkociąg!... Skacz!... Już go nie wyciągniesz!

Ale maszyna Hietanena spadała z zawrotną szybkością, obracając się wokół własnej osi. I pilot nie mógł z niej już wyskoczyć, więc zapadł się wraz ze swą maszyną najpierw we mgłę, a potem w całkowitą ciemność. Tam też go Vanhala zostawił, biadoląc nad przedwczesnym zakończeniem walki.

Nieopodal rozesiedli się wokół dość dużego głazu Maatta, Salo i Sihvonen. Salo, któremu włosy opadły na oczy, przekonywał swoich towarzyszy:

- W naszych stronach to są błędne ognie...

Sihvonen odwrócił głowę i machnął ręką, jakby odganiał komary:

- Dobra, dobra... Same bujdy...

- A ja ci mówię, że są. Stare ludzie widzieli. I nad nimi jeszcze miecze skrzyżowane, o tak.

- Dobra, dobra... Te lapońskie bajki o czarownicach. Czego to się nie słyszy. Jak Ruskom kończą się żołnierze, to niby łapią trolla, ubierają w mundur i gnają na zachód. Jak idzie taki z naprzeciwka, aż się echo po lesie niesie... To są te ich cuda na północnym froncie.

- To który ta je z północy? - spytał Maatta. - I ja ta już ci mieszkam na tyle wysoko, że nasze to ci ta chyłki na gospodarce chowajo.

Maatta przez cały czas bodaj się nie odzywał, a i słodkie piwo jakby wcale na niego nie działało. Teraz spojrzął na głaz i zaczął podpuszczać kolegów:

- A to ten ci je ten nasz kamlot. Podnosima?

Martes

- Sprzedane.

- Sprzedane?! - Widzę, jak na twarzy Mikaela rozlewa się uśmiech, powoli, jak rozpuszczająca się w wodzie farba.

- Chcesz zobaczyć layouty?

Nie czekając na odpowiedź, przechodzę do swojego pokoju, a on idzie za mną, mój giermek Mikael, gotowy zlizać te kilka kropli miodu, które łaskawie zechcę dla niego wydzielić.

Energicznie wyciągam ze sterty wydruk layoutu. Szeroko otwartymi oczyma Mikael wpatruje się w klasykę surowego minimalizmu, z której emanuje kulerski seksapil, w ten wybuchowy plastik, który jest wynikiem naszej wspólnej pracy, i mógłbym przysiąc, że gdy znów podnosi na mnie wzrok, oczy ma wilgotne.

- Elegancki, że aż kwiczy - mówię. -Ano.

- Możesz wypisać fakturę.

- Co powiedział klient?

- Trafia w samo jądro naszego postmodernistycznego, chaotycznego czasu.

Mikael się śmieje.

- Nie powiedział tak.

- Powiedział, powiedział.

Mikael nie może oderwać oczu od layoutu, od rozszarpujących powietrze pazurów, czarnego grzebienia i ryczącego pyska w ba-letowo-breakdansowym wyskoku.

- Jest piękny - sapie i jego ekstaza delikatnie mnie ścina, jak kartka książki, która niemal niedostrzegalnie kaleczy palec. Nie

mówiłem klientowi, że zdjęcie zostało zrobione i obrabione przez podwykonawcę, przecież nie ma sensu mu sugerować, że sam mógłby się do niego zwrócić i zapłacić kilkadziesiąt tysięcy za zdjęcie, za które my skasujemy od niego stówę. I dlatego wszystko to wyłącznie moja zasługa, mój layout, i Mikael nie ma żadnego prawa patrzeć na niego takim maślanym wzrokiem.

Halo, ja też tu jestem, już mam wybuchnąć, ale Mikael wypuszcza wydruk z dłoni, odkłada go ostrożnie na stół i uśmiecha się tak promiennie, że mam wrażenie, jakby w pokoju nagle zapaliło się dodatkowe oświetlenie.

- Zostawię fakturę u Helvi, tak jak się umawialiśmy.

- Trzeba by to chyba opić jakimś piwem, co? - pytam, zanim w ogóle pojmuję, co robię, i przygryzam wargę, nie, cholera, już więcej na to nie pójdę, ale roztargnienie Mikaela jest wyzwaniem, zupełnie jakby nie widział i nie słyszał, kurwa mać - przecież tu jestem, ja - ja, Martes. Martes, którego towarzystwo jeszcze niedawno, jak się zdaje, całkiem mu odpowiadało. Dlaczego się nie ociąga, nie wynajduje pretekstów, dlaczego nie zagaduje o to i owo, żeby tylko jeszcze nie wychodzić?

- No, faktycznie by trzeba. - Westchnienie Mikaela jest szczere i sprawia mi przyjemność. - Ale zdążyłem już, kurczę, umówić się na wieczór.

- No, na jedno piwko na pewno zdążysz. - Udaje mi się pohamować. - No w sumie racja, i ja mam sporo roboty.

- Innym razem.

-Jep.

Patrzę za wychodzącym Mikaelem i nie wiem, dlaczego gdzieś głęboko we mnie tli się małe, mętne rozczarowanie, tli się i kopci słabym, szarym dymem.

Palomita

W wizjerze dzieją się dziwne rzeczy.

Pentti przystanął i rozmawia z kobietą z klatki schodowej, która kiwa potakująco głową i gestykułuje. Przybliży głowę do ucha Penttiego i mówi coś z poważną miną. Potem oddała się, splata ręce na piersi i kręci głową.

Pentti wyciąga z kieszeni portfel i daje kobiecie jedną wizytówkę, pokazuje coś na niej, a kobieta zdecydowanie potakuje ruchem głowy. Potem Pentti wysupłuje z portfela banknot. Ścisną go razem z dłonią kobiety obiema rękami.

Ledwie zdążyłam odstawić taboret i pójść do kuchni, a Pentti jest już w środku. Twarz ma rozpaloną do czerwoności, kiedy krzyczy na mnie, co ja takiego wyrabiam. Mówi, że teraz wie już wszystko. Wydzwaniałam do obcych drzwi. Próbowałam sprowadzić do kamienicy bezpieczne koty. Zhańbiłam go w oczach wszystkich.

Uderza dwa razy, nasycę się. Mówi, że skoro tak bardzo mi smakuje jedzenie dla kota, to mogę przez cały następny tydzień jeść tylko to.

Nie mówi, skąd to wszystko wie. Ale ja już wiem.

Anioł

Wychodzę spod prysznic w łazience Eckego, w której człowiek czuje się jak w pudełku od zapalek i gdzie na sedes trzeba się wpasowywać, przytulając umywalkę do piersi. Na zasłonie od prysznic rozkwita bujnie zróżnicowany, żywotny ekosystem.

Wsuwam się obok Eckego pod szarą, wojskową pałatkę. Zdążył już wziąć ze stolika okulary i założyć je na nos, coś czyta. Obracam na chwilę okładkę. *Siedmiu braci*.

- Chyba żartujesz!

- Tak, tak. Jest tu też i o tobie.

- Ahaa. Jestem na pewno tym gburowatym Jussim, co ma włosy jak konopie.

- Nie, mam na myśli pewną znacznie bardziej anielską postać. Pamiętasz bladolicą dziewczycę?

- He he he.

Ecke nic sobie nie robi z mojego kąśliwego rżenia i zaczyna czytać, deklamując jak na scenie domu młodzieży.

„Mieszkało niegdyś w pieczarach tej góry straszliwe chyliszczę, co ludzi dręczyło i gubiło. Mógł potwór kształt swój zmieniać, i czym tylko zapragnął, zaraz się stawać. I wszędzie w okolicy widzieli ludzie, jak raz był pięknym młodzieńcem, innym zaś razem jako niewidzianej urody dziewczica, gdy już to męskiej, już to kobiecej krwi łaknął”.

- To ma być jakaś aluzja do transów?

- Daj spokój. To pyszne dziełko.

Przerzuca kilka kartek dalej, po czym sztucznie obniża głos i pogłębia teatralność wypowiedzi, to pochylając się w moją stro-

nę i zniżając głos prawie do szeptu, to znów prostując się i dudniąc, aż w uszach mi dzwoni, a ja jęczę pół żartem, pół serio z dłońmi przyciśniętymi do uszu. I to bardzo go śmieszy.

„I tak nieszcześliwa dziewczica krzyczała, szarpała się i wyrywała, ale na próżno. Wrzeszcząc i zlorzecząc, zawlokło ją chyliszcze głębiej do swej pieczary, i zatrzymała ją tam na wieki, w skrytości nocy, postanowiło. Lata okropnie długie spędza bladolica dziewczica, noce wszystkie w burzy, deszczu i siarczystem mrozie stoi na górze i błaga zmiłowania za swe grzechy, a z jej ust nigdy nie słyhać słowa skargi. Tak upływa posępna noc, ale z nadejściem jutrzni znów porywa ją do swej jaskini chyliszcze nielitościwe”.

Nie wiem dlaczego, ale czuję się zmieszany, choć nie z powodu Eckego. W rzeczywistości, bez tego muru pozorów, bez Cafe Bongo z jej dymem i przymusem podrywu, Ecke jest czarująco chłopięcy, a przecież jebitnie inteligentny, naiwny jak dziecko, a z drugiej strony cholernie drażniący cyniczny, jak dziecko ulicy. Trochę jak ta zahukana bidula w amerykańskich filmach, która zdejmuje okulary z nosa i aparat korekcyjny z zębów i tak idzie na bal maturalny, gdzie zwala z nóg wszystkich, którzy do tej pory ją odrzucali.

- A może to?

Ecke przerzuca parę kartek dalej, bije się teatralnie ręką w pierś, a potem kreśli w powietrzu szerokie łuki.

„Z miłosnym wejrzeniem młodzieniec przygarnął ją do siebie i pocałował, i już wtem poczuła bezkrwista dziewczica w swych żyłach słodki strumień huczającej krwi, jagody pokraśniały jej jak jutrzenny obłok, a czoło delikatne radością zabłysło. Ale oto rozżłone chyliszcze, z nastroszonym ogonem, na górę się wspina, aby zawlec dziewczicę znów do swych pokoi...”.

Wyszarpuję książkę Eckemu z czułym zdecydowaniem - do tego zresztą z pewnością cały czas zmierzał - i przyciskam go do materaca, i słucham, jak wydaje z siebie słabe piski, kiedy szczypię go w jego czułe miejsca. I myślę o trollu.

Ecke

O, niebiańska istoto.

W szumie skrzydeł, w poświacie aureoli opadam na materac. W tej samej chwili z mego gardła wydziera się krzyk.

Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy.

I jeszcze nigdy nie miałem tak miażdżącej pewności, że ten, który mnie właśnie tak cudownie dotyka, myśli o innym.

Przed oczyma staje mi spotkany w kawiarni apollo - ten zwieńczony laurem kryptopedryl, ten jacuś z ja wypartym w sposób oczywisty - i gdy Anioł sapiąc przyciąga mnie do siebie, ja ze wszystkich sił próbuję stać się Marttim - i będę dla niego kimkolwiek, każdą jego zachcianką.

Anioł

Pesik prycha i boczy się, wydaje ciche, gardłowe pomruki i odgrywa wokół mnie jakiś gniewny, mały balet, ze sztywno wyciągniętym w kreskę ogonem.

Nozdrza rozszerzają mu się i drżą. Próbuję go dotknąć, ale odskakuje do tyłu jak puszczone sprężyna.

- Pesiku... - Głos mam wabiący i uspokajający, nawet trochę przepraszający. Co mu jest? Przecież już wcześniej zdarzało mi się być równie długo poza domem.

Nozdrza. Nozdrza drżą, uszy leżą płasko na głowie. Zapach.

Zapach Eckego na mnie.

Zapach obcego samca.

Jeszcze paruję po prysznicu, gdy siadam na sofie, pachnący świerkowym mydłem, i z serca rozlewa się po całym ciele błogie ciepło, kiedy Pesik wreszcie przychodzi i przyciska swą ciemną mordkę do mego ramienia.

Martes

Trzy guinnessy podnoszą mi już lekko włosy na głowie, ale z pubu trzeba jeszcze wrócić do biura powyłączać komputery; znów jeden z tych popołudniowych wypadów na piwko, które przeciągają się aż do końca pracy. Ale kto by się tym przejmował, skoro nie było żadnych spotkań i nie ucierpi na tym żaden termin.

Ciągnęliśmy z Viivian zapalki, kto pójdzie z pubu na górę do biura; trzeba powyłączać komputery, a potem jeszcze uzbroić alarm. Gdy mam już wychodzić i właśnie się zastanawiam, czy zejść jeszcze do pubu, gdzie Viivian pewnie nadal siedzi i sączy ten swój gruszkowy cydr, dostrzegam leżącą na stole płytkę. To ta płyta Mikaela, na której są zdjęcia z kampanii Stalkera, wrzucam ją do torby. Przecież trzeba ją oddać.

H 181

Dawne runa narodu fińskiego, 1933. VII:3,1237. Suistamo

Tsy nas były braty od tsech stryjów chwały. Jeden się
na łosia wybrał, wtóry na marcaka psy brał, tseci
chylka gonił. Psysedł zasie pirsy z łasa łap zajęcych
pęk u pasa, psysedł potem drugi doma liszki kita
psytrocona. Tseci-ta nie wrócił.

Martes

Dzwonię do drzwi i Michał Anioł otwiera w płaszczu kąpielowym.

Tak zdębiał na mój widok, że nie ustępuje i nie wpuszcza mnie do środka, tylko kiwa się w uchylonych drzwiach, trzymając je tak, jakbym był jakimś domokrażnym sprzedawcą odkurzaczy.

Wyłuskuję z torby mój fant, jego płytkę, i macham nią, trzymając delikatnie między palcami.

- Przyszedłem ci tylko to oddać, żeby się gdzieś nie zawierużyło.

Z miny Mikaela widać, że zdążył się już przyzwyczaić do tego, że materiały odsyłają mu pocztą.

- A. Dzięki.

Już zamyka drzwi z zadziwiającym wyrazem twarzy, unikowym, przestraszonym, bąka coś, że też mi się chciało w taki sposób fatygować i że przecież on sam mógł to w każdej chwili z biura zabrać. Widzę, jak jego oczy strzelają kątem do tyłu, raz za razem.

- Masz gości?

- Nie, nie... nikogo nie ma.

- Już się przestraszyłem, że wparowałem tu w środku jakiegoś... towarzyskiego mityngu.

- Przebiegam wzrokiem po płaszczu kąpielowym Anioła.

- Nie, nie, spokojnie.

- W sumie, tego, mógłbym skorzystać z twojej toalety? - Spodziewałem się zachwyty na twarzy, spodziewałem się wabienia do środka, przygotowałem się na wykręty, potem może zgodziłbym się wejść na filiżankę kawy albo jakieś piwo, tak... ale na nic takiego nawet się

B 183

nie zanosi. To ja powinienem być tym, który robi uniki, to ja powinienem być tym, który nadaje tempo i decyduje o tym, co się wydarzy, a nade wszystko - co się nie wydarzy nigdy.

Mikael znów rzuca przelotne spojrzenie w głąb mieszkania, zupełnie jakby nasłuchiwał, może na kuchence coś się gotuje, wykorzystuję więc chwilowe osłabienie jego czujności, szarpnięciem otwieram drzwi na oścież i wchodzę do środka zdecydowanie, ale miękko.

Mikael aż się wzdraga, nie wiem, co on właściwie sobie myśli, jakie ma wyobrażenie o moich zamiarach, ale w jego oczach nie ma ani krzty tego wilgotnego ubóstwienia, do którego przywykłem i które chyba mi nawet smakuje w małych dawkach, jak egzotyczna, ale nieco dziwna przyprawa. Oczy Mikaela strzelają to na lewo, to na prawo, coś tam bełkocze, bąka, teraz nie może, innym razem, właśnie wychodzi, cholernie się spieszy.

I wywaliłby mnie przy tym za drzwi, gdyby nie to, że zamknęły się już między mną a klatką schodową niczym drewniany mur, a ja pomiędzy Aniołem a nimi stoję niczym ściana mięsa.

Zaraz się wścieknę.

W powietrzu wisi dusząca chmura, woda po goleniu Mikaela, mam wrażenie, że całe mieszkanie zionie czymś, co w takim stężeniu jest już zapachem pożądania, który pompuje mnie po-niżająco ku połowicznej erekcji.

I Mikael wczepia się we mnie, zwiesza się na moim ramieniu, jakbym był relingiem miotanego przez wściekły sztorm trans-atlantyka.

- Teraz nie możesz. Mówię serio, teraz nie możesz.

- Dwie sekundy w łazience, a potem wychodzę i już ci nie przeszkadzam. - Próbuję mówić głosem męczennika, ale opór Mikaela działa na mnie tak, jakby mnie kłuto soptem lodu.

Ustawia się przede mną, a ja próbuję go obejść, żartobliwie, i tańczymy razem dziwnego menueta, po czym Mikael wcze-

pia się we mnie i zaczyna pchać w stronę drzwi, a ja się robię lekko zdenerwowany, piwo zaczyna dymić mi z czuba, i brutalniej niż mi się zdawało i niż było to w ogóle potrzebne, chwytam Mikaela za ramiona i rzucam go o ścianę, aż dudni.

- Idź już sobie, Martes - mówi cicho. - Mówię ci, idź już.

I wtedy.

We wpadającym do przedpokoju klinie światła.

Koszmar.

4. Życia kresem mrok

Prezbiter z Tammeli Laurentius Petri, fragment kazania na kapitule w katedrze w Turku, 1666

Dawnieysze Finy złe Anieli teże pozywali; Bjesy/ Chylki/ Skrzaty/ Synowice Kalewy/ iędze/ Kaduki/ licha/ boruty/ cioty/ Wodniki/ wilkołaki/ wiły/ Ypiory/ rusalki/ południce...

Martes

To stoi na dwóch łapach. Wyszczierzony czart.

Potwór z filmów *science fiction*.

Mocno skośne boczne światło profiluje jego kościsty tułów i drgające nerwowo przednie pazury. Stąpa miękko jak widmo, nieco chwiejnie, i zbliża się, przednie łapy się unoszą. Unoszą niebezpiecznie w górę. Jak do ataku.

Wystawia pazury przed siebie.

Paskudny pysk rozwiera się w straszliwym grymasie, gdy z gardła wydobywa się syczący pomruk.

Czuję cieknący po udach gorący mocz.

- Nie! - słyszę krzyk Mikaela.

A potwór skacze.

Martes

W zasięgu ręki mam oparty o ścianę parasol. Czysty refleks każe mi chwycić go i ustawić przed sobą, ale w porównaniu z bestią z koszmaru jestem niemiłosiernie powolny. Straszliwe skalpele ze świstem pędzą mi do oczu z nadświatłą prędkością. Uniesiony parasol pomaga mi na tyle, że czuję jedynie dzikie uderzenie w policzek i skroń, pole widzenia zawęża mi się i na chwilę zmienia w błyszczącą kałużę fluorescencyjnej żółci, a wszystko rozmywa się obrzydliwie.

Gdzieś w ziejącej groźą głębi mego jestestwa budzi się refleks.

W czasie zdecydowanie krótszym niż potrzebny na zrodzenie myśli, w jednym wielkim tornadzie synchronizujących się synaps odnajdują się nagle niekończące się treningi karate, sfrustrowany, poszukujący swej męskości młodzieniec, kung fu, Bruce Lee, nastoletni mutant ninja - i zaciskam oczy, obracam się i pochylam jednocześnie, a parasol tnie powietrze jak samurajski miecz.

Trafia w coś, po czym należałoby się spodziewać odgłosu przypominającego rezonującą, uwolnioną sprężynę. Słyszę jednak wysoki skowyt, wrzask, który mógłby być krzykiem dużego, lecz nieznanego nauce ptaka. Otwieram oczy.

Na bark i szyję spływa mi lepka i ciepła ciecz. W głowie coś mi skacze, przedpokój Mikaela jest w moich oczach lejąco wąski, rozświetlony, a przecież aż gęsty od padającego śniegu. Gdzieś na końcu tego kanionu widzę na podłodze czarno-czerwony, częściowo pogięty parasol, a gdzieś pomiędzy haków wieszaka majaczy potwór, który po odskoku tam się ukrył, potwór po moim ciosie

E 192

zniechęcały w czarny, ostrokanciasty, rogaty, zębaty, pazurzysty posąg, a Anioł klęczy przed nim i pluje słowami.

- Wypierdalaj, Martes, słyszysz!!! Wypierdalaj stąd, i to szybko! - W jego głosie wcale nie pobrzmiewa nuta ostrzeżenia, nie słyhać przynaglenia do ucieczki ani troski o mnie, lecz czystą nienawiść.

Unoszę dłoń do policzka, do skroni, i zdaję sobie sprawę, że mam rozciętą skórę na twarzy i na głowie i krew się leje, na podłodze są czerwone sadzawki, przód moich dżinsów jest mokry i zimny od moczu, a z samego środka tego surrealizmu Mikael gapi się we mnie z przykłęku, cały w połach kurtek i płaszczy, tuląc do siebie czarnego diabła.

Zaklasyfikowanie trolla do świata zwierząt w 1907 roku było wśród biologów niewątpliwą sensacją; przecież odkrycie dla nauki tak dużego ssaka dopiero w dwudziestym stuleciu to zjawisko nader rzadkie, choć w żadnym razie nie jedyne w swoim rodzaju. Co prawda opowieści osób, które rzekomo widziały *Felipithecusa trolliusa* na własne oczy, zbierało się sporo, zwłaszcza na północy, gdzie białe letnie noce pozwalają te zwierzęta zaobserwować, to jednak w kręgach naukowych nie dawano im wiary i nie uznawano ich wartości dowodowej. Nieliczne znaleziska, takie jak kępki sierści, odpryski kości czy pazury, które miały należeć do trolla, uznawano za oszustwa i nawet nie próbowano poddać ich rzetelnej naukowej analizie.

Mimo że troll najlepiej się czuje na obszarach niedostępnych dla człowieka, zapada w sen zimowy i zakopuje swoje odchody - a więc w zasadzie nie zostawia w swoim otoczeniu żadnych widocznych śladów - to przecież trzeba uznać za przypadek, że przed rokiem 1907 nigdzie nie udało się znaleźć ani jednego padniętego trolla. To zapewne ten przypadek dał początek znanemu z nowszej tradycji ludowej wierzeniu, że trolle grzebią swoich zmarłych.

To naturalne, że demoniczna postać trolla przydała szczególnego znaczenia faktowi odnalezienia gatunku i jego zoologicznego rozpoznania. Z punktu widzenia nauki było to wydarzenie ze wszech miar godne uwagi, zjawisko porównywalne bodaj z przełamaniem paradygmatu. Zmusiło naukowców do ukazania ukształ-

towanej przez setki lat tradycji ludowej w zupełnie nowym świetle. Zrozumiałe zatem, że poruszenie nastąpiło również w kręgach nienaukowych. Zaskoczeniem natomiast była gwałtowność tych reakcji w niektórych okolicznościach. Najsilniej zareagowała ludność w Laponii, w dolinie Tornio i w Kittili, gdzie powstały sekty diabelskie.

Z religioznawczego punktu widzenia jest niezwykle interesujący fakt, że to samo wydarzenie - tutaj odkrycie z dziedziny biologii - spowodowało na geograficznie tak bliskich sobie obszarach zjawiska, które można określić jako niemal przeciwstawne.

W dolinie Tornio ruch reakcyjny uformował się wokół działającego w rejonie Ylitornio, a urodzonego we wsi Pelto (1879) Eerik-kiego Nesseliusa (właśc. Niemi). Nesselius był początkującym kaznodzieją, mocno związanym z tradycją lestadiańską. Mimo to w publicznym życiu regionu był postacią zupełnie niewidoczną, dopóki nie przeczytał doniesień prasowych o odnalezieniu ciała trolla. Nesselius natychmiast pojechał do Helsinek i zażądał, aby udostępniono mu zwierzę do badań, lecz udało mu się dotrzeć jedynie do fotografii wykonanych podczas konserwacji zwierzęcia. Z pozostawionych przez Nesseliusa dzienników wynika, że szczególne wrażenie wywarł na nim ogon drapieźnika, zakończony kitką.

Nesselius wrócił do Ylitornio i niezwłocznie zaczął głosić powrót szatana na ziemię. Powiązał odnalezienie trolla z głoszonymi przez Larsa Leviego Laestadiusa w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku tak zwanymi kazaniami o mieszkańcach podziemnego świata, w których Laestadius usiłował odwieść Lapończyków od dawnych wierzeń demonicznych (zob. m. in. Nilla Outakoski: *Obraz istoty podziemnej w kazaniach Larsa Laestadiusa*, Scripta Historica XVII, publikacja Towarzystwa Historycznego Miasta Oulu 1991). Poniższy fragment Nesseliusa, tak zwane kazania na pocztce pod tytułem *Szatan żywy* (Kemijarvi, 1911), dobrze streszcza jego poglądy:

„A zatem każdy może sobie przedstawić, iż wszelki grzech przez niego popełniony jest niby ziarno, które na ziemię padłszy, czerpanymi z niej mocami mrocznymi wzrasta i zakwita, aż nakoniec stawa się szatanem żywym. Jest pośród nas posłane prawdziwe a żywe lichy puszczańskie, abyśmy o naszych występkach pamiętali i już ich więcej nie czynili. Wszchemogący a nasz Pan Bóg żywego szatana pośród nas nam postawił, a rzecz mu taka zadana jest, aby zło w człowieku, na jaśnią je wykazawszy, żywym ciałem z puszczy na drodze każdego grzesznika ukazać się, i objawić się temu w wizji piekielnej.

Dla tego, iż plemię ludzkie jest zatwardziałe i odrzuciło nakazy Pana swego, posłał Bóg onych lękanych synów Lucyfera, nam ku przestrodze. Każdy, któryby ladajaki występki choćby tylko rozważał w głębi serca swego, niech się pilnie przez ramię na ścieżkach swych ogląda. Bo czyż już za jego plecami nie przemyka się cień żywego szatana, ciemnościela jego, który z rozkazu Boga począł się z ziemi, i czeka tylko, iżby mógł złe czyniącego pochwycić w straszliwe swe szpony. I równie my wszyscy stajemy do tak ciężkiej próby...”.

Wkrótce Nesselius zyskał kilkusetosobową grupę zwolenników. Jego słowa nabrały szczególnej wagi dzięki pewnemu hodowcy reniferów, którego nazywano Hirvas-Uula. On sam nie przyłączył się do sekty, lecz proszono go na zgromadzenia, gdzie zaświadczał o tym, że widywał trolle. Najprawdopodobniej Nesselius wynagradzał go za to pieniędzmi lub alkoholem, jako że każde takie poświadczenie siłą rzeczy naznaczało go piętnem wielkiego grzesznika: przecież sam widział „puszczańskie dyjabła”, jak sam mówił, z pół tuzina razy, choć najczęściej z bardzo dużej odległości, gdy ten, na przykład, gonił zająca. W jednej ze swych bardziej wiarygodnych opowieści Hirvas-Uula opisał, jak widział aż cztery trolle, które wspólnie zaganiały jelenia na gołoborze.

Dając za wzór swoje rysunki, sporządzone odręcznie na podstawie obejrzanych przez siebie fotografii, Nesselius zlecił wykonanie drewnianej rzeźby trolla, którą przechowuje się obecnie w kościele w Ylitornio (ale nie udostępnia publiczności). Nesselius zabierał rzeźbę ze sobą w podróże kaznodziejskie i zapewne podczas ekstatycznych modlitw jego pomocnicy wsuwali ją nieznacznie w uchylone drzwi albo w okno izby, a gdy tylko podobizna została zauważona, gwałtownie ją chowali. Niewykluczone, że pogłębiało to wydatnie zarówno poczucie winy u członków zgromadzenia, jak i wiarygodność Nesseliusa.

Oszustwo z rzeźbą wyszło na jaw w roku 1911 i wkrótce potem zbór się rozpadł, choć jeszcze na łożu śmierci Nesselius przysięgał, że zaglądnący przez drzwi i okna „szatan” był autentyczny; rzeźba była więc prawdziwym trollem, którego Wszechmogący dla okazania swej potęgi zamienił tym razem w drewniany kłoc, a nie - jak chcą tradycyjne podania - w kamień.

Według Nesseliusa zatem pochodzenie trolla jest boskie, mimo że reprezentuje on zło. I w zasadzie był to jedyny wyraźny rys wspólny dla obu sekt.

Sekta czcicieli diabła z Kittili nie miała szczególnie rozwiniętej organizacji ani lidera pokroju Nesseliusa. Kiedy do gminy dotarły wieści o odnalezieniu trolla, miejscowa ludność zaczęła wskrzeszać lokalne podania o trollach i podziemkach. Znalazły się osoby, które - już to we własnych, już to w rodzinnych opowieściach - miały do czynienia z trollami. I tak osobiście podziemki spotkali: stara gospocha od Koskamy, Aapo Jankkala, Antti Vasa-ra i Reeta Helju, która znalazła nawet za płotem Tepastów cały dom podziemków. W wiosce Sirkka, w chacie Makeli, mieszkał kiedyś trolli podrzutek; wiadano też, że w wiosce Pało był gospodarz, który pokumał się z diabłem, i tak dalej.

Odrzebywanie starych podań i ich teatralne wyolbrzymianie błyskawicznie przybrało w całej gminie postać lokalnego kultu,

a każdy, kto potrafi! wykazać, że któryś z jego przodków czy nawet on sam miał do czynienia z trollami, awansował społecznie. Gdy do Kittili dotarła wiadomość, że trolle istnieją naprawdę, podania i legendy z dnia na dzień przeobraziły się w niepodważalną lokalną historię, a występujące w nich osoby weszły do „rodu Chyłka”, stały się „chyłkowicami”, „nawiedzonymi” - półludźmi, półczarownikami, których się bano i których poważano.

Kościół przejął się czcicielami diabła z Kittili dopiero wówczas, gdy ruch zaczął faktycznie przypominać sektę. Niektóre osoby, które same uważały się za nawiedzone, zaczęły stronić od kościoła i mszy świętej, jako że według jednego z najbardziej rozpowszechnionych mitów trolle jeszcze głębiej zaszyły się w puszcze, gdyż bały się chrześcijaństwa, a zwłaszcza odgłosu kościelnych dzwonów. W charakterystycznych punktach okolicy, które w podaniach występują jako siedziby chyłków, zaczęły się pojawiać typowe dla lapońskiego kultu kamienia i drzewa dary ofiarne. Osoby należące do rodu Chyłka zaczęły pełnić w gromadzie wiejskiej funkcję nieformalnych naczelników, u których zasięgano rady zarówno w sprawach wspólnych, jak i prywatnych. W kitti-lańskim kulcie trolle uważano zatem w pewnym sensie za bóstwa puszczy i mimo że człowiek w swej bezmyślności wyparł je głęboko w las, mogą one przenosić część swej nadnaturalnej aury na napotkanych ludzi. Zasadniczą cechą tego świata wyobrażeń jest także charakterystyczny aspekt podań z Kittili: powtarzająca się w opowieściach pomysłowość człowieka, dzięki której udaje mu się wyjść cało ze spotkania z trollem. Pozycja nawiedzonych z rodu Chyłka była więc podwójnie podkreślona: byli oni uprzywilejowani zarówno przez możliwość obcowania z bóstwem przyrody, jak i przez to, że nie postradali przy tym życia.

Także Eerikki Nesselius słyszał o kulcie chyłkowców i odbył nawet krótką, nieudaną podróż misyjną do Kittili. Oddźwięk w lokalnej społeczności był niewielki, udało się natomiast Nesse-

liusowi w tym sensie, że ludność Kittili okryła się na długi czas złą sławą czcicieli szatana. Dodajmy tylko, że najpewniej z tego właśnie powodu bardziej „normalna” odmiana satanizmu przeszła krótką falą przez tę okolicę dopiero w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Ślady folkloru rodu Chyłka w rejonie Kittili i w pozostałej części Laponii są natomiast jeszcze wyraźnie widoczne zwłaszcza w sposobie myślenia najstarszych mieszkańców tego regionu.

Anioł

Myślałem, że po ataku i uderzeniu Pesik będzie się cały trzął, ale nie, jest zupełnie sztywny, zupełnie sztywny, jak drewniana lalka, mam nawet wrażenie, że nie oddycha, i gdy tulę go do siebie, gdy trzymam go przy piersi, lulam w kolebce ramion, robiąc głębokie, pomieszane ze szlochem wdechy, i gdy widzę pomiędzy rękawami kurtek i zwisającym trenczem, jak z głowy i policzka chwiejącego się Martesa, spomiędzy jego palców leje się krew i jak ścieka kroplami na podłogę, to w tym momencie pojmuję, że wobec Martesa nasz związek, mój z Pesikiem, jest najczystszy możliwym destylatem.

Martes

Troll. Żywy, prawdziwy troll. Zrobiłem z siebie kompletnego błazna. Oto i są, ucieleśnione Kreatury, Złote Orły i Srebrne Pałeczki -i co tylko jest do wygrania. W przedpokoju mieszkania Mikaela. Kreatury, Złote Orły i Srebrne Pałeczki prysną jak mydlana bańka, jeśli to się wyda. Kampania zostanie odwołana, jeżeli pojutrze to trafi na pierwsze strony „Gazety Wieczornej”.

Ja chcę mieć tę kampanię.

Jest mi zimno, mimo że ciągle jeszcze serce mi wali sto razy na minutę. Mogę się założyć, że kiedy drzwi zamykały się za mną z łoskotem, Anioł nawet się za mną nie obejrzał, tak głęboko zanurzył twarz w ten wybryk natury, w tę jego czarną grzywę, on tym czymś oddycha, tym potworem, sztywną, smolistoczną lalą.

B 201

Doktor Spiderman

Kiedy telefon zaczyna dzwonić w środku nocy, muszę z westchnieniem stwierdzić, że właściwie na to czekałem.

Anioł

W przedpokoju Spiderman gapi się na Pesika, z rękoma głęboko wsuniętymi w kieszenie popelinowego płaszcza.

Śmieje się anemicznie i mam ochotę go za to uderzyć. Pesik wygląda jak martwy, siedzi lekko zgarbiony tam, gdzie zdążył uciec, kiedy ten cholerny szajbus Martes rzucił się na niego z parasolką.

Spiderman dotyka go, przystawia mu na chwilę do pleców swą wielką, psią głowę, nasłuchuje.

- Jak go nazywasz? - Pyta cicho i prawie czule, ale gdzieś w jego głosie pobrzmiwa przewrotna złośliwość, która wydaje mi się w obecnej sytuacji irytująco nie na miejscu.

- Cudowny chłopiec Robin?

- Pesik.

Pająk wybucha śmiechem, gdacząc przez chwilę histerycznie.

- Zrób kawy. A potem sobie pogadamy.

Doktor Spiderman

Jego troll jest jak kawałek nocy, wyrwany z krajobrazu i przyniesiony do mieszkania. To odprysk świszczącego wichrem mroku, czarny anioł, duch natury.

Czy mrok można oswoić?

Może i można, jeśli się zacznie, kiedy jest bardzo, bardzo młody, wystarczająco bezradny, wystarczająco zabiedzony...

Małe dziecko nocy.

Anioł

- Coś mi świta, że gdzieś słyszałem pewną teorię - zastanawia się Spiderman. Z jego kubka z kawą roznosi się po kuchni smuga pary. Żuje w zamyśleniu zrobioną przeze mnie kanapkę z wątrobianką, a moja noga tymczasem podryguje pod stołem: zrób coś, zrób coś, zrób coś, Pajączku kochany.

- Według niej to najzwyczajniejszy w świecie mechanizm obronny. Podobnie zachowują się opozy, które potrafią udawać, że są martwe. Troll w sytuacji skrajnego zagrożenia nawet nie próbuje uciekać, lecz zapada w stan katatoniczny. Obniża mu się wtedy temperatura ciała i spowalniają wszystkie procesy życiowe. Przechodzi samoczynnie na zasilanie awaryjne. To bez wątpienia nader skuteczny sposób zachowania gatunku, przy czym wcale nie jedyny w swoim rodzaju. W nieprzeniknionym mroku, absolutny bezruch... naprawdę trudno takiego wypatrzeć. Do tego obniżona temperatura ciała pewnie wręcz uniemożliwia wycucie go po zapachu albo...

Odstawiam swój kubek na stół, znowu biorę go w dłonie, nie mogę przełknąć nawet kropli. Pesik leży przykurczony w kącie przedpokoju, wygląda jak skradzione z jakiegoś mauzoleum czarne lśniące arcydzieło, przemycone i ukryte w połach płaszczy, skórzanych kurtek i śmierdzących od potu, gumowych peleryn przeciwdeszczowych.

- Wyjdzie z tego?

- A skąd mam to wiedzieć, u licha ciężkiego? To była tylko czysta hipoteza, bazuje na przypadkowo poczynionych obserwacjach i niesprawdzonych pogłoskach. Te stworzenia najzwyczajniej

E 205

w świecie nie były nigdy przedmiotem systematycznych badań. Ale wyjaśnia przynajmniej jedną kwestię.

- W bajkachtrolle w świetle dziennym mogą się zmieniać w kamienie.

Pająk najpierw zerka na mnie zdumiony, potem na jego twarzy pojawia się grymas rozbawienia.

- Całkiem niezłe. W każdym razie wiemy już, skąd się to wzięło... Ale nie to miałem na myśli. Wyobraź sobie las, wyobraź sobie dziewiczą puszcę, przez którą przedziera się troll. Zwierzę czuje się zagrożone, ktoś je osacza, i dla niego to bez różnicy, czy chcą go zbadać, czy chcą go zabić, słyszy jedynie ostry warkot awio-netki albo łoskot helikoptera, nieprzyjaciel uderza z powietrza, i kiedy poziom adrenaliny w organizmie przekracza określony próg, klik, i troll zastyga, nieporuszony jak pień, zimny jak noc.

- No dobra, ale co z tego? - Zaglądam do przedpokoju, Pesik jest prążkowanym cieniem wśród innych podobnych, trzeba naprawdę dobrze wyteńczyć wzrok, żeby odróżnić jego kontur w płataninie wiszących płaszczy i kurtek.

- A to z tego, że trudno na nie polować, to z tego, że nawet co do ich liczby istnieją jedynie domysły. Ponieważ nie można ich wykryć kamerą na podczerwień. I praktycznie żadnym innym człowieczym wynalazkiem. Czyli praktycznie nigdy. Zastanów się nad tym.

Doktor Spiderman

W przedpokoju zaszeleścił płaszcz. Troll się poruszył. Anioł odrywa od stołu o ciężały wzrok, w opuchniętych, zaczerwienionych oczach rozpala się płomyk nadziei.

- Najlepiej, jak już pójdę, żeby się znowu nie zdenerwował - mówię. Biorę płaszcz z oparcia krzesła, ubieram się i próbuję wejść do przedpokoju możliwie najspokojniej, bacząc pilnie, żeby nie wykonać żadnego gwałtownego ruchu, zupełnie jak wtedy, kiedy do gabinetu przyprowadzają mi groźnego, dużego psa.

- Muszę cię ostrzec - mówię cicho, kiedy słyszę, jak budzący się z letargu pazur krótko, bardzo lekko skrobie parkiet.

- Ja na pewno sobie z nim poradzę, jest strasznie inteligentny, jest zupełnie oswojony - wybuchą Anioł, ale uciszam go, unosząc rękę w zmęczonym geście.

- Wcale w to nie wątpię, ale to całkowicie nielegalne. Wiesz, że zgodnie z fińskim prawem jest to złamanie prawa łowieckiego?

- Złamanie prawa łowieckiego?

- To rzadki przypadek, ale były precedensy. W ubiegłym roku w okolicy Kuhmo dwaj mężczyźni zastawili sidła na niedźwiedzia zaraz przy gawrze, a potem przez długie miesiące trzymali zwierzę w klatce o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Używali go do tresowania psów myśliwskich.

Widzę, jak Anioł czerwienieje.

- Tu nie ma absolutnie nic takiego...

- I jeśli uda ci się nakłonić tego twojego znajomego, który dostał po dziobie, żeby trzymał język za zębami, to w porządku.

Bo jeśli ktokolwiek kiedykolwiek dowie się, że miałem z tą sprawą cokolwiek wspólnego, to mogę się pożegnać z zawodem.

Anioł potakuje głową, w zasadzie nawet na mnie nie patrzy, jego uszy i oczy ogniskują się na budzącym się trollu tak intensywnie, że czuję ukłucie nie gniewu, lecz najzwyczajszej w świecie zazdrości. Muszę więc powiedzieć mu coś jeszcze.

- A poza tym... - mówię głosem tak przenikliwie zimnym, że Anioł na chwilę przytomnieje. - Nie mam na to dowodów *sensu stricto*, ale to oczywista, że atmosfera tego domostwa jest aż gęsta od feromonów.

- Feromonów?

- Szczególnych cząsteczkach zapachowych, które wydzielają zwierzęta. Z ich pomocą przekazują sobie informacje o rui, lęku, kondycji, pozycji w stadzie... z ich pomocą manipulują innymi członkami stada czy rasy, kontrolują ich i wabią. A twój troll wydziela jakieś szczególnie silne feromony.

Przecieram oczy. Jestem bardzo zmęczony, cholernie zmęczony.

- Na tych feromonach dałoby się zbić majątek. Kolosalny majątek. Na szczęście nikt tego nie rozumie. I ty też nie.

Anioł wpatruje się we mnie. Słowa docierają do bębenków usznych, ale już ani trochę dalej. W jego oczach widzę i rozpoznaję bunt: tak wygląda dziesięcioletni chłopiec, kiedy się przeciwstawia władzy dorosłego: podbródek wysunięty, usta zaciśnięte, uszy głuche na jakąkolwiek argumentację.

W myślach wyobrażam sobie rzędy trollich klatek gdzieś na dalekiej Północy, czarne, sprężyste leśne błyskawice uwięzione za drucianą siatką, i możliwie najbrzydliwsze metody pozwalające na wydojenie z nich najmniejszej homoerotycznej cząsteczki. Zamykam drzwi i wciągam głęboko do płuc kamienny zapach wilgotnej klatki schodowej i zwietrzałej kawy.

Anioł

Kiedy się budzę, moją pierwszą myślą jest Pesik. Obok mnie coś skrzypi, odwracam głowę, a on siedzi - czy raczej siedzi to złe słowo: trwa w jakiejś poplątanej figurze tańca nowoczesnego, w której wszystkie kończyny sterczą wbrew prawu ciężenia we wszystkie strony, i liże sobie łapę z takim zapalem, że aż się trzęsie. Sprawia wrażenie pełnego życia, zadowolonego, wokół niego unosi się aura, jakby niesłyszalne echo głębokiego, rozkosznego mruczenia.

Mały czerwony języczek Pesika wsuwa się mocno i sprawnie między palce, czerwone - czarne, rytmiczny, wilgotny i zdecydowany ruch. Przyciągam go do siebie niemal gwałtownie, łamię wszystkie złożone samemu sobie przyrzeczenia, i głębokimi, astmatycznymi oddechami zachłystuję się powietrzem, po czym natychmiast zostawiam Pesika, wyskakuję z łóżka i ręka mi drży, i drżą mi kolana, gdy wystukuję numer Eckego, i kiedy w słuchawce odzywa się zaspany głos, pytam, czy mógłby natychmiast do mnie przyjechać.

W przedpokoju przez chwilę nie wierzę w to, co widzę.

Najłatwiej byłoby uwierzyć, że po erotycznym śnie pogrążam się w jakimś dręczącym koszmarze.

Mniej więcej metr nad podłogą na białej, wyklejonej tekstylną tapetą ścianie widzę... malowidło.

Ma wyraźne kreski, nawet takie, które przy odrobinie dobrej woli można by nazwać postaciami, i znów gdzieś głęboko w mózgu dźwięczy malutki dzwoneczek.

Starożytne zabytki fińskie.

Malowidło naskalne.

Wczoraj byłem tak przerażony i zmęczony, że zapomniałem posprzątać.

Malowidło naskalne wykonane krwią Martesa.

Martes

Jodyna zabarwiła mi skórę na pomarańczowo i ciągle jeszcze piecze tak, że czuję ból gdzieś za oczami. Skóra wokół rany jest napuchnięta. Ugryzienia i zadrapania zwierząt zawsze przenoszą do organizmu ofiary straszliwe ilości obcej fauny. Tak powiedziała pielęgniarka w przychodni i kazała mi wyjaśnić sprawę z właścicielem psa, który mnie podrapał.

Już ja to wyjaśnię, ale na swój sposób. We właściwym czasie. Kiedy będę z tego miał największą korzyść.

Na policzku mam cztery równoległe, czerwieniejące szramy. We włosach na skroni musieli mi wyciąć kółko i na swój groteskowy sposób to punkrockowe podcięcie jest diabelnie *cool*. Wstawili mi w nie osiem szwów.

E 211

Anioł

Dwa dni ukrywałem Pesika na stryszku. Był tak udręczony, uszy miał tak mocno przyklejone do głowy, że musiałem przynieść go z powrotem do mieszkania.

Gdyby Martes chciał coś zrobić, już by to zrobił.

Dałem mu kolorowe kredy. Wyraźnie pachną nie tak jak trzeba, nawet ich nie dotyka.

Na ile, tak naprawdę, jest inteligentny?

Dlaczego nie przyozdobił kafelków w łazience znakami zwycięstwa, dlaczego wściekłymi, prymitywnymi ruchami nie malował podobizn świnek morskich ani myszokoczków, kiedy miał pod ręką krew?

Może zabicie i zjedzenie małego gryzonia nie jest tak wielkim wydarzeniem, żeby śpiewać o nim pieśni i uwieczniać je freskami. Ale obrona własnego rewiru, pokonanie wielkiego nieprzyjaciela - jest. Jest?

Ale czy było to w ogóle malowidło? Może to tylko przypadkowe ślady łapy i kleksy, które mój histeryczny, dręczony poczuciem winy umysł połączył w obraz?

Pokryta winylową tapetą ściana w przedpokoju jest teraz czysta i błyszcząca.

Dlaczego nie zrobiłem zdjęcia polaroidem?

Szybko manipuluję odwróconymi do góry dnem kubkami - pod jednym z nich znajduje się smakołyk - kiedy Pesik nie wskazuje łapą żadnego, tylko spogląda na mnie szybko, jakby mnie oceniał,

BB 212

i z prędkością błyskawicy przewraca jednocześnie oba, chwyta pazurami kawałek kocięj karmy i skacze na parapet, gdzie rozkoszuje się zdobyczą jak dziecko lodem... wtedy się zastanawiam, który z nas robi tu z siebie faktycznie błazna.

Palomita

Słońce. Zaraz sobie myślę, jak jest cudnie, kiedy jest ciepło. Wreszcie ciepło. Otworzyłam okno, ale na dworze jest tak zimno, jak jeszcze nigdy.

Jaka to głupota czekać.

Jaka to głupota myśleć.

Wyznaję Bogu wszechmogącemu,
i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłam,
myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.
Moja wina, moja wina,
moja bardzo wielka wina.

Biję się w pierś przy każdej winie, jak uczą na mszy, biję tak mocno, że aż mnie ręka boli i pierś mnie boli, ale ulga nie przychodzi.

Przeto błagam
najświętszą Maryję zawsze dziewicę,
wszystkich aniołów i...

Biję się, biję, biję się jeszcze, ponieważ dopuściłam do tego, że myśli mi uciekły. Nie, nie aniołów. Ich nie będę o nic błagać. A w każdym razie nie tego anioła słońca, który wygnał szatana z nieba.

Biję się raz jeszcze w pierś tak mocno, że zaczynam kaszleć i próbuję cicho śpiewać *Sabę Regina*, z której pamiętam tylko kawałek.

Do Ciebie wołamy, wygnańcy, synowie Ewy, do Ciebie wzdychamy,
jęcząc i płacząc na tym łez padole...

Wołam do Maryi. Nie do ciebie, który na końcu będziesz ważył dusze. Nie do ciebie,
aniele sądu ostatecznego.

Anioł

I znów zamykam drzwi, znów uciekam. Uciekam przed sobą,
uciekam przed Pesikiem. Żebym chociaż wiedział, przed czym ta
ucieczka, przed czym ten strach.

Ecke

Chociaż od czasu do czasu
Chociaż żyje w gorączkowej
Nie myślę o tym.
A jednak jestem tak blisko m
mną.

B 216

W Pulesjarvi trolle i traperzy bawią się w policjantów i złodziei. „Gazeta Poranna”, 29. 03. 2000

Dwaj mężczyźni odnieśli wczoraj rany postrzałowe w zagadkowym incydencie, do którego doszło w Pulesjarvi na obrzeżach pola kempingowego na wyspie Lehtisaari. Zaskoczeni przez dzikie zwierzęta mężczyźni zostali trafieni zbłąkanymi kulami, wystrzelonymi przez osobnika o nieustalonej dotychczas tożsamości, który według wszelkiego prawdopodobieństwa strzelał w ich obronie.

Mieszkańcy Pulesjand już od dłuższego czasu podejrzewali, że w budynkach zamkniętego zimą pola kempingowego na wyspie Lehtisaari ktoś nielegalnie koczuje. Gdy mężczyźni poszli zbadać sytuację, odkryli na drzwiach licznych domków ślady włamania. W domkach natrafili również na sklecone z mchu i świerkowych gałęzi prymitywne legowiska.

Puste kwatery zwabiły także zwierzęta; kiedy mężczyźni otwierali drzwi jednego z domków, wypadł z niego prosto na nich duży troll. Jeden z mężczyzn próbował wycelować strzelbę w groźnie zachowujące się zwierzę, a wtedy z pobliskiego lasu wystrzelono dwa pociski. Pierwszy trafił mężczyznę ze strzelbą w bark, drugi musnął łydkę jego kolegi. Niezidentyfikowany do tej pory strzelec, który mierzył zapewne do trolla, używał prawdopodobnie wiel-kokalibrowej broni myśliwskiej albo wojskowej.

Znawca dzikich zwierząt Erik S. Nyholm mówi, że nie jest czymś niezwykłym, że wygłodniały drapieżnik, na przykład ryś, chowa się w stodole albo w opustoszałym magazynie, zwłaszcza gdy przetrwanie zimy może nastęczać trudności.

Wczesna wiosna sprawiła, że w lesie prawie nie było śniegu i nie udało się odnaleźć śladów strzelca. Policja bada sprawę.

Doktor Spiderman

Opieram się o parapet z czołem przytkniętym do coraz chłodniejszej szyby. Czuję się jak tragiczny bohater kiepskiego filmu, z pobrzękującą kawałkami lodu szklaneczką whisky w dłoni wpatrujący się w mętny mrok i szepeczący sobie w duchu „Anioł”. Bardziej niedostępny niż kiedykolwiek, właśnie w tej chwili tak dalece mi zabroniony, jakby siedział na Księżycu.

Mój wzrok czołga się wzdłuż szarej ulicy i nagle mam wrażenie, że moje myśli i wspomnienia nakładają się na nią jak dwa ujęcia na jednej klatce: czarny cień.

Niemal niewidoczny, pełgający czarny cień, dwa czarne cienie, doskonale bezgłośnie, w ruchach oszczędne i obłe niczym wartki nurt, dwa okruchy nocy rozpuszczają się w szarości wokół stojących na skraju chodnika śmietników.

I nie mogę mieć żadnej pewności, że naprawdę widziałem to, co myślę, że widziałem.

Anioł

Kiedy wracam do domu, przychodzi mi najpierw na myśl, że Pesik postanowił wysypać zawartość swej kuwety na podłogę w przedpokoju. Zaczynał mi się dawać we znaki wzrastający poziom tych jego kawałów - szafy są zamknięte na klucz, tak samo lodówka. No i już myślałem, że potrafię przewidzieć zręczność trolla.

Ale, fuch na wycieracze za progiem jest pełno skrawków z czasopisma, toż to prawie celulozowy pył, tak drobno są poszarpane - i wtedy do mnie dociera, że zostały podarte i pogryzione, a nie pocięte nożyczkami, jak w Pesikowej toalecie.

Pesika nie widać, a kiedy wchodzę dalej do mieszkania, rozumiem, że wydarzyło się coś okropnego. Na łóżku widać pod pościelą duży guz: Pesik się schował, schował się przed czymś, o czym nie mam zielonego pojęcia.

Podchodzę do łóżka i ostrożnie dotykam wypiętrzenia. Ryczy, kopie i szlocha, po czym znów się zapada i drży. Rozumiem, że coś musiało Pesikiem straszliwie wstrząsnąć.

Jestem zbity z tropu. Idę z powrotem do przedpokoju i zaczynam mechanicznie zbierać skrawki w dłonie, nie warto nawet włączać odkurzacza, zapcha się. Trafiam dłonią na większy kawałek - klej zachował go w całości. Nalepka z adresem. Nalepka, z której odczytuję MIKAEL HARTIKAINEN, adres i kilka kresek kodu. Przyszła do mnie gazeta.

Ta sama gazeta, którą mam w torbie, gazeta, z której jestem niesamowicie dumny i dlatego kupiłem ją natychmiast, gdy zo-

baczyłem ją w kiosku. Na tylnej okładce jest reklama, ta sama reklama, za którą zgarnę jeszcze nagrody, zdjęcie, za które klient zapłacił czterdzieści tysięcy.

To najlepsze zdjęcie. Ciemny, zwierzęcy tancerz, łapy - nie, dłonie - wyciągnięte w stronę fotografa, grymas ni to szalu, ni to miłości, a na nogach zniewalające stalkery.

I on to zdjęcie zobaczył.

On rozumie.

On rozumie zdjęcia.

I nie cierpi ich.

A w każdym razie nie cierpi tego.

Yrjo Kokko, *Pesik i Ilusia*, 1944

Ale Pesik bodaj nawet nie spostrzegł, iż zaczął się uczyć samego siebie wówczas dopiero, gdy ujrzał swe odbicie w posępnej i powolnej tafli dunaju.

E 223

Ecke

No i jest, w gazecie, duma Anioła.

Piękne, diabelnie piękne zdjęcie. Zrobione z niespotykaną maestrią. Częstka wspólnego świata Anioła i tego pierdolonego Martiego, tego świata, do którego nigdy nie będę miał wstępu.

Ale zaraz coś zaczyna mnie nurtować, to zdjęcie z czymś mi się kojarzy, z czymś żenująco erotycznym, nie, nie, mocniej - pornograficznym - ale nie pamiętam, z czym. W każdym razie Anioł trafił w żyłę, to zdjęcie to sensacja, to prawdziwy hit, jest bezwstydnie seksualne, a zarazem daleko mu do tego.

Potem zaczyna mi świtać w głowie.

Idę do dużego pokoju i podchodzę do półki z komiksami.

Dam sobie rękę uciąć, że to musi tu gdzieś być. To niesłychana rzadkość, wydanie pirackie, a i tego nie było więcej jak sto egzemplarzy. Dostałem go w Kopenhadze spod lady, i to w takim sklepie, w którym nawet najpaskudniejsze hardkory leżą zawsze na wierzchu.

Znajduję go w głębi półki, za kilkoma dużymi albumami. Rysownik na pewno nie dysponował nawet porządnymi zdjęciami, nie wspominając o żywym modelu. Kiedy porównuję obrazki z reklamą stalkerów, dostrzegam mnóstwo różnic; chociaż troll z reklamy wydaje się ogromny, jest wyraźnie młodszy od pyszniących się w komiksie dorosłych, przesadnie umięśnionych, przesadnie uczłowieczonych stworzeń, którym dorysowano karykaturalnie wielkie z biologicznego punktu widzenia genitalia, ale w końcu ten czesiek zawsze tak rysował. Po każdej stronie

widzę, że rysownik przełamał wszystkie swoje zahamowania i stworzył straszliwą, zwierzęcą erotykę, w której jedną ze stron są jasnowłosi, szczupli chłopcy, rozszczebiotani i radośnie poddający się najróżniejszym nadużyciom. Raz jeszcze wracam do okładki. Kiepski papier, kolorowa farba już poblakła, ale tytuł rysuje się dużymi, dumnymi czcionkami. *Tom of Finland: Trolle i wróżki.*

Doktor Spiderman

- Do definicji zawsze jest potrzebne przeciwieństwo - mówię kobiecie w panterce, która próbuje wciągnąć mnie w rozmowę, kiedy ja najchętniej znieczuliłbym się tutaj, w gwarze Cafe Bongo, żeby już nie czuć tego bólu. - Jeżeli definiuje się słowo „normalne”, to trzeba zdefiniować również „nienormalne”. Jeśli definiuje się „człowieczeństwo”, to trzeba wpierw zdefiniować, czym człowieczeństwo nie jest.

- Ale czy to nie jest dokładnie ta sama ślepa uliczka?

- Moim zdaniem nie - odpowiadam. - Gdybyś musiała tak od razu powiedzieć, co jest nienormalne, z pewnością wymieniałabyś tych rzeczy znacznie mniej niż jest ich w zbiorze, który automatycznie, bez wyliczania, wykluczasz poza granice normalności.

Kobieta najwyraźniej nie wytrzymuje tej jazdy, ale jest nieustraszona.

- No dobra, to zdefiniujmy człowieczeństwo. Albo inteligencję. Czy delfin jest inteligentny? A małpa? Jeśli kryterium stanowi stworzenie własnego języka, to oba gatunki ten warunek spełniają.

- I pszczoły mają swój język, a jednak nie posunąłbym się tak daleko i nie powiedziałbym, że są szczególnie bystre. Poza tym tworzą złożone kompleksy konstrukcyjne, odpada zatem i drugie popularne kryterium: manipulacja środowiskiem. Czyli i to możemy odhaczyć, ale ja mimo to nie wpuściłbym takiej pszczoły poza kolejnością do Oksfordu.

- Pewnie, że nie, bo bardziej ci pasuje, że robią ludziom miód. I dlatego muszą być tym, czym są, tak myśmy je zdefiniowali,

własnością człowieka, a człowiek jest oczywiście panem całego stworzenia.

- W tym momencie muszę zdecydowanie podkreślić, że nigdy nie uważałem etyki judeochrześcijańskiej za jakiś szczególnie drogowskaz moralny - mówię sucho. - Który system wierzeń bardziej oddalił człowieka od związku z przyrodą? Zakazano kultu bóstw zwierzęcych, a wszystkie pozostałe międzygatunkowe więzi rytualne - nie wyłączając seksu - zostały przecięte z chwilą, gdy za sznurki zaczął ciągnąć bóg Izraela.

Kobieta się zaperza, nasza dyskusja wyraźnie schodzi na boczne tory.

- Nie o to mi chodzi. Tylko o to, że nie uznamy szympansa za człowieka, dopóki się nie zbuntuje.

Palomita

Ang hiya ng lalaki, nasa noo. Mężczyźni noszą swój honor na czole. *Ang hiya ng babae, tinatapakan.* Honor kobiety jest wdeptany w ziemię.

Wiedziałam, że to nie może być prawda. To było za dobre, żeby mogło być prawdziwe.

Mijają tygodnie, a on nie przychodzi, nie pamięta o mnie, a ja nie jestem w stanie, nie mogę i nie chcę już chodzić pod jego drzwi, nie po tym uścisku, którym przekazałam inicjatywę jemu.

Czasem zapytuję siebie, dlaczego nie idę, dlaczego znów nie zaniosę mu jedzenia dla kota albo upieczonego przez siebie ciasta, ale tak zawsze było i tak na zawsze pozostanie.

Jesteśmy tą połową ludzkości, która sama nie rozumie, co jest dla niej najlepsze, tą częścią, która musi znać swoje miejsce, bo inaczej świat się zawali.

Jesteśmy rozrzedzoną połową ludzkości.

Mężczyźni nie mają płci. Tylko kobiety.

I nie mogę się zbuntować przeciw Penttiemu. To jest niemożliwe. To jest zakazane. Kobieta nie odrzuca.

Ale co ja na to poradzę, jeżeli on odrzuci mnie? Jeżeli nie pozostanie mu nic innego?

I myślę o nim.

Coś we mnie szepce: myślisz o nim tylko dlatego, że nie jest Penttim. Bo jest drzwiami, które się otwały w litej ścianie.

Martes

Kiedy nasz nowy klient, drużyna hokejowa, przekazał mi swój brief, nie wiedział, że trafia najwyższą pulę.

Otwieram najlepsze ze zdjęć na ekranie komputera, ten wspaniały grymas, ta mina, z której najbardziej emanuje pogarda dla obiektywu. Obcinam głowę, wklejam ją jako nowy plik do Photo-shopa.

Potem redukuję kolor i przepuszczam go jeszcze przez parę filtrów, solaryzuję, ale cofam, oczyszczam z kurzu, rysuję delikatną linię to tu, to tam, pogłębiam kolory kresek do stuprocentowej czerni.

Czuję ukłucie na głowie. Zaciskam zęby.

Wpatruje się we mnie czarcia morda, morda dzikusa i krwiopijcy największego ze wszystkich trolli, naprężona tak, że wygląda jak wiązka twardych kresek - naprężona, że aż dźwięczy.

- Viivian, chodź na chwilę coś zobaczyć.

Viivian, Viivian Asystentka, Viivian Posłuszna przychodzi. I gwizdże.

- No wiesz, aż się boję.

- Porównaj sobie z poprzednim.

Zaglądamy razem do otrzymanego od drużyny hokejowej briefu i oglądamy dotychczasowe logo. Jakiś ogoniasty, niezborny stwór w łyżwach na tylnych odnóżach. Wygląda to jak ilustracja z kiepskiej książeczki dla dzieci.

- To będzie faworyt całej pieprzonej ligi.

- W to nie wątpię. Lew naszej wspaniałej drużyny stołecznej to przy nim zabiedzone kocię. Viivian, nałóż na to logo. Zobacz

B 229

starą czcionkę, a potem wypróbuj kilka nowych, coś mocniejszego, możesz nawet sama coś wykombinować na bazie jakiegoś fontu.

- Z góry na dół czy dookoła?
- Najlepiej chyba wpasuje się dookoła. - Rysuję palcem po ekranie płynne kreski nad i pod głową wrzeszczącej bestii. - Witamy na lodowisku... Trolle z Tampere.
- Ja cię pierdolę, jaka odjechana ekipa. - Westchnienie Viivian jest szczere.
- Yes.*

Ecke

Udaję drobiącą służącą i Anioł śmieje się na głos prawdziwym, swobodnym śmiechem, to nie grzeczność. Podsuwam mu kubek z kawą i jednocześnie pochylam się, żeby go pocałować w czoło, do którego przykleiło się kilka loków.

- Gazeta jest? - ziewa.

- Jedna chwilka, panie hłabio.

Z podłogi przedpokoju podnoszę „Gazetę Poranną”. Pachnie farbą i wilgotną wiosną. Anioł zaczesuje dłonią włosy, tak że wokół jego głowy tworzy się złota aureola, i kocham go tak, że aż boli.

Anioł nie zdążył jeszcze dobrze otworzyć gazety, a już się wzdraga, jakby się czegoś złąkł. Kubek ze stukotem uderza o podłogę, roztrzaskuje się na trzy części, brązowa ciecz płynie szczelinami parkietu.

- O, ty skurwielu! - syczy.

Anioł

Wpatruje się we mnie z krzykliwej reklamy. On.

Siedemnastoletni młody zdolny z grymasem karka na twarzy i w krzykliwym, czerwono-zielonym stroju, burak, z którego twarzy biją jednocześnie totalny, nieustraszony biologizm i inteligencja, której wystarczy co najwyżej do czytania *Supermana*. Skóra na twarzy nieco nierówna, pod nosem walczy mężnie o życie zaczątek wąsika. W sumie byłby z niego nawet niezły kasek, gdyby na bluzie nie było Jego.

To jest sprawa na pierwsze strony dzienników. Chodzi o logo, które kierownictwo klubu otacza już kultem.

Jest wyszyty na piersi bluzy. To czarno-biała, graficznie uproszczona podobizna twarzy na tle świerkowej zieleni, krwistej czerwieni i logochaosu sponsorów klubu.

On. Czy raczej nie on sam, tylko jakiś niezidentyfikowany stwór, przerażająco do niego podobny.

Podobny do mojego Pesika.

Ecke

- Muszę natychmiast iść.

Próbuję pośpiesznie zapuścić jakąś sondę, ale nic z tego. Jeśli zdjęcia brachola zostały wykorzystane bez pozwolenia, to oczywista sprawa, że Mikael jest podkurwiony, ale dlaczego musi iść i dokąd, i dlaczego już zaraz?

- Do domu. - Anioł wkłada już płaszcz, usta ma ściągnięte jak rana po nożu. Lodowaty kłębek nerwów, nie pozwoli się do tknąć.

Bum.

Drzwi trzaskają dużo głośniejsze niż trzeba. Echo na klatce niesie głuchy odgłos jak katowski topór.

Stoję jak ten ówok pośrodku pokoju. Czuję się, jakby ktoś nagle jednostronnie zerwał niepisany, oczywisty deal, o nic mnie nie pytając.

Opadam na łóżko i słyszę swój ciężki, świszczący oddech. Pod krzesłem dostrzegam błysk. Pod krzesłem, w które wczoraj w nocy celował Anioł, zrzucając z siebie rzeczy. Schylam się, żeby się lepiej przyjrzeć.

Klucze.

Klucze do mieszkania Anioła.

Kiedy dochodzę do przedpokoju, mam już wybrany numer jego komórki. Przez pół sekundy słucham, że numer jest zajęty, i dopiero wtedy jarzę, że oto mam unikatową okazję pokazać się Aniołowi z najlepszej strony, zainstalować mu w domu prawdziwy supersystem służby pałacowej. Mam okazję wydobyć z tych przeklętych niebieskich oczu tak jebitnie rzadki, lecz jeszcze

H 233

cudniejszy wyraz: zobaczyć znów przez chwilę, że Anioł wie o moim istnieniu.

Martes

- Ty gnoju pierdolony.

Chwilę trwa, nim do mnie dociera, z kim rozmawiam. Przecież to Mikael, słodki, wyrozumiały, wydzielający czule westchnienia i zapachy Calvina Kleina Michał Anioł, który teraz wymachuje ognistym mieczem. Rozmawia z komórki: w tle słychać jazgot ulicy.

- Prawdziwy z ciebie skurwysyn. Jakim prawem?

- Prawem wyłączności, mój kochany Mikaelu. - Czuję do niego tak lodowatą pogardę, że udaje mi się wypowiedzieć imię, które inaczej nigdy nawet nie zadrgałoby mi na wargach. - Prawem wyłączności, na co mam tutaj nawet stosowny dokument.

- Prawa wyłączności na kampanię Stalkera! - Głos Mikaela się podnosi i aż mnie ciarki przechodzą na samą myśl, że kiedyś siedziałem z tym perwem w jednym pokoju.

- Naucz się czytać, skoro już coś podpisujesz. Jest napisane, że nasza agencja ma prawa wyłącznego wykorzystywania.

- Złodziej.

- Czyżby brat fotograf przyrody zaczął się burzyć? A może ten jego kumpel Rusek, który potrafi sfotografować niezwykle rzadkie gatunki dzikich zwierząt w warunkach niemal studyjnych?

Czekam ułamek sekundy i dopiero wtedy zadaję ostateczny cios.

- Nieżyjący brat fotograf, jeśli chodzi o ścisłość.

B 235

Anioł

Mówię do telefonu, przebiegając przez ruchliwą ulicę, na schodach przejścia lawiruję między targającymi siatki kobietami, spanikowany, zdyszany. Czekanie na autobus czy taksówkę wydaje się niemożliwością. Już sobie wyobrażam: Pesik leży na sofie i śpi, wygląda na białej powierzchni jak czarna, bezdenna dziura prowadząca w głąb kosmosu. A pod drzwiami w przedpokoju leży niczym jasna, groźna plama na szarym tle dzisiejsza gazeta - gazeta, w której jest to zdjęcie...

Ale kiedy do mojej świadomości wdzierają się słowa Martesa o moim bracie, muszę się zatrzymać. Martes przez chwilę nic nie mówi, a teraz jego głos jest znowu miękkim, opanowanym barytonem, jak zawsze.

- Podalesz nam, że fotografie są dziełem twojego brata. Tylko że tak się składa, że brat nie żyje już ponad rok. Od razu to sprawdziłem... bo sprawa zaczęła się komplikować. Masz zamiar teraz klócić się o prawa? Chcesz, żebym powiedział w sądzie, kto tak naprawdę zrobił te zdjęcia, gdzie i komu?

Mój głos to najczystszy szept, ledwie przechodzi mi przez gardło.

- I dlatego teraz ci się wydaje, że możesz się kurwić z tymi zdjęciami wszędzie, gdzie ci się tylko spodoba.

- Mnie się nie wydaje, ja wiem.

I jego słowa przenoszą mnie znów do mojego mieszkania i szarpiają za serce. Ale niby czego ja się obawiam? Że Pesik się obudzi, weźmie gazetę w swoje małe, sprężyste łapki i zacznie ją wertować, bo w jego małej, okrągłej główce zaświtała myśl, oho, trzeba by zobaczyć, co tam słyhać w szerokim świecie, co, jeszcze się nie

dogadali w tej Indonezji? - i wtem zobaczy artykuł i znów wybuchnie przerażającą agresją?

Właśnie tego się boję. Że znów go zawiodę.

- Zadzwoń do twojego klienta. - Jestem w ślepym zaułku i mogę jedynie rzucać groźby bez pokrycia.

Wkurwiające samozadowolenie Martesa zaczyna się odrobinę łamać.

- Nie będziesz mi tu, pierdolcu, sabotował kampanii, którą już zaplanowaliśmy, sprzedaliśmy i częściowo skasowaliśmy. Cały wystrój drużyny hokejowej, od ubiorów po papeterię i nalepki na samochody, czy ty, kurwa, tego nie rozumiesz? Taka mała, malu-teńka robótka.

- Czy ty zawsze myślisz tylko o pieniądzach?

- A czy ty zawsze myślisz tylko i wyłącznie o tym jednym? Wcześniej nie miałem bladego pojęcia, że i takie filie mogą się ze sobą łączyć: pedo i zoo.

Gorąca krew nabiega mi do twarzy. Czuję się tak, jakby Martes uderzył mnie pięścią w twarz.

- To nic z tych rzeczy, ty cholerny szambonurku. W głowie masz takie bagno, że...

Martes mi przerywa.

- Spróbuj mi podskoczyć, a wepchnę ci jaja do gardła. Bo ja wiem, kim jesteś.

Martes

W brzuchu kotłuje mi się i wrze czerwony jad nienawiści. Jeśli Mikael zadzwoni do klienta i zacznie robić problemy, to gudbaj zlecenie. Żegnaj dobre imię w oczach klienta. Żegnajcie Kreatury, Złote Orły i Srebrne Pałeczki.

Zdumiony słyszę, że się roześmiał, bardzo miękko i prawie niedosłyszalnie.

- Kim jestem, Martes? - pyta Mikael i chociaż ciągle oddycha szybko i sapie, jego głos brzmi teraz cicho i trochę smutno.

- Kim jestem? I czym był nasz związek? - Głos ma zaskakująco swobodny.

- Nie było między nami żadnego związku - mówię, a serce zaczyna mi bić mocniej i nienawidzę go za to. - Nigdy.

Na ten ton nie byłem przygotowany. Na jego wściekłość i agresję potrafię odpowiedzieć, potrafię wykrzesać z siebie zjadliwe zniewagi jak każdy profesjonalista branży medialnej; ale na ten zaprawiony melancholią mały, smutny śmiech nie potrafię.

- Poza relacją zawodową - mówi Mikael.

- I to już przeszłość, jeśli o mnie chodzi.

- Pamiętasz ten jeden raz, po tych ośmiu piwach przy balustradzie nad wodospadem?

- Nie próbuj mnie, kurwa, wciągać w te swoje chore fantazje! - Wydieram się do telefonu i oczywiście właśnie w tym momencie Viivian przechodzi obok otwartych drzwi mojego pokoju, więc zamykam je tak mocnym kopnięciem, że trzaskają jak bicz.

- Do kurwy nędzy. Chcę, żeby ta sprawa była jasna raz na zawsze - chrypię z zaciśniętymi zębami.

B 238

- Nie musisz. Wszystko jest jasne jak słońce.
Nabiera powietrza, aż ja słyszę. Słyszę też, jak głos mu się zmienia, wchodzi do jakiejś przestrzeni z pogłosem.

- Wrócę do kwestii praw do tych zdjęć. Teraz nie mam czasu, muszę kończyć.

Klik. Sygnał ciągły. Sygnał ciągły, który coraz wyższym i wyższym piskiem szarpie mi uszy tak mocno, że wysadza mi oczy z czaszki i rozpala twarz, a ja go słucham, a ja go słucham, aż wreszcie dociera do mnie, że ten sygnał mówi mi, co teraz trzeba zrobić.

Czas to skończyć.

5. A drudzy pokochali noc

Lars Levi Laestadius, kazanie confirmacyjne, 1849

Z tej przyczyny czarne są kształtem jako Tatarzyny, i jako i one przybywają, iżby na ziemi żyjące, a które krzyż na piersi noszą, drapać. I zaiste, te piekielniki to istne licha puszczone, co niby wiley wyją, gdy zapach krwi zasie zwąchają, a niektórzy śmieje się jako ten niestatek, kiedy go zły topi.

B 243

Palomita

Dźwięk. Kroki na schodach. Zamieram.

Nadzieja. Szarpnięcie.

Idą do góry.

Mikael!

Rzucam się do drzwi, wchodzę na taboret i przywieram twarzą do drzwi.

Rozczarowanie wypełnia mi brzuch: to rzeczywiście jakiś młody mężczyzna, ale mi nieznany, ciemny i w okularach. Idzie do Mikaela, ale nie wie, że jego nie ma w domu.

Jeszcze nie ma go w domu, ale wkrótce przyjdzie.

Nigdy nie wychodzi z domu na długo.

Dziś czekałam na schodach z siatkami z zakupami tak długo, aż przysłała ta kobieta od sprzątniania klatki i mnie zobaczyła, niby przypadkiem. Zobaczyła czekoladę i wino truskawkowe na samym wierzchu i zaczęła się przymilnie dopytywać. A ja, drżącym głosem, wypaplałam jej jak przyjaciółce, że spodziewam się dziś gościa. Ważnego, cudownego gościa.

Widziałam, jak oczy jej zabłyśły.

Anioł

Zaraz po wejściu do bramy zaczynam szukać w kieszeni kluczy. Szukam jeszcze raz. Zatrzymuję się i sprawdzam wszystkie kieszenie.

Nie ma ich.

Muszę się dostać do Pesika. Muszę się dostać do niego natychmiast.

Jeszcze nigdy w życiu nie zwracałem niczym głowy tej naszej dozorczyńi, ale teraz biegnę po schodach na pierwsze piętro jak niesiony strachem zajęć, dzwonię do drzwi i drzę: bądź w domu, bądź w domu, bądź w domu.

H 245

Palomita

Znowu kroki, pospieszne, i tym razem to on, to on wypełnia mały okrągły świat wizjera.

Nim zdążyłam zejść z taboretu, dostrzegłam, że wcale nie idzie po schodach wyżej, tylko dzwoni do tej papilotki. Dzwoni i dzwoni, wygląda na zdenerwowanego, i wtedy drzwi się otwierają i widzę, jak pod Mikaelem uginają się kolana, kiedy w drzwiach staje kobieta z papierosem w ustach. Mikael coś wyjaśnia, jedną ręką opiera się o framugę drzwi, a kiedy mówi, postukuje w nią zdenerwowany. Kobieta znika w środku i po chwili wraca, ma w dłoni pęk kluczy, który podaje Mikaelowi, dobitnie coś mu tłumacząc i uśmiechając się wyrozumiale, i Mikael potakuje, aż mu się głowa trzęsie.

Zeskakuję z taboretu, teraz, teraz, teraz, właśnie teraz, i otwieram drzwi. Mikael nie zdążył jeszcze zrobić dwóch pospiesznych kroków na górę, kiedy wołam go i mówię, że mam do niego bardzo, bardzo, bardzo ważną sprawę, a Mikael zatrzymuje się i marszczy brwi, ale jednak podchodzi do mnie i pyta „Tak?“, a ja biorę go za rękę i ciągnę do mieszkania.

I wiem, że kobieta od sprzątnięcia klatki wszystko widziała.

Ecke

Widocznie Anioł nie ma drugiego klucza, bo dzwonek u drzwi rozbrzmiewa cicho czwarty raz. Może nie zdążył jeszcze dotrzeć do domu albo nawet w ogóle nie sprawdzał, czy ma klucz. W takim razie niespodzianka będzie jeszcze bardziej wypasiona, bo klucze będą już czekać na miejscu, a razem z nimi, na dokładkę, jeden mały, wyborny kąsek. Postanawiam, że wejdę do środka, zacznę się i kiedy usłyszę kroki na klatce, nagle otworzę drzwi na oścież, wydzierając się do zdumionego i rozradowanego Anioła: „*Surprise!*”.

Poza tym to już najwyższy czas, z jakiegoś niezrozumiałego powodu jeszcze mnie nigdy do siebie nie zaprosił. Chyba nie dostanie frenetycznego napadu szału, jeśli wślizgnę się bez pozwolenia do środka? Zakradnę do siedzib anielskich?

No i pewnie, teraz sobie przypominam. Gustaf Euren: *Zwierzęta drapieżne Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, na rycinach objaśnione*. Mam diabelnie dobry powód, żeby wejść do środka i zabrać książkę. Anioł jej nie oddał, chociaż już kilkakrotnie o nią pytałem.

To jest jebitnie cenna książka.

Wyciągam z kieszeni klucze Anioła i ważę je w dłoni.

Mam prawo. No nie?

Palomita

Wydaje się zatroskany i jakby nieobecny, ale jest tutaj mimo wszystko, jego złote włosy, jego oczy, te jedyne, które potrafią nie patrzeć na moje piersi, na czarne włosy.

Pyta, co się dzieje. Patrzę mu w oczy i uśmiecham się, z mojej twarzy musi wyczytać, jak bardzo go lubię. Bo teraz jest ostatnia chwila, żeby mu to okazać. Bo odwrotu już nie ma.

I właśnie tak jak myślałam, właśnie w najbardziej odpowiednim momencie przychodzi to, co miało nadejść - rozwiązanie.

W zamku przekręca się klucz.

Ecke

Klucz przekręca się w zamku.

H 249

Anioł

Odwracam się i niech to chuj, w drzwiach stoi Koistinen, komiwojażer Palomity. Koistinen jest niskawy, brzuchawy, rumianawy i łysawy, wszystkiego po trochu, ale niczego porządnie. Na zakolach lśni kilka kropli potu.

- A więc takie rzeczy.

Głos mężczyzny jest zupełnie spokojny i trochę obłąany, zupełnie jak gdyby spodziewał się czegoś takiego przez cały czas, a teraz wszystkie jego przeczucia okazały się prawdą.

- Dziwka to dziwka. - Popycha Palomitę, ta chwieje się i wpada na ścianę, po czym wybuchu potokiem słów, w którym mieszają się angielski, fiński i jakiś język, którego nie rozumiem.

- Przestań się, dupo, tłumaczyć. Niech ten Casanovą się wytłumaczy.

Zbieram resztki godności.

- Mikael Hartikainen z drugiego piętra, dzień dobry. - Próbuję powitania, ale Koistinen spogląda na moją wyciągniętą dłoń jak na kurzą nogę, która przeleżała w lodówce trzy tygodnie.

- Wystarczy, że się człowiek obróci, a już za jego plecami zaczyna się jakieś barabara.

- Najwyraźniej doszło tu do oczywistego nieporozumienia. Gdzieś zagubiłem klucze, a kiedy odbierałem zapasowe u dozorczyńni naprzeciwno, wtedy pani chciała mnie o coś spytać, a po nieważ mieliśmy okazję poznać się już wcześniej, to...

Z miny Koistinena widzę, że zrobiłem skuchę.

-1 to dużo wcześniej, co? Ale ja mam akurat z tą panią całkiem jasne paragrafy na takie okoliczności. Że nie będzie żadnych pogaduszek z obcymi.

- Ale tu o żadnych... pogaduszkach nie ma mowy. Dwa razy po zdrowiliśmy się na schodach, w ten sposób zapoznaliśmy się i...

Już mam powiedzieć „bywaliśmy u siebie”, ale pojmuję w ostatniej chwili, jak by to zinterpretował ten ryży jaskiniowiec.

- I jak dobrze się zapoznaliście?

Koistinen mówi jak w jakimś fińskim filmie, jest jako ten pastor z wiejskiej plebanii, który grzmiącym głosem przesłuchuje podejrzewanych o cudzołóstwo dziewczkę i parobka, i cała sytuacja wydaje się tak komiczna, że śmiałbym się histerycznie, gdybym nie widział płonącego uczucia w oczach Palomity - strachu i czegoś jeszcze, czegoś nierozpoznanego, ale przerażającego.

W tym momencie słyszę nad głową hałas. Jakby przewróciło się coś ciężkiego, jakiś mebel czy coś. Odgłos dobiega z mieszkania powyżej. Z mojego mieszkania.

Pesik robi coś, czego nie powinien.

Muszę wrócić na górę, zakończyć tę farsę jak najszybciej. Koistinen wysunął brodę do przodu jak buldog. Najwyraźniej chce przemienić przedpokój w salę rozpraw i rozkoszować się walcowaniem tej sprawy do upadłego. On jest głównym sędzią, on jest ławą przysięgłych. W obliczu wyższej konieczności postanawiam go zaskoczyć i odegrać rolę świadka koronnego.

Rozkładam dłonie, kolebię biodrami, wzruszam ramionami, potrząsam głową, ściągam usta. Szukam dla głosu nosowego brzmienia skargi.

- Jeszcze tego brakowało - rzucam piskliwie. - Przecież tutaj nie mogło, do jasnej ciasnej, do niczego dojść. Nie kapujesz, panie Koistinen, że ja jestem... hmmm! Do diaska!

Poruszam biodrami.

- No, jednym z tych, no wie pan!

Koistinen patrzy na mnie przez chwilę, a ja, żeby postawić kropkę nad i, puszczam do niego oko.

Jego pięść spada na mnie jak błyskawica i ląduje na policzku, druga z furkotem wali w brzuch, Koistinen przeklina i wyzywa, wypadam na klatkę schodową i ląduje na tyłku, drzwi zamykają się z trzaskiem. Gdy idę do góry, słyszę przytłumiony wrzask, który nagle się urywa.

Ecke

Do przedpokoju przesącza się światło z głębi mieszkania. Ja cię w mordę, na pierwszym planie w oczy kluje bok białej skórzanej sofy w dużym pokoju. Wszystko, co widzę, ma taki styl, że wy-miękam. Szkło i chrom, naturalne drewno, biel, szarość i czerń. Na ścianach litografie.

Aż mnie ściska. Sprawa jest prosta - jestem zbyt nieokrzesany, zbyt niegustowny dla zenka, który mieszka w czymś takim. Jestem zwierzę.

Na pewno trzeba zdjąć buty.

Kiedy się schylam, żeby je ściągnąć, dociera do mnie, że w pokoju czuć silny korzenny zapach lasu, tę samą odurzającą woń, która czasem unosi się wokół Anioła. Woda po goleniu? Odruchowo zbliżam nos do pachy. Diabelskie nasienie, bluza ze sztucznego materiału, i do tego tydzień noszona - czuć.

Ustawiam grzecznie buciki na baczność pod wieszakiem i zerkam w wiszące w przedpokoju lustro. Wyciągam z tylnej kieszeni spodni grzebień i próbuję zaprowadzić jakiś ład w tym błagającym o fryzjera gąszczu.

Z klatki dobiegają jakieś odgłosy, ale gdzieś niżej. A więc to jeszcze nie Anioł.

Wchodzę do dużego pokoju, do królestwa jasnych tonów, do czarodziejskiej krainy przemyślanych wyborów. Do katalogu dekoratora.

Wtem z tyłu po lewej słyszę skrobnięcie.

Czarna strzała na białym tle.

A potem wszystko robi się czerwone.

H 253

Anioł

Kiedy wchodzę po schodach, czuję łupanie w policzku. Będzie z tego co najwyżej siniak, a i to można zatuszować makijażem.

Klucz zapasowy miałem przez cały czas w pięści. Jest zapocony i gorący. Gdy otwieram drzwi, czuję zapach.

Metaliczny i przeszywający. Miesza się ze smrodem świeżych odchodów.

Otwieram drzwi do końca, przechodzę przez przedpokój do salonu. I wszystko podchodzi mi do gardła. Tylko że nie mogę zwymiotować, bo każdy mięsień mojego ciała jest całkowicie sparaliżowany.

Ecke.

Ecke. Na podłodze obok dłoni moje klucze.

Ecke leży na ziemi i dosłownie wszędzie jest krew. Moja biała sofa wygląda jak obrzydliwy muchomor. W gardle Eckego rozwarły się drugie - uch, jakież czerwone - usta. W jego džinsach - cała zawartość jelita grubego.

Kiedy przychodzą wymioty, czuję ulgę.

Przykucam i rzygam na parkiet.

Oj Ecke, Ecke, Ecke, człowieku, coś ty narobił?

Po co tu przyszedłeś, ty, który byłeś jednocześnie taki błyskotliwy i wygadany, i więcej niż odrobinę zblazowany, a przecież byłeś małym chłopczykiem, zawsze skorym do śmiechu, nieco zagubionym w życiu?

Ty, który w łóżku byłeś pomysłowy i gotów na wszystko, i zwinny jak ryba.

Ty, którego męski zapach potu i spermy, czasem falujący deli-

katnie wokół mnie, uderzył w czarne, wrażliwe nozdrza niczym groźba, oznaka obcego stada.

Pesik podskakuje niespokojnie, ale trochę sztywno, jakby miał sprężyny w nogach, patrzy to na ciało, to na mnie, i tak w kółko. Jest dumny z siebie jak jasna cholera, ale jednocześnie trochę się denerwuje. Nie wie, co ma zrobić, czy powinien zdobyć zjeść czy oddać ją mnie - mnie, który jestem dla niego jedynym stadem, jakie mu pozostało.

Doktor Spiderman

Stoją w gabinecie, granatowi, emanując nieco skrępowanym autorytetem.

- I do tego potrzeba weterynarza, żeby nadzorował to uśpienie.

- Duży drapieznik? U kogoś w domu? - Pytam, podnoszę brwi, że niby jestem skrajnie zdumiony, próbuję grać na zwłokę, chociaż jeszcze nie wiem, jak miałbym ją wykorzystać, i serce mi wali jak młotem. Aniele, Aniele, co cię podkusiło?

- I my z początku nie ustosunkowaliśmy się do tego doniesienia całkowicie poważnie, ale gdy zobaczyliśmy kilka bardzo przekonujących fotografii i szczególnych ran ciała, to stwierdziliśmy, że warto rzecz zbadać. To faktycznie mało prawdopodobne, żeby ktoś łamał prawo łowieckie w ten sposób, trzymając w bloku takie dzikie zwierzę, ale dla pewności, no i zgodnie z paragrafem, musimy mieć na miejscu weterynarza. Jak się zdarzy, że będą jakieś większe przykrości, to wówczas zwierzę będzie można...

Robią półsekundową przerwę i dokładnie wiem, o co chodzi.

- Uśpić.

- Właśnie.

- Jeśli nie zostanie... uśpione, co się z nim stanie?

Policjanci spoglądają na siebie, tego pytania się nie spodziewali.

- Pewnie do jakiegoś instytutu, w końcu to bardzo rzadkie zwierzę.

Czas przyjęć się kończy, światło wiosennego wieczoru pozłaca okno. Anioł.

Policjant podryguje nerwowo.

- Ma pan tu na pewno w gabinecie wszystko, co potrzeba...
Pański asystent powiedział, że robił pan już takie rzeczy.

Usypiałem chore psy, to prawda. Nawet duże psy.

- Będę gotowy w zasadzie za chwilę. Za dwie minuty.

Policjant potakuje głową.

- Czy mogę panów poprosić o przejście na chwilę tam, do poczekalni? - pytam i czuję przyływ ulgi, kiedy kiwając głowami, odwracają się i wychodzą, właśnie tak, jak chciałem. Na szczęście lekarza - chociażby tylko weterynarza - słucha się odruchowo, bez żadnych podejrzeń, nawet policjant się nie zastanowi, dlatego właśnie teraz musi poczekać za drzwiami.

Podnoszę słuchawkę i dłonie mi się pocą. Gdy sygnał buczy i buczy, i buczy, powtarzam w myślach słowa; wychodź, wychodź natychmiast, zabierz gdzieś Pesika, wyjdź, zanim oni przyjdą... A telefon buczy i buczy, aż wreszcie - wielki kamień spada mi z serca - wreszcie Anioł odbiera.

Anioł

Z komórką przy uchu wpatruję się w ciało Eckego. - Faktycznie myślę o tym wyjeździe już od pewnej chwili - mówię spokojnie do doktora Spidermana.

B 258

Anioł

Krew szumi mi w uszach, a w głowie dudni jakiś bezsłowny, buntowniczy marsz, który rytmizuje moją panikę, dźwięczy równie głucho, dobitnie i nieodwołalnie jak moje serce, kiedy wyłączam komórkę i wrzucam ją do klozetu. Wkładam leśnozieloną bluzę z goreteksu, tę lekką, wytrzymałą i wodoodporną, którą kupiłem, kiedy jechałem z Paulim na tydzień do Laponii, i którą miałem na sobie tylko ten jeden raz. Wiążę na nogach wodoodporne, wysokie trekkingowe buty o mocnej podeszwie, które kupiłem po to, żeby zrobić wrażenie na Jensie, i udało mi się to do tego stopnia, że buty są dobrze rozchodzone.

Być może będę musiał przeżyć w lesie dłuższy czas, ale czasu nie ma dużo. Mały plecak, szczyrek szwajcarski, szybko nalewam wody z kranu do pustej butelki po wodzie mineralnej, plastikowa zapalniczka, sweter i druga para skarpet. W lodówce nie ma praktycznie nic poza opakowaniem kielbasy. Nie mogę zabrać za dużo rzeczy, ale wiosna jak do tej pory była zaskakująco ciepła, dwadzieścia stopni od połowy kwietnia. Pesik podryguje, jakby się niecierpliwił, wyczuwa mój zimny, kwaśny pot, strach i panikę.

Jest wieczór, ale nie jest ciemno, przekłety kwiecień. Zrywam z sofy koc, zawijam w niego Pesika i biorę go na ręce. Ależ ten mój mały troll ma jeszcze drobne, ptasie kości, ależ jest lekki i chudy, sporo urósł, a przecież ciągle jest jeszcze taki sam jak pół roku temu, kiedy moje życie się zmieniło i wziąłem do domu podrzutka.

Palomita

Opuchnięta twarz rozpala się ogniem, kiedy przyciskam ją do drzwi, żeby zobaczyć w wizjerze Mikaela choćby przez moment. I rzeczywiście go widzę: zbiega po dwa stopnie naraz dziwnie ubrany, ściskając duże, podługawe zawiniądko. Biegnie tak szybko, że i tak nie zdążyłabym otworzyć drzwi i za nim krzyknąć, więc nawet nie boli mnie tak bardzo, że Pentti zamknął mnie od zewnątrz.

Potem przychodzą policjanci, dwie minuty po zniknięciu Mikaela. Jestem pewna, że teraz Pentti zrobił to, czym mnie straszyl, i wezwał policję, żeby mnie zabrała. Pentti mi powiedział, że w Finlandii żony, które zdradzają swoich mężów, zamyka się w więzieniu. Będę w nim gnici do końca życia i moi krewni będą musieli oddać Penttiemu wszystkie pieniądze, które na mnie wydał, a ja się splamię i okryję hańbą. A jednak nie podchodzą do naszych drzwi, i w tym momencie zdaję sobie sprawę z tego, że chciałabym, żeby podeszli. Żeby zdążyli przed Penttim, zanim wróci z knajpy.

Policjanci wchodzą wyżej po schodach, mają dużą siatkę i dużego psa z kagańcem na pysku, jego pazury szurają i ślizgają się na kamiennej posadzce, a jeden z policjantów ma dziwną strzelbę z długą lufą. Słyszę dzwonek, słyszę, jak ktoś woła coś przez szparę na listy, a potem hałasy, kiedy otwierają drzwi na siłę. Przez chwilę jest zupełnie cicho, potem jeden z mężczyzn schodzi ciężko z powrotem, ma smutną psią twarz i żółtawy długi płaszcz zamiast munduru. Siada na stopniu i chowa tę smutną twarz w dłonie, a po chwili pojawia się dwóch mężczyzn, którzy niosą na górę nosze.

Chociaż dłoń boli mnie straszliwie, zaczynam łomotać w drzwi i krzyżeć tak, że muszą mnie słyszeć.

Aleksis Kivi, *Siedmiu braci*, 1870

Juhani: Ścigaliśmy niedźwiedzia, drapieżcę groźnego, któryby wnet was i woły wasze zadławił. Szarpacza kosmacza zabilim, co jest od nas ojczyźnie naszej wielka spoina korzyść. Zali nie to jest korzyść spoina: drapieżcę, biesy i złe duchy ze świata naszego w czorty przepędzić?

Anioł

Nikt nie zwraca na mnie uwagi, zapewne tacy ubrani w panterkę goście z olbrzymim moherowym tłumokiem na rękach biegają do taksówki co chwila. Taryfiarz unosi co prawda brwi, ale o nic nie pyta, dzięki Bogu, Pesik jest w moich objęciach zupełnie cicho, spokojnie się przysłuchuje przebijającym przez cienką wełnę dziwnym odgłosom i wacha obce zapachy.

Podróż do Kauppi trwa ledwie kilka minut, kierowca nie jest zbyt rozmowny, zerka tylko od czasu do czasu w tylne lusterko, dziwiąc się ściekającym mi z czoła kroplom potu. Wyciągam z kieszeni banknot i wciskam mu w dłoń, nie patrzę nawet, co mu dałem, ale na pewno wystarczy za ten kurs, i zaczynam się gramolić z pobocza drogi w las. Jestem już daleko w zagajniku, kiedy słyszę niecierpliwy wizg silnika oddalającej się taksówki. O ile mogę polegać na swojej pamięci, to jeśli będę miał zachodzące słońce za plecami, z lasu Kauppi powinniśmy się dostać w okolice parku narodowego Halimasjarvi. To jedyna marszruta, która nie przechodzi za często przez obszary zamieszkałe. Stamtąd przedrzemy się do lasów Teisko.

Nieraz o mało się nie przewróciłem i Pesik jest marudny, kręci się i fuka pod kocem. Decyduję, że jesteśmy już dość daleko od drogi, opuszczam go na ziemię i rozwijam koc. Oczy mu błyszczą z napięcia, uszy podrygują, nozdrza drżą od szalonej mieszanki leśnych zapachów, a ogon wypręża się niczym czuła, elastyczna antena.

Wtem słyszę odgłos - odgłos, którego jeszcze o tej porze roku nie powinno być, a który obwieszcza nieuchronne nadejście

wiosny - i wiem, że Pesik może teraz, nieodwołalnie i na zawsze, odejść. Odgłos jest smutnie jednostajny i wielokrotny, niczym dźwięk pogrzebowych dzwonów. To kuka kukułka.

Anni Swan, *Jedwabista i trolle*, 1933

- Z grotty trolla nigdy nie ujdzie, kto nektaru z czary jego choć raz zakosztował.

Powabna krzyknęła z przerażenia, zobaczywszy obu brzydali.

- Nie bój się - szepnął młody troll. - Tobie tu włos z głowy nie spadnie.

Spojrzał na dziewczynę i powiedział:

- Zostań tutaj, ja jestem jeden z całego trollego ludu, co pragnę i tęsknię tak jak ludzie. Kiedy byłem mały, podmieniła mnie moja matka za dziecko człowieka. Pragnęła, żebym wyrósł podobny ludziom w umiejętnościach i mądrości. Ale mój ojciec nie cierpiał ludzi. Poszedł po mnie i oddał za mnie z powrotem tamto czło wiecze dziecko. Leżałem przecież jednak siedem dni i siedem nocy w kolebce i słuchałem kołysanek człowieczej matki. Od tamtej pory mam w sobie już tylko połowę trolla, druga zaś tęsk ni z powrotem między ludzi.

Doktor Spiderman

Naprawdę dobrze być podchmielonym.

Najbardziej bolesne, chore i przytłaczające sprawy wydają się w pewnej fazie zupełnie, no tak, niejako znośne.

Można je analizować jak zza zbrązowiałej szklanej ściany. Można je studiować, ale nie trzeba przy tym całkiem się w nie zagłębiać. Rozmyślanie o różnych rzeczach w stanie podchmielenia jest jak przyglądanie się jadowitym owadom w szczelnie zakręconych słoikach o grubych ściankach, podczas gdy rozmyślanie o tych samych rzeczach na trzeźwo to brnięcie przez huczący od tych samych stworzeń zagajnik, w którym mogą skoczyć na nieosłoniętą szyję albo rzucić się na nogę, jeśli człowiek nie będzie w każdej sekundzie czujny i uważny.

Nie myślę o ciele młodzieńca.

Nie myślę o tym, gdzie jest teraz Anioł.

Myślę o baśni o leśnych nimfach, o pełgających, szepczących cieniach, które wywodziły młodzieńców w leśne ostępy i pętały ich swoim czarem tak, że już nigdy stamtąd nie powracali.

Co ich tam koniec końców ciągnęło? Przecież nie migające między świerkami pięknokształtne ramię, nie połysk rozwianych włosów za leśnymi głazami, ale unoszący się w powietrzu silny ładunek erotyczny, ścieżka feromonowa.

To musi być zapach, który jakoś się łączy z zachowaniem więzi wewnątrz mikrostada. Może on, na przykład, działać tylko na samce, może to być sposób, w który młodszy członek stada informują samca alfa o gotowości do współpracy i o swej uległości. Na przykład. To by bowiem wyjaśniało także, dlaczego troll Anio-

ła jego nie atakował i nie próbował go zabić, lecz chronił jego rewir, jak tylko potrafił. Był posłuszny. Nie przegryzał kabli od komputera i nie szarpał z nudów obicia sofy. Anioł był jego samcem alfa.

To wyjaśniałoby także wiele innych rzeczy.

Feromony ponad granicami gatunków? To wcale nie jest niemożliwe. Na przykład piżmo - pobudzi tak samo arktycznego byka, jak sułtana haremu.

Feromon, który oddziałuje tylko na samce? To zrozumiałe samo przez się. A feromon, który oddziałuje jedynie na określone samce? Na samce, które szczególnie się starają zrobić wrażenie na innych samcach?

Dlaczego nie?

Ale - zapytuję samego siebie, rozkoszując się własnym strachem, jakbym stąpał po trzeszczącym, kruchym lodzie - czy jest w tym wszystkim coś więcej niż tylko suma przypadkowych zdarzeń molekularnych?

Dlaczego one tu są?

Dlaczego miały - z podań i bajek wnioskując, nawet liczne - kontakty z ludźmi właśnie wtedy, gdy osadnictwo zaczęło się naprawdę rozprzestrzeniać w głąb puszczy? Potem, na początku nowego czasu, skurczyły się do postaci mitów i legend. Nawet po ich oficjalnym odnalezieniu siedziały cicho. Ale teraz znów się zbliża podobny przełom jak wtedy, kiedy człowiek po raz pierwszy próbował wyprzeć trolle z ich własnych terytoriów.

To się już dzieje.

One wrócą i będą dążyć do tego samego, co wtedy, w czasach, o których mówią bajki: opowieści o trollach, które zakładały swoje legowiska tuż przy siedzibach ludzi, handlowały z nimi i brały udział w wymianie kulturalnej, instalując swoje młode w gospodarstwach ludzkich...

One wrócą, i pojemniki na śmieci i wysypiska będą ich nowymi płytami ofiarniczymi.

Przyjdą, bo muszą. Intensywna gospodarka leśna, zanieczyszczenia i zmniejszanie się populacji zwierzyny leśnej zapędziły je w kozi róg.

Ocieplanie się klimatu.

Wybucham głośnym śmiechem i idę przynieść sobie jeszcze coś do picia. Whisky się kończy, odkręcam więc z chrzęstem butelkę ginu, nalewam, podnoszę szklankę i wokół mnie rozlewa się las.

Pesik. Niemal spoglądam obok siebie na podłogę, co ten tutaj robi, czy ma właśnie zamiar skoczyć mi na ręce? I od razu rozumiem i rumienię się. Gin. Zapach lasu. Jagoda jałowca i Calvin Klein. Jak sprawna i asocjacyjna jest jednak u człowieka pamięć zapachów.

Odsuwam szklankę od siebie, ale potem ściągam policzki i przechylam drinka. Powstrzymuję dreszcz, chociaż wpierw usta wypełniają zimne, a potem żołądek gorące błędne ogniki.

One wrócą i pójdą w ślad wróbli, gołębi i szczurów, będą żyły z nami w kohabitacji, czy tego chcemy, czy nie. Będą jadły to, co po nas zostaje, będą nawet kraść i spać w porzuconych przez nas budynkach. Będą psuć krowom mleko, jak chce ludowa tradycja. Wepchną się ze swoim rewirem na nasze terytorium, po cichutku, tak że nim się połąpiemy, to one już będą między nami.

Mam nadzieję, że się tym zadowolą.

Samuli Paulaharju, *Wspominki laponskie*, 1922

Ale najpewniejszym i najbardziej bezspornym spośród dowodów na istnienie podziemków jest ten, że liczni współcześni jeszcze ludzie naocznie oglądali tego podziemnego narodu przedstawicieli, ba - rozmowy nawet z nimi prowadzili, i stowarzyszali się z nimi. A mieć ich w podejrzeniu nie można, są to bowiem starzy chrześcijanie, którzy po próżnicy ozorami nie mieli.

Anioł

Nagle Pesik zamiera.

Jesteśmy już blisko terenów parku Halimasjarvi i nikt nam do tej pory nie przeszkodził. Dobrze, że ciepłe słońce chyli się już ku zachodowi i ciemność zaczyna powoli oplatać ziemię pajęczą siecią.

Napiłem się wody ze strumienia i ucieszyłem się, bo zdałem sobie sprawę, że kiedy tylko zechcę, mogę przysnąć pod świerkiem, pod namiotem sięgających do samej ziemi gałęzi, na miedzianym, iglastym futrze.

Pesik idzie obok mnie, choć co prawda zbacza w krzaki, znikając mi czasem niemal zupełnie z oczu - Boże, jak on się cicho porusza po lesie - ale wbrew moim obawom nie zniknął gdzieś między świerkami i nie poszedł swoją drogą tam, dokąd nigdy nie byłbym w stanie za nim pójść.

Ale teraz sztywnieje, a jego ogon porusza się tak, jak jeszcze nigdy wcześniej. Ściągnięty w luk, jakby był pod prądem, miota się na boki i moim zdaniem jego ruch wyraża zarówno napięcie, jak i odrobinę strachu, jak i...

...wielką i głęboką miłość.

Ledwo zdążyłem sobie uzmysłwić reakcję Pesika, kiedy w moim polu widzenia pojawia się ciemny cień.

Zmaterializował się za drzewem niczym koszmarna zmora, jeszcze przed chwilą tam go nie było, teraz jest. Cały sztywnieję i nagle jestem dyszącym, nieszczególnie smacznym kawałkiem mięsa, zawiniętą w goreteks zdobyczą.

Pesik z radości dostaje szału.

B 270

Przypada do olbrzymiego samca - ten mógłby być wspaniale lśniącym, starszym bratem osobnika, którego widziałem w muzeum - niczym szczenię do sukki i przymila się, i ociera, skacze i liże, aż wielki troll, bez wątpienia jego ojciec albo samiec alfa, jakby od niechcienia odgarnia go lewą przednią łapą za siebie.

I to, co wielki troll trzyma w prawej łapie, jest potwornie oczywiste, „przecież ja to jakoś podświadomie odgadłem, magazyny wojskowe w Paroli i te wszystkie pozostałe zagadkowe wydarzenia”, mówi mój sparaliżowany mózg, gdy chylek unosi drugie ramię, wojskowy karabin ląduje na biodrze i słycać szcęk odbezpieczanej broni.

Poszukiwany za zabójstwo. „Gazeta Poranna”, 22. 04. 2000

Policja poszukuje listem gończym trzydziestotrzyletniego mieszkańca Tampere, Mikaela Kalervo Hartikainena, podejrzanego o zabójstwo. W mieszkaniu Hartikainena zaalarmowani policjanci znaleźli ciało młodego mężczyzny. Dla dobra śledztwa policja nie ujawnia szczegółów zbrodni.

Wiadomo, że Hartikainen opuścił mieszkanie po śmierci młodego mężczyzny i pojechał taksówką do dzielnicy Kauppi. Jego dalszych posunięć nie udało się ustalić.

Hartikainen mierzy 182 centymetry, sylwetkę ma wysportowaną. Ma niebieskie oczy i zwraca na siebie uwagę jasnym kolorem włosów. W dniu ucieczki był ubrany w zielony strój sportowy z napisem Haiti, kurtka ma na kołnierzu i końcówkach rękawów czerwone naszywki. Hartikainen może być uzbrojony i jest zdaniem policji niezwykle niebezpieczny.

Policja prosi o zgłaszanie wszelkich informacji dotyczących miejsca pobytu Hartikainena bezpośrednio pod dyżurnym numerem telefonu: 219 5013.

BB 272

Anioł

Kiwa lufą karabinu gestem, który jest rozbijająco znajomy z filmów, a jednak lodowato obcy w wykonaniu... Zwierzęcia. Zwierzęcia? Ale komunikat jest jasny. Idziemy, i to ja jestem więźniem.

B 273

Yrjö Kokko, *Pesik i Ilusia*, 1944

- A czy ty widziałeś człowieka? - zapytała Pesika pewnego dnia Ilusia.
- Widziałem, raz widziałem człowieka - odpowiedział Pesik.
- I jaki on był? - zapytała znowu Ilusia.
- Przypominał wielce ciebie i mnie - odparł Pesik. - Ale nie przyglądałem mu się dłużej.
- A dlaczego? - dociekała dalej Ilusia.
- Bo był taki duży. Widziałem go tam, przy gliniance, w której myją się ptaki. Kwitły akurat wrzosi i modraszki spijały z nich niespiesznie nektar, gdy wtę stanąłem twarzą w twarz z człowiekiem. Aż się wzdrygnąłem.
- Dlaczego się wzdrygnąłeś?
- Bo spojrział mi prosto w oczy i zalał mnie wtedy bijący z jego oczu strach.

Anioł

Niebo na horyzoncie naszego marszu bieleje. Dochodzi piąta.

Jesteśmy głęboko w lesie, pośrodku takiej dziewiczości, której człowiek nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jeśli przez całe życie był tylko w okalających miasta pseudolasach, w tych małych, rzekomo naturalnych skrawkach, w istocie raczej parkach, obrębionych ścieżkami, oczyszczonych i przyciętych, zaopatrzonych w lampy i ławki, wysadzonych niemal równoletnim drzewostanem. Ale ten las jest inny, jest mroczny i gęszczasty, wyrasta falistym gwałtem z mchowego podłoża ku niebu, jakby ziemia wypychała go ze swego łona w dławiających mękach. Wrze w nim walka, jeden gatunek przeciwko drugiemu, zarośla duszą drzewa, a krzaki mech, wszystko tu bowiem jest w ograniczonej ilości: światło, powietrze, pożywienie.

W tym zielono-brązowym chaosie poruszamy się szybko i niemal bezgłośnie. Tylko mój dyszący oddech i chrzęst moich beznadziejnie płaczących się butów wtórują szarości poranka, kiedy Pesik i duży samiec prowadzą mnie po niewidocznych dla mnie ścieżkach. To są ścieżki trolli, niedostrzegalne przejścia, ale nawet na pozór nieprzebyte chaszczce, niemożliwa do sforsowania szczelina w skale okazuje się z bliska oszczędzającym wysiłku skrótem. Poruszamy się do przodu, jakby drzewa, kamienie i chaszczce były mgłą, przez którą przedzieramy się sprawnie i cicho niczym cienie.

Żaden człowiek nie jest w stanie nas dogonić, w każdym razie nie na piechotę.

Martes

Poszukiwany za zabójstwo.

Kto by pomyślał?

Niezupełnie o to mi chodziło. Chciałem mu narobić kłopotów, to jasne, i przykleić etykietkę przestępcy - donos był najzwyczajniejszą samoobroną. Ale teraz wygląda na to, że sprawa wymknęła się spod kontroli.

Nie wiem, co się wydarzyło, ale to bez znaczenia. Z miejsca, w którym Mikael jest albo wkrótce będzie, nie dzwoni się do klientów i nie wytacza się spraw o prawa autorskie do zdjęć - zdjęć, które ukryłem na swoim twardym dysku i dla pewności wypaliłem jeszcze na płycie. Stalker zamówił już reklamę: w każdym fińskim mieście na każdym słupie, na każdym z trzech boków mają być trzy osobne zdjęcia - obraz zmysłowo wyszczerzonego dzikiego tancerza, który szaleje w trzech różnych skokach czy krokach, czy wymagających niemożliwej gibkości pozycjach, w objęciu ciasno naciągniętych stalkerów - sparaliżowana przez obiektyw czarna błyskawica.

Podobnie jak zwierzęta domowe, tak i ludzie mogli się zagubić w lesie, tym łatwiej, jeżeli zdarzyło się im przeciąć w uroczysku „szlak pana puszczy”, nastąpić na „ślad biesa” czy „turzycę kaduka”. Słyszałem, jak mieszkańcy Rukujarvi opowiadali, że człowiek, który przeszedł „skroś czartowego słoienia”, nie znajdzie już drogi do domu. W Aunusie powiadano, że człowiek taki ruszył za „osljadem chełka”. Wepsowie mówią o nim wówczas, że „dostał sa na stopu trpaslika”. Estończycy wierzyli, że kiedy

kulmking

- „zimny łapęć”, który „mianowicie borami i lasami wędruje”

- „przeńdzie po ziemię”, ktoś może nieopatrznie nastąpić na jego ślady, a wówczas - chociażby własną swą chałupę miał przed oczyma - drogi do domu już nie znajdzie. Tak samo wierzyli fińscy Szwedzi, którzy powiadali: *han har gdt I skogsrdans fjat* („poszedł za rusalki śladem”) albo *gdrpd trollspdr* („pójść za trollem”), i to wyobrażenie, tak bardzo rozpowszechnione wśród Rosjan, nie było obce w Szwecji właściwej.

Wiele przykładów, a mianowicie ta okoliczność, że mogło się to przydarzyć nawet we własnej zagrodzie, pokazuje, iż nie chodzi tu o zagubienie się w przepastnej puszczy, lecz o popadnięcie w osobliwy stan umysłu, w którym wszystko przedstawia się innym niż w naszym świecie.

Anioł

Wejście do pieczary w cieniu świerków, pomiędzy omszonymi głazami, przypomina wąskie, czarne usta.

Słońce przechyliło się poza las, jego skośne promienie przesączają się złotymi, rozmytymi pasmami przez iglaste gałęzie i kreślą na mchu świetliste plamy.

Od skały odrywają się bezgłośnie dwa cienie ruchem tak niepozornym, że niemal wślizgują się z cienia w światło. Podchodzą całkiem blisko z drżącymi nozdrzami, a ich silny zwierzęcy zapach przypomina zapach Pesika, z tym że jest bardziej dziki, bardziej przesywający i bardziej piżmowy, i jeden z nich wyciąga przed siebie pazurzystą łapę, a ja zamieram, bo te sztylety mogłyby otworzyć mój brzuch jednym szarpnięciem. Ale łapa nie rozdziera, tylko wpycha się do kieszeni mojej kurtki, a palce, elastyczne, sprawne i czułe, chwytają liliową, gazową zapalniczkę.

Kiedy troll ją zapala, widzę, że nie pierwszy raz trzyma coś takiego.

Promienie słońca zaczynają spływać na polanę niczym ciepła ciecz. Źrenice trolli są tak wąskie, że prawie ich nie widać. Chyłki odwracają się i znikają w czeluściach pieczary.

Duży samiec kiwa łufą swego karabinu nieznacznie, ledwie dostrzegalnym, oszczędnym ruchem, który rozumiem.

Pesik podchodzi do mnie, ogon mu drży i podryguje, i teraz patrzy w górę na mnie, wyczekująco.

Gdzieś daleko kuka kukułka.

Chwytam go za rękę i wchodzę do środka.

Nota edytorska

W niniejszym wydaniu wykorzystano: fragmenty *Zamieńca* w przekładzie Janiny Porazińskiej (Warszawa 1964) oraz fragmenty *Kalevali* w przekładzie Jerzego Litwiniuka (Warszawa 1998).